

ANDREA Camilleri



Pies z terakoty



NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

Od autora

Andrea Camilleri

PIES Z TERAKOTY

Przełożył
Jarosław Mikołajewski

Noir sur Blanc

Tytuł oryginału: IL CANE DI TERRACOTTA

Opracowanie redakcyjne: MIROSŁAW GRABOWSKI
Korekta: MACIEJ KORBASIŃSKI, BEATA WYRZYKOWSKA
Projekt okładki: OLGIERD CHMIELEWSKI
Fotografia na okładce: TOMASZ ADAMCZYK

Copyright © 1996 Sellerio editore, via Siracusa 50, Palermo
For the Polish edition
Copyright © 2007, Noir sur Blanc, Warszawa
For the Polish translation
Copyright © 2002 by Jarosław Mikołajewski

Wydanie I elektroniczne
Warszawa 2013

ISBN 978-83-7392-421-5

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.
ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa
e-mail: nsb@wl.net.pl
Księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

1

Już od świtu zapowiadał się kapryśny dzień: chwilami wściekle świeciło słońce, to znów siąpił mroźny deszcz, a niestałą aurę okraszały nagłe porywy wiatru. Jeden z tych dni, które ludzie wrażliwi na gwałtowne przeskoky pogody odczuwają we krwi i w mózgu, zmieniając raz po raz poglądy i upodobania – innymi słowy, zachowując się niczym blaszane proporce albo koguty na dachu, obracające się we wszystkich kierunkach przy najmniejszym podmuchu.

Komisarz Montalbano od urodzenia należał do owej nieszczęsnej kategorii ludzi – właściwość tę odziedziczył po matce, która ulegała chimerycznym nastrojom, kiedy zaś bolała ją głowa, często zamykała się w mrocznej sypialni, a wówczas wszyscy domownicy musieli chodzić na palcach. Ojciec natomiast zawsze, bez względu na to, czy szalała burza, czy świeciło słońce, cieszył się dobrym zdrowiem i niezmiennie, w pogodę i w deszcz, pozostawał w świetnym nastroju.

Również tym razem komisarz był posłuszny swojej dziedzicznej naturze: ledwie zatrzymał samochód na dziesiątym kilometrze drogi łączącej Vigatę z Felą, dokładnie tam, gdzie było umówione, od razu naszła go ochota, by znowu zapuścić silnik, wrócić do miasta i machnąć na wszystko ręką. Opanował się jednak, zjechał na pobocze i otworzył schowek w tablicy rozdzielczej, żeby wziąć pistolet, którego zazwyczaj nie nosił przy sobie. Lecz dłoń zawisała w powietrzu: bez ruchu, jak zaczarowany wpatrywał się w broń.

„Matko Przenajświętsza! To prawda!” – pomyślał.

Poprzedniego dnia, na kilka godzin przed telefonem od Gege Gullotty,

który wywołał całe to zamieszanie – Gege był drobnym handlarzem lekkich narkotyków i organizatorem burdelu pod gołym niebem, znanego powszechnie jako „pastwisko” – komisarz czytał powieść kryminalną pisarza z Barcelony, który bardzo go intrygował i który nosił hiszpańską wersję jego własnego nazwiska – Montalban. Jedno zdanie wywarło na nim szczególnie wrażenie: „Pistolet spał, wyglądając jak zimna jaszczurka”. Cofnął rękę z lekkim obrzydzeniem i zamknął schowek, pozostawiając jaszczurkę w letargu. I tak, jeśli cała ta historia, która właśnie się rozpoczynała, okaże się pułapką, zasadzką, to czy będzie miał przy sobie pistolet, czy nie, tamci rozwalą go, jak zechcą – seria z kałasznikowa, i do widzenia Jedyna nadzieja w tym, że Gege, przez wzgląd na lata spędzone wspólnie w szkole podstawowej, w jednej ławce, i na nieprzerwaną przyjaźń również potem, kiedy już byli dorośli, nie zgodziłby się go sprzedać jak wieprzowinę dla osiągnięcia jakichś własnych korzyści, wciskając mu kit i oddając w ręce siepaczy. Co to, to nie. A jeśli powiedział prawdę, to cała sprawa na pewno okaże się ważna i głośna.

Komisarz głęboko westchnął i ruszył powoli, ostrożnie stawiając stopy, wąską kamienistą dróżką pomiędzy rozległymi uprawami winorośli. Rosły tam winogrona o okrągłych i jednorodnych gronach, noszące – Bóg raczy wiedzieć dlaczego – nazwę „Italia”. Była to jedyna odmiana w całej okolicy, ponieważ na terenach takich jak te szkoda i pieniędzy, i pracy na uprawę gatunków, z których wytwarza się wino.

Piętrowy domek, z jednym pokojem na górze i jednym na dole, stał na samym wierzchołku wzgórza. Niemal całkowicie zasłaniały go cztery potężne drzewa oliwne. Wyglądał tak, jak go opisał Gege. Drzwi i okna były zamknięte i wyblakłe, przed domkiem rosły gigantyczne kapary i nieco mniejsze krzaki polnych kawonów – z tych, które wystarczy dotknąć czubkiem kija, żeby wybuchły w powietrzu, rozsiewając nasiona. Na ziemi,

do góry nogami, leżało popękane krzesło z wikliny i stało stare cynkowe wiadro, nieużyteczne za sprawą rdzy, która zżerała je całymi płatami. Resztę porastała trawa. To wszystko razem stwarzało wrażenie, jakby od lat nikt się tu nie zatrzymywał, lecz były to tylko pozory. Montalbano miał zbyt wiele doświadczenia, żeby dać się oszukać, a to doświadczenie mówiło mu również, że ktoś obserwuje go z wnętrza domku, oceniając jego zamiary po gestach. Zatrzymał się o trzy kroki od drzwi, zdjął marynarkę, zawiesił ją na gałęzi drzewka, tak żeby było widać, że nie ma broni.

– Hej tam! Jest tu ktoś?! – zawołał, ale niezbyt głośno, jak gdyby wzywał przyjaciela, do którego właśnie przyszedł z wizytą.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, żadnego odgłosu. Z kieszeni spodni wyjął zapalniczkę i paczkę papierosów, włożył jednego do ust i zapalił. Ustawił się przy tym plecami do wiatru, robiąc pół skrętu tułowiem. Człowiek, który był w domu, mógł teraz spokojnie obejrzeć go od tyłu, tak jak przedtem mógł mu się przyjrzeć od przodu. Komisarz zaciągnął się dwa razy, następnie podszedł zdecydowanym krokiem do drzwi i załomotał pięścią, aż od stwardniałych pęknięć lakieru zaboląły go knykcie.

– Czy ktoś tu jest? – zapytał ponownie.

Był przygotowany na wszystko, tylko nie na ten ironiczny, spokojny głos, który niespodziewanie dobiegł go zza pleców.

– Jest, jest. Tutaj.

– Halo! Halo, Montalbano? Salvo! To ja, Gege.

– Ależ słyszę, uspokój się. Jak się czujesz, mój ty miodowooki kwiatuszku?

– Dobrze.

– Dużo ostatnio pracowałeś ustami? Ćwiczysz się w lasce?

– Salvo, nie zaczynaj z tymi wygłupami. Przecież wiesz, że to inni pracują dla mnie ustami.

– W końcu jesteś ich wychowawcą. To ty uczysz te swoje różnokolorowe kurwy, jak mają układać wargi, jak mocno powinny ssać.

– Salvo, jeżeli już, to one mogłyby mnie czegoś nauczyć. Same uczą się tego, kiedy mają dziesięć lat, a kiedy mają piętnaście, stają się mistrzyniami świata. Jest taka jedna Albanka, ma czternaście lat...

– Robisz reklamę?

– Posłuchaj, nie mam czasu pieprzyć trzy po trzy. Muszę ci coś przekazać. Paczkę.

– O tej porze? Nie możesz mi jej podrzucić jutro rano?

– Jutro nie ma mnie w mieście.

– Czy wiesz, co jest w tej paczce?

– Pewnie, że wiem. Ciasto z winogronami, które tak lubisz. Moja siostra, Marianna, zrobiła je specjalnie dla ciebie.

– Jak się czuje Marianna, co z jej oczami?

– O wiele lepiej. W Hiszpanii, w Barcelonie, dokonali cudu.

– W Hiszpanii, w Barcelonie, piszą również dobre książki.

– Co mówisz?

– Nic. Takie tam moje sprawy, nie zwracaj na to uwagi. Gdzie się spotkamy?

– Tam gdzie zawsze, za godzinę.

Tam gdzie zawsze, czyli na plaży w Puntasecca, na paśmie piachu u podnóża białej marglowej skarpy, prawie niedostępnym, lub raczej dostępnym tylko dla Montalbana i Gege, którzy już w szkolnych latach odkryli ścieżkę trudną do pokonania dla spacerowiczów, a wręcz

niebezpieczną dla kierowców. Puntasecca leżała tuż za Vigatą, o kilka kilometrów od willi nad morzem, gdzie mieszkał Montalbano, więc komisarz nie musiał się spieszyć. Lecz w chwili, gdy otworzył drzwi żeby iść na umówione spotkanie, rozległ się dzwonek telefonu.

– Dzień dobry, kochany. Jestem co do minuty. Jak ci dzisiaj poszło?

– Zwykła biurokracja. A tobie?

– Nic nowego. Posłuchaj, Salvo, długo myślałam o tym, co...

– Przepraszam, że ci przerwę, Livio. Mam mało czasu, a właściwie w ogóle go nie mam. Złapałaś mnie w drzwiach, właśnie wychodziłem.

– No to sobie wychodź. Dobranoc.

Livia skończyła rozmowę, a Montalbano pozostał z głuchą słuchawką w dłoni. Wreszcie przypomniał sobie, że poprzedniego dnia prosił Livię, aby zadzwoniła do niego dokładnie o północy, i obiecał, że na pewno będą mieli czas, by długo porozmawiać. Przez chwilę wahał się, czy zadzwonić natychmiast do swojej pani do Boccadasse, czy zrobić to po spotkaniu z Gege. Z lekkimi wyrzutami sumienia odłożył słuchawkę i wyszedł.

Kiedy dotarł na miejsce z kilkuminutowym spóźnieniem, Gege już na niego czekał, przechadzając się nerwowo tam i z powrotem wzdłuż samochodu. Uściskali się i ucałowali – nie widzieli się od dłuższego czasu.

– Usiądźmy w moim wozie, dziś w nocy jest chłodno – powiedział komisarz.

– Wrobili mnie w to – zaczął Gege, kiedy tylko usiadł.

– Kto?

– Ludzie, którym nie mogę odmówić. Ty wiesz, że jak każdy człowiek interesu płacę haracz za to, żeby pracować w spokoju i nie dopuścić do tego, by ktoś zrobił sztuczny burdel w moim prawdziwym burdelu. Co miesiąc, niezmiennie jak Pan Bóg przykazał, zawsze ktoś się zjawia, żeby

zainkasować.

– Na czyj rachunek? Możesz mi to powiedzieć?

– Na konto Tana, czyli „Greka”.

Montalbano był zaskoczony, choć nie okazał tego przyjacielowi. Gaetano Bennici, pseudonim „Grek”, nie widział Grecji nawet przez lornetkę i o sprawach Hellady nie miał zielonego pojęcia, lecz był tak nazywany ze względu na pewną skłonność, która – jak ludzie mówili – jest najwyżej ceniona w okolicach Akropolu. Miał na sumieniu co najmniej trzy udowodnione morderstwa, w hierarchii plasował się pół stopnia niżej od najwyższych bossów, ale nie było słyhać, żeby działał w rejonie Vigaty – tutaj o wpływy walczyły ze sobą rodziny Cuffaro i Sinagra. Tano należał do innej parafii.

– A czego Tano szuka w tej okolicy?

– Co za głupie pytania mi zadajesz? Co z ciebie za pierdolony policjant? Nie wiesz, że zostało ustalone, że dla Tana nie ma terytoriów, nie ma obszarów, jeśli chodzi o kobiety? Przekazano mu kontrolę i władzę nad całym kurewstwem na wyspie.

– Nie wiedziałem. Mów dalej.

– Wieczorem, około ósmej, pojawił się facet, ten sam co zawsze, żeby zainkasować – na dzisiaj był wyznaczony dzień haraczu. Zabrał pieniądze, które mu dałem, ale zamiast odjechać, otworzył drzwi samochodu i powiedział, żebym wsiadł.

– A ty?

– Przestraszyłem się, oblałem zimnym potem. Ale co miałem robić? Wsiadłem, a on ruszył. Krótko mówiąc, skierował się w stronę Feli, aż po półgodzinie jazdy zatrzymał się...

– Zapytałeś, dokąd cię wiezie?

– Pewnie.

– I co ci powiedział?

– Nic, jak gdybym nie pytał. Jechaliśmy pół godziny, potem kazał mi wysiąść. Nie było tam żywej duszy. Wskazał mi ścieżkę i dał znak, żebym szedł przed siebie. Nawet psy się tam nie kręciły. W pewnej chwili pojawił się przede mną Tano. Nie mam pojęcia, skąd się tam wziął. Serce stanęło mi w gardle, nogi miałem jak z waty. Zrozum, to nie tchórzostwo, przecież ten gościu zabił już pięciu ludzi.

– Jak to pięciu?

– Bo co? A wy ilu mu naliczyliście?

– Trzech.

– Nie, mój panie, pięciu, jak w mordę strzelił.

– Dobrze już, mów dalej.

– Błyskawicznie przeprowadziłem rachunek sumienia. Płaciłem zawsze regularnie, więc przyszło mi do głowy, że Tano chce podnieść cenę. Na interes nie mogę narzekać i oni dobrze o tym wiedzą. Ale myliłem się, nie chodziło o pieniądze.

– Czego chciał?

– Nawet się nie przywitał, tylko od razu spytał, czy cię znam.

Montalbanowi wydało się, że źle usłyszał.

– Czy znasz kogo?

– Ciebie, Salvo, ciebie.

– A ty co mu powiedziałeś?

– Ja, robiąc w portki, powiedziałem, że owszem, znam ciebie, ale tylko tak, z widzenia, dzień dobry i dobry wieczór. Spojrzał na mnie oczami, które, uwierz mi, wyglądały jak z kamienia, były nieruchome i martwe. Potem

odchylił głowę do tyłu, roześmiał się cicho i spytał mnie, czy chciałbym się dowiedzieć, ile mam włosów na dupie, z dokładnością do plus minus dwóch. Miało to znaczyć, że zna całe moje życie, uczynki i datę śmierci, oby jak najpóźniejszą. Więc spuściłem oczy i nie otworzyłem gęby. Wtedy powiedział, żeby ci przekazał, że chce się z tobą spotkać.

– Kiedy i gdzie?

– Jeszcze dzisiaj, o świcie. Gdzie, zaraz ci powiem.

– Czego on chce ode mnie?

– Tego nie wiem i nie chcę wiedzieć. Powiedział, abym cię przekonał, że możesz mu ufać jak bratu.

Jak bratu. Te słowa, zamiast uspokoić Montalbana, sprawiły, że po grzbiecie przebiegł mu nieprzyjemny dreszcz. Wszyscy wiedzieli, że pierwszą z trzech – albo pięciu – śmiertelnych ofiar Tana był jego starszy brat Nicolino, najpierw uduszony, a następnie, zgodnie z tajemną regułą semiotyczną, dokładnie odarty ze skóry. Komisarza ogarnęły czarne myśli, które stały się, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze czarniejsze pod wpływem słów, które Gege wyszeptał, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Uważaj na siebie, Salvo. To naprawdę zła bestia.

Kiedy wracał powoli do domu, zobaczył, że jadący za nim Gege daje mu światłami jakieś znaki. Zjechał na pobocze. Gege zrównał się z nim i wychylił całym tułowiem ku okienku po stronie Montalbana, podając mu paczuszkę.

– Zapomniałbym o cieście.

– Dziękuję. Już myślałem, że to była wymówka, pretekst.

– Za kogo mnie masz? Za kogoś, kto mówi co innego, niż myśli?

I ruszył naburmuszony.

Ta noc wręcz wołała o pomstę do nieba. Na początku komisarzowi przyszło do głowy, żeby zadzwonić do kwestora, obudzić go i o wszystkim poinformować, zabezpieczając się w ten sposób przed domniemanymi następstwami, jakie mogła pociągnąć za sobą cała ta historia. Jednak Tano – zgodnie z tym, co przekazał Gege – z miejsca rozstrzygnął jakiegokolwiek wątpliwości: Montalbano miał siedzieć cicho i przyjść na spotkanie bez obstawy. Tu jednak nie chodziło o zabawę w policjantów i złodziei, jego obowiązkiem było zawiadomienie przełożonych, wspólne drobiazgowo przygotowanie zasadzki i dokonanie aresztowania, być może przy znacznym wsparciu. Tano ukrywał się od prawie dziesięciu lat, a on, ot tak sobie, miał iść na spotkanie – jak gdyby „Greki” był przyjacielem, który właśnie wrócił z Ameryki. Nie ma mowy, to nie wchodzi w rachubę, kwestor musi absolutnie o wszystkim wiedzieć. Komisarz wykręcił numer swojego przełożonego w Montelusie, stolicy prowincji.

– To ty, kochanie? – usłyszał głos Livii, która przecież była w Boccadasse, niedaleko Genui.

Montalbanowi na chwilę odebrało mowę. To instynkt sprawił – doradzając mu tym samym unikanie rozmowy z kwestorem – że wybrał niewłaściwy numer.

– Przepraszam cię za nieudaną rozmowę. Otrzymałem niespodziewany telefon, który mnie zmusił do wyjścia,

– Zapomnijmy o tym, Salvo, przecież wiem, gdzie pracujesz. To ja powinnam cię przeprosić za wybuch złości ale byłam zawiedziona.

Montalbano spojrzął na zegarek; miał co najmniej trzy godziny do spotkania z Tanem.

– Jeśli chcesz, możemy porozmawiać teraz.

– Teraz? Wybacz mi, Salvo, to nie jest zemsta, ale wołałabym nie.

Wzięłam proszek nasenny i oczy same mi się zamykają.

– Dobrze już, dobrze. Do jutra. Kocham cię. Livio.

Głos Livii nagle się zmienił, stał się rozbudzony i ożywiony.

– Co jest? Co się dzieje? Co się stało, Salvo?

– Nic, a co miało się stać?

– No nie, mój drogi, nie jesteś ze mną szczery. Czeka cię jakieś niebezpieczne zadanie? Nie martw mnie, Salvo.

– Co też ci przychodzi do głowy?

– Powiedz mi prawdę, Salvo.

– Nie robię niczego niebezpiecznego.

– Nie wierzę.

– Ale dlaczego, na Boga Ojca?

– Bo powiedziałaś, że mnie kochasz, a odkąd się znamy, powiedziałaś mi to tylko trzy razy, policzyłam, i za każdym razem z nadzwyczajnych powodów.

Jedynym wyjściem było odłożyć słuchawkę; z Livią mógł przekomarzać się w ten sposób do świtu.

– Pa, kochana, śpij dobrze. Nie myśl o głupstwach. Pa, znów muszę wyjść.

Nie wiedział, jak zabić czas. Wziął prysznic, przeczytał kilka stron książki Montalbana, niewiele z niej rozumiejąc, chodził po całym mieszkaniu, prostował obrazy na ścianach, czytał na nowo jakieś stare listy, przeglądał rachunki, notatki, dotykał wszystkiego, co nawinęło mu się pod rękę. Raz jeszcze wziął prysznic, ogolił się, kalecząc podbródek. Włączył telewizor i natychmiast go zgasił, bo program przyprawiał o mdłości. Wreszcie nadeszła wyczekiwana godzina. Kiedy był już gotowy do wyjścia, postanowił zjeść kawałek ciasta. Z autentycznym zdziwieniem stwierdził, że paczka na

stole jest otwarta, a na kartonowej tacy nie pozostało już ani jednego okruszka. Z nerwów zjadł wszystko, w ogóle nie zdając sobie z tego sprawy. I co gorsza, nawet nie nacieszył się smakiem.

2

Montalbano odwrócił się powoli, tłumiąc nagły atak ślepej furii – pozwolił się podejść od tyłu jak żółtodziób! Choć zachowywał najwyższą czujność, nie udało mu się usłyszeć najmniejszego szmeru.

„Jeden zero dla ciebie, sukinsynu!” – pomyślał.

Pomimo że dotychczas nigdy się nie spotkali, natychmiast rozpoznał Tana: na fotografiach sprzed kilku lat nie miał jeszcze brody i wąsów, ale oczy pozostały takie same, pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, „z kamienia”, jak trafnie określił je Gege.

Tano uklonił się lekko i nie było w tym geście nawet najmniejszej kpiny czy ironii. Montalbano odruchowo odwzajemnił ukłon. Tano odchylił głowę i zaśmiał się.

– Wyglądamy jak dwaj Japończycy, ci wojownicy z mieczami i w zbrojach. Jak oni się nazywają?

– Samuraje.

Tano rozłożył ramiona, jak gdyby chciał objąć stojącego przed nim mężczyznę.

– Co za przyjemność poznać osobiście słynnego komisarza Montalbano.

Montalbano postanowił nie bawić się w ceregiele i przejść od razu do sedna, żeby nadać spotkaniu właściwy charakter.

– Nie wiem, jaką przyjemność może pan wynieść z osobistej znajomości ze mną.

– Jednej przyjemności już pozwala mi pan doświadczyć.

– To znaczy?

– Mówiąc mi per pan. Czy to mało? Ani jeden gliniarz, a spotkałem ich już wielu, nie zwracał się do mnie w ten sposób.

– Zdaje pan sobie sprawę – przynajmniej mam taką nadzieję – że reprezentuję prawo, podczas gdy pan jest groźnym przestępcą, wielokrotnym mordercą. A spotykamy się twarzą w twarz.

– Ja jestem bez broni, a pan?

– Ja również.

Tano ponownie odchylił głowę i roześmiał się na całe gardło.

– Nigdy nie myślę się co do ludzi, nigdy!

– Z bronią czy bez, i tak muszę pana aresztować.

– Jestem tu właśnie po to, żeby mnie pan aresztował. W tym celu przyszedłem na spotkanie.

Był szczery, co do tego nie można było mieć wątpliwości, lecz ta otwarta szczerłość sprawiła, że Montalbano, nie odgadując zamiarów Tana, usztywnił się w geście obronnym.

– Mógł pan się zgłosić na komisariat i oddać w ręce policji. Tu czy w Vigacie, to to samo.

– O, nie, panie władzo, to nie to samo. Dziwię się, że nie widzi pan różnicy między jednym sformułowaniem a drugim, pan, który przecież umie czytać i pisać. Ja nie oddaję się w ręce policji, tylko pozwalam się aresztować. Niech pan weźmie marynarkę, to wejdziemy do środka. Otworzę drzwi.

Montalbano zdjął marynarkę z gałęzi, narzucił na siebie i wszedł za Tanem do wnętrza. W domu było zupełnie ciemno. Tano zapalił lampkę naftową i dał znak komisarzowi, żeby usiadł na jednym z dwóch krzeseł ustawionych przy niewielkim stole. W pokoju stało łóżko z samym materacem, bez poduszki i pościeli, oraz przeszklony kredens z butelkami, kieliszkami, karafkami, talerzami, paczkami makaronu, słoikami z sosem i puszkami.

Była też opalana drewnem kuchenka, wypełniona patelniami i garnkami. Na piętro prowadziły stare drewniane schody. Jednak oczy komisarza zatrzymały się na zwierzęciu o wiele bardziej niebezpiecznym od jaszczurki, która spała w schowku tablicy rozdzielczej – był to jadowity wąż, karabin maszynowy, który drzemał na baczność, oparty o ścianę przy łóżku.

– Mam dobre wino – powiedział Tano jak prawdziwy gospodarz domu.

– Chętnie się napiję – odrzekł Montalbano.

Chłód, bezsenna noc, napięcie i więcej niż kilogram ciasta, którym się nafaszerował – na to wszystko wino było dobrym lekarstwem.

Tano nalał wina i podniósł szklanekę.

– Pańskie zdrowie.

Komisarz podniósł swoją i odwzajemnił toast.

– Pańskie.

Wino było dobrej jakości, poczuł to od razu. Przepływając przez gardło, niosło odprężenie i rozgrzewało.

– Naprawdę dobre – pochwalił Montalbano.

– Jeszcze jedna?

Żeby uniknąć pokusy, komisarz odsunął od siebie szklanekę zdecydowanym gestem.

– Porozmawiamy?

– W porządku. A więc, jak mówiłem, postanowiłem pozwolić się aresztować...

– Dlaczego?

Nagle pytanie zaskoczyło Tana. Jednak po chwili się otrząsnął.

– Muszę się leczyć, jestem chory.

– Proszę posłuchać. Uważa pan, że mnie dobrze zna. Więc powinien pan

chyba wiedzieć, że nie pozwolę sobie wcisnąć byle kitu.

– Jestem o tym przekonany.

– A więc dlaczego pan mnie nie szanuje, dlaczego opowiada pan bajki?

– Nie wierzy pan, że jestem chory?

– Wierzę. Ale nie wierzę, że chce pan iść do więzienia, aby się leczyć. Mogę to panu wytłumaczyć jeszcze jaśniej. Był pan leczony przez półtora miesiąca w klinice Najświętszej Marii Panny z Lourdes w Palermo, a potem przez trzy miesiące w klinice Getsemani w Trapani, gdzie operował pana profesor Amerigo Guarnera. Jeżeli pan tylko zechce, to jeszcze dzisiaj, choć obecnie sytuacja jest już nieco inna niż kilka lat temu, znajdzie pan niejedną klinikę, w której przymkną oko i nie poinformują policji o pańskiej obecności. Tak więc powodem, dla którego pan chce, żebym go aresztował, nie jest choroba.

– A jeśli panu powiem, że czasy się zmieniają, a świat kręci się coraz szybciej?

– To bardziej do mnie przemawia.

– Widzi pan, mój świętej pamięci ojciec, który był człowiekiem honoru w czasach, gdy słowo „honor” coś znaczyło, zawsze mi tłumaczył, że wózek, którym podróżują ludzie honoru, potrzebuje dużo smaru, aby kółka się kręciły, i to możliwie szybko. Potem, kiedy pokolenie mojego ojca odeszło, kiedy ja sam usiadłem na wózku, jeden z naszych ludzi powiedział mi: Ale dlaczego mamy zaopatrywać się w smar u polityków, burmistrzów, u bankierów i całego tego towarzystwa? Jeżeli ten smar jest nam rzeczywiście potrzebny, to sami go sobie wyprodukujmy!” Doskonale, świetnie, wszyscy biją brawo! Pewnie, zawsze znalazł się ktoś, kto kradł przyjacielowi konia, kto rzucał koledze kłody pod koła, kto zaczynał ostrzeliwać na oślep wózek, konia i woźnicę jakiegoś innego

stowarzyszenia... Wszystko jednak rozstrzygaliśmy między sobą. Wózków przybywało, przybywało też dróg, którymi można było jeździć. Aż pewnego dnia w czyjejs genialnej głowie zrodziła się wątpliwość, czy w ogóle powinno się podróżować wózkiem. „Jedziemy za wolno – tłumaczył – byle chuj nas wyprzedza, cały świat podróżuje teraz samochodami, nie można hamować postępu!” Bravo! Świetnie! I wszyscy zaczęli zamieniać wózki na samochody, wyrabiać sobie prawo jazdy. Niektórym jednak nie udało się zdać egzaminu, więc odeszli, a raczej ich wyrzucono. Jeszcze nie zdążyliśmy zapoznać się z nowym samochodem, a najmłodszy, ci, którzy autem jeździli od urodzenia i którzy studiowali prawo albo ekonomię w Stanach lub w Niemczech, poinformowali nas, że nasze samochody jeżdżą za wolno, że w dzisiejszych czasach trzeba się przesiąść do wyścigówki, ferrari, maserati, wyposażonej w radiotelefon i różne przyrządy, umieć przyspieszać i pędzić jak strzała. Ci smarkacze są nowocześni, rozmawiają z aparatami, a nie z osobami, nawet cię nie znają, nie wiedzą, kim byłeś, a jeśli wiedzą, mają to serdecznie w dupie, nie znają się nawet między sobą, porozumiewają się przez komputer. Krótko mówiąc, ci gówniarze nie patrzą nikomu w oczy, a kiedy widzą, że masz trudności i jedziesz za wolno, bez chwili zastanowienia spychają cię z drogi, a ty lądujesz w rowie ze złamanym karkiem.

– A pan nie potrafi prowadzić ferrari.

– Właśnie. Więc zanim wpadnę do rowu, sam wolę zjechać na pobocze.

– Pan jednak nie wydaje mi się kimś, kto usuwa się z własnej woli.

– Z własnej woli, komisarzu, zapewniam pana, że z własnej woli. Pewnie, na różne sposoby można przekonać drugiego człowieka, żeby zaczął korzystać z własnej woli. Jeden z przyjaciół, który dużo czytał i był wykształcony, opowiedział mi kiedyś pewną historię. Spróbuję ją sobie dla pana przypomnieć. Przeczytał to w jakiejś niemieckiej książce. Pewien

człowiek mówi do przyjaciela: „Założymy się, że mój kot zje ostrą musztardę, tak ostrą, że wypala dziurę w brzuchu?” „Koty nie lubią musztardy” – odpowiada jego przyjaciel. „Ale mój kot ją zje” – upiera się tamten. „Zmusisz go do tego kijem i batem?” – pyta przyjaciel. „Nie, mój drogi, żadnej przemocy, zje ją z własnej woli” – pada odpowiedź. Zakładają się. Facet bierze dużą łyżkę musztardy, tak ostrej, że na sam widok od razu piecze w żołądku, łapie kota i ciach! wpycha mu musztardę do dupy. Biedny kot czuje, że pali mu się dupa, więc zaczynają sobie lizać. A kiedy liże, zjada z własnej woli całą musztardę. I tyle, szanowny panie.

– Rozumiem doskonale. A teraz zacznijmy rozmowę od początku.

– Mówiłem, że pozwolę się aresztować, lecz żeby zachować twarz, potrzebne mi jest małe przedstawienie.

– Nie rozumiem.

– Zaraz to panu wyjaśnię.

Tłumaczył długo, popijając winem. Aż wreszcie komisarz przekonał się do racji rozmówcy. Ale czy mógł wierzyć Tanowi? To dopiero była zagadka. Montalbano, który w młodości pasjami grywał w karty – choć na szczęście w końcu mu się to znudziło – wyczuwał, że partner gra uczciwie, bez sztuczek. Musiał siłą rzeczy zaufać temu odczuciu, w nadziei, że go nie zawiedzie. Pedantycznie ustalili szczegóły aresztowania, żeby nic nie pokrzyżowało im planów. Kiedy skończyli rozmawiać, słońce było już wysoko na niebie. Tanim komisarz wyszedł, żeby uruchomić cały mechanizm, na dłuższą chwilę zatopił wzrok w oczach Tana.

– Niech pan mi powie prawdę.

– Na rozkaz, komisarzu.

– Dlaczego wybrał pan właśnie mnie?

– Bo pan, o czym się właśnie przekonałem, jest człowiekiem, który zna się na rzeczy.

Kiedy pędził na złamanie karku alejką wśród winnic, przypomniał sobie, że dyżur w komisariacie pełni teraz Agatino Catarella, a zatem rozmowa telefoniczna, którą zamierzał przeprowadzić, byłaby cokolwiek trudna, o ile nie stałaby się wręcz źródłem żalosnych i niebezpiecznych pomyłek. Catarella nie wyróżniał się intelektem. Powoli rozumował, powoli działał, został przyjęty do policji na pewno dlatego, że był dalekim krewnym wszechmocnego jeszcze niedawno senatora Cusumano, który – po kilku letnich miesiącach spędzonych w chłodzie więzienia Ucciardone – szybko zdołał odbudować więzi z nowymi możnowładcami, i to w stopniu dostatecznym, by zasłużyć sobie na duży kawałek tortu, który od czasu do czasu cudownie wypiekał się na nowo – wystarczyło dorzucić jakiś owoc kandyzowany lub wymienić wypalone świece. Sprawy z Catarellą gmatwały się najbardziej, kiedy nachodziła go ochota – a zdarzało się to często – by mówić nie w dialekcie, lecz w języku, który sam określał jako włoski.

Któregoś dnia pojawił się z ponurym wyrazem twarzy.

– Komisarzu, czy umiałby pan mi wskazać jakiegoś lekarza, z tych, których nazywają specjalistami?

– Specjalistami od czego?

– Od chorób wenerycznych.

Montalbano usta otworzył ze zdziwienia.

– Ty?! Masz chorobę weneryczną? A kiedy ją złapałeś?

– Pamiętam, że mam tę chorobę od małego, nie ukończyłem wtedy jeszcze sześciu, siedmiu lat.

– Co za głupoty mi opowiadasz?! Jesteś pewny, że chodzi o chorobę weneryczną?

– Jak najbardziej, komisarzu. Bolał mnie nery, więc jaka ma być? Tylko weneryczna.

Jadąc w kierunku kabiny telefonicznej, która powinna stać za skrzyżowaniem w Torresanta (powinna, zakładając, że ktoś nie odciął i nie zabrał słuchawki, nie ukradł aparatu lub całej kabiny), Montalbano postanowił jednak nie dzwonić nawet do swojego zastępcy, Mimi Augella, ponieważ był to człowiek, który nie bacząc na rozkazy i prośby, od razu zawiadomiłby dziennikarzy, a potem na ich widok udawałby zdziwienie. Pozostawali mu tylko Fazio i Tortorella, dwaj brygadierzy (chyba tak aktualnie określało się ich rangę). Wybrał Fazio. Tortorella dostał jakiś czas temu postrzał w brzuch i dotąd nie odzyskał w pełni sił, blizna po ranie często go bolała.

Kabina jakimś cudem stała jeszcze na swoim miejscu, telefon jakimś cudem działał, a Fazio odebrał, zanim przebrzmiał drugi sygnał.

– Fazio, już w gotowości, o tej godzinie?

– Tak jest, komisarzu. Niecałe pół minuty temu dzwonił do mnie Catarella.

– Czego chciał?

– Niewiele można było zrozumieć, bo próbował mówić po włosku. Z tego, co mogłem się domyślić, dziś w nocy okradzione supermarket Carmela Ingrassii, ten duży, za miastem. Złodzieje mieli co najmniej tira albo dużą ciężarówkę.

– Nie było nocnego strażnika?

– Był, ale nie można go znaleźć.

– Miałeś zamiar tam jechać?

– Tak jest.

– Zostaw to. Dzwon natychmiast do Tortorelli, powiedz mu, żeby zawiadomił Augella. Niech jadą tam razem. Mów, że ty nie możesz, podaj mu byle jaki powód, że wypadłeś z kołyski i uderzyłeś się w głowę. Nie, lepiej że aresztowali cię karabinierzy. Jeszcze lepiej: zadzwoń do niego i powiedz, żeby zawiadomił żandarmerię, to przecież jakieś głupstwo, zwykła kradzież, a będą szczęśliwi, że zostali poproszeni o współpracę. A teraz słuchaj: kiedy już zawiadomisz Tortorellę, Augella i żandarmerię, zadzwoń do Galla, Galluzza... że też wszyscy nazywają się prawie tak samo... i do Germana i przyjedźcie tam, gdzie wam powiem. I zabierzcie ze sobą karabiny maszynowe.

– Kurwa!

– Kurwa, i owszem. To duża rzecz, którą trzeba przeprowadzić ostrożnie, nikt nie może się zdradzić nawet półsłówkiem, zwłaszcza Galluzzo, którego szwagier jest dziennikarzem. Powiedz temu cymbałowi Gallo, żeby nie prowadził jak w Indianapolis. Żadnych syren, żadnych kogutów. Kiedy jest hałas, kiedy woda bulgoce, wtedy ryba się płoszy. A teraz uważaj, powiem ci, gdzie masz się zjawić.

Przyjechali w ciszy niespełna pół godziny po telefonie, wyglądali jak zwykły patrol. Wysiedli z samochodu i ruszyli w stronę Montalbana, który dał im znak, żeby podążali za nim. Zeszli się za starym, niezamieszkanym domem, żeby nie było ich widać z szosy.

– Mam w samochodzie karabin dla pana – powiedział Fazio.

– Wsadź go sobie w tyłek. Słuchajcie uważnie: jeżeli uda nam się dobrze rozegrać tę partię, to może wrócimy do domu z Tanem, z „Grekiem”.

Montalbano odczuł wręcz fizycznie, że jego ludzie na chwilę stracili oddech.

– Tano w tych stronach? – zdziwił się Fazio, który otrząsnął się pierwszy.

– Widziałem go, jest tutaj, zapuścił sobie brodę i wąsy, ale i tak można go rozpoznać.

– A jak go pan spotkał?

– Fazio, nie zawracaj dupy, potem ci wszystko powiem. Tano jest w domku na szczycie tego wzniesienia, stąd nic nie widać. Wokół rosną drzewa. Dom składa się z dwóch pokoi, jeden jest na górze, drugi na dole. Z przodu są drzwi i okno, drugie okno jest w pokoju na górze, ale wychodzi na zaplecze. Czy to jasne? Zrozumieliście wszystko? Tano nie ma innej drogi ucieczki oprócz drzwi od frontu, w przeciwnym razie musi się zdecydować na desperacki skok z okna pokoju na piętrze, tyle że wtedy złamie sobie nogę. Zróbmy w ten sposób: Fazio i Gallo zajdą od tyłu, ja, Germana i Galluzzo wyważymy drzwi i wejdziemy.

Fazio najwyraźniej miał wątpliwości.

– Co jest? Masz jakiś inny pomysł?

– Nie lepiej byłoby otoczyć dom i powiedzieć, żeby się poddał? Jest nas pięciu na jednego, nie da nam rady.

– Jesteś pewny, że w środku nie ma nikogo prócz Tana?

Fazio umilkł.

– Uwierzcie – powiedział Montalbano, zamykając krótką naradę wojenną – lepiej, żebyśmy podrzucili mu skarpetę z prezentem od Świętego Mikołaja.

3

Montalbano obliczył, że Fazio i Gallo już od co najmniej pięciu minut czają się za domkiem. On sam, zanurzony w trawie, z pistoletem w dłoni, przywierał brzuchem do ziemi, a jakiś kamień dokuczliwie uciskał mu środek żołądka. Komisarz czuł się wyjątkowo niezręcznie, niczym bohater jakiegoś filmu gangsterskiego, i dlatego aż się palił, by dać sygnał do rozpoczęcia akcji. Spojrzał na leżącego obok Galluzza – Germana był dalej, po prawej stronie – i spytał go szeptem:

– Gotowy?

– Tak jest – odparł agent, mokry od potu. Montalbanoowi zrobiło się go żal, ale nie mógł przecież powiedzieć, że to tylko mistyfikacja, która nie wiadomo jaki przyniesie skutek.

– Ruszaj! – rozkazał.

Jak wystrzelony z cięciwy napiętej do granic wytrzymałości, niemal nie dotykając ziemi, Galluzzo trzema susami dopadł domku i przywarł do ściany na lewo od drzwi. Wydawało się, że zrobił to bez wysiłku, ale komisarz widział, jak ciężko oddycha. Agent chwycił mocno karabin maszynowy i dał znak, że jest gotowy do drugiej odsłony. Montalbano spojrział wówczas na Germana, który wydawał się nie tylko spokojny, lecz wprost rozluźniony.

– Teraz ja – powiedział do niego bezdźwięcznie, poruszając przesadnie ustami i sylabizując.

– Będę pana osłaniał – odparł Germana w ten sam sposób, wskazując ruchem głowy trzymany w dłoniach karabin.

Pierwszy sus komisarza zasługiwał na miejsce w antologii lub wręcz

w podręczniku – pewny, sprężysty wyskok godny lekkoatlety, lekkie szybowanie, czyste i spokojne lądowanie, które zadziwiłoby zawodowego tancerza. Galluzzo i Germana, którzy przyglądali się przełożonemu z dwóch różnych punktów, w równym stopniu byli ukontentowani jego dokonaniem. Drugi skok został lepiej wyważony od pierwszego, lecz podczas lotu wydarzyło się coś, przez co Montalbano nagle przechylił się niby wieża w Pizie i wylądował, wypisz, wymaluj, jak kłown w popisowym numerze. Zakołysał się, rozłożył ramiona w poszukiwaniu możliwego wsparcia i runął ciężko na bok. Galluzzo odruchowo ruszył mu z pomocą, ale powstrzymał się na czas i znów przyłgął do ściany. Również Germana podniósł się gwałtownie, lecz zaraz wrócił do poprzedniej pozycji. Gdyby cała ta scena nie była z góry ukartowanym widowiskiem, Tano mógłby w tej chwili powalić ich wszystkich jak kręgle. Miotając najgorsze ze znanych sobie przekleństw. Montalbano na czworakach zaczął szukać pistoletu, który wypadł mu z dłoni. Wreszcie dostrzegł go pod krzakiem i ledwie zdążył wsunąć rękę pomiędzy gałęzie, wszystkie kawony, które rosły na krzaku, wybuchły i oblepiły mu twarz nasionami. Ze smutkiem i złością komisarz zdał sobie sprawę, że z bohatera filmów gangsterskich został zdegradowany do bohatera komedii z Abbottem i Costello. Już nie miał siły odgrywać ani atlety, ani tancerza, więc przebiegł kilka metrów, jakie dzieliły go od domku. Jedyne, na co się zdobył, to lekkie zgarbienie pleców.

Montalbano i Galluzzo spojrzeli na siebie i porozumieli się wzrokiem. Stanęli o trzy kroki od drzwi, które nie wydawały się przesadnie wytrzymałe, zaczerpnęli powietrza i natarli całym ciężarem. Drzwi okazały się z papieru, co najwyżej z kartonu – wystarczyło je pchnąć, żeby wyleciały z zawiasów, więc obaj wpadli do wnętrza. Komisarz jakimś cudem zdołał się zatrzymać, natomiast Galluzzo z rozpędu przefrunął przez cały pokój, aż uderzył o ścianę i rozkwasił sobie twarz, dławiąc się krwią, która zaczęła gwałtownie

buchać mu z nosa. W nikłym świetle lampki naftowej, którą Tano oświetlał pokój, komisarz miał sposobność podziwiać aktorską brawurę „Greka”. Udając wyrwanego ze snu, przestępca skoczył na równe nogi, zaczął złorzeczyć i rzucił się do kałasznikowa, który leżał teraz na stole, czyli daleko od łóżka. Montalbano był gotowy odegrać rolę halabardnika, jak to się mówi w teatrze.

– Stać! W imieniu prawa, ręce do góry albo będę strzelał! – ryknął najpotężniejszym głosem, jaki tylko mógł wydobyć z płuc, i wystrzelił cztery razy w sufit.

Tano zamarł z podniesionymi rękami.

Przekonany, że w pokoju na górze ktoś się ukrywa, Galluzzo posłał serię z karabinu w kierunku drewnianych schodów. Na odgłos wystrzałów Fazio i Gallo, którzy pozostawali na zewnątrz, ostrzelali z karabinów okienko. Wszyscy w domku byli ogłuszeni wybuchami, kiedy przybył Germanii i postawił kropkę nad i:

– Nie ruszać się albo będę strzelał!

Nie zdążył nawet wygłosić swojej pogroźki do końca, kiedy od tyłu wpadli na niego Fazio i Gallo. Popchnięty, zatoczył się pomiędzy Montalbana i Galluzza, który właśnie opuścił karabin, wyciągnął z kieszeni chustkę i próbował opatrzyć sobie nos: krew zalała mu koszulę, krawat i marynarkę. Na ten widok Gallo wściekł się na dobre.

– Trafiał cię? Trafiał cię ten sukinsyn, co?! – zawołał ze złością, wskazując na Tana.

„Grek” wykazywał świętą cierpliwość, stojąc przez cały czas z podniesionymi rękami, w oczekiwaniu, że siły porządkowe zapanują nad burdelem, który same spowodowały.

– Nie, nie strzelał do mnie. Uderzyłem się o ścianę – odpowiedział

boleściwie Galluzzo.

Tano nie patrzył na nikogo, obserwował czubki własnych butów.

„Ledwie tłumi śmiech” – pomyślał Montalbano i wydał Galluzzowi suchy rozkaz:

– Załóż mu kajdanki.

– To on? – spytał cicho Fazio.

– On, nie poznajesz? – odparł Montalbano.

– I co teraz?

– Wsadźcie go do samochodu i zawieźcie do kwestury, do Montelusy. Po drodze zadzwoń do kwestora, o wszystkim mu opowiedz i spytaj, co macie robić. Postarajcie się, żeby nikt go nie zobaczył i nie rozpoznał. Na razie musimy trzymać gęby na kłódkę. Idźcie już.

– A pan?

– Ja rzucę okiem na dom, przeszukam go, nigdy nic nie wiadomo.

Fazio i agenci, prowadząc zakutego w kajdanki Tana, ruszyli do wyjścia. Germana trzymał w ręku karabin aresztowanego. Dopiero wtedy „Grek” uniósł głowę i popatrzył przez chwilę na Montalbana. Komisarz zauważył, że kamienne spojrzenie gdzieś znikło, że te oczy są żywe, niemal roześmiane.

Kiedy cała piątka zniknęła na końcu alejki, Montalbano ponownie wszedł do domku, zamierzając rozpocząć rewizję. Otworzył kredens, wyjął opróżnioną do połowy butelkę i usiadł z nią w cieniu drzewa, żeby w świętym spokoju dopić wino do dna. Aresztowanie groźnego uciekiniera dobiegło szczęśliwego końca.

Mimi Augello wyglądał, jakby diabeł w niego wstąpił. Kiedy Montalbano wszedł do biura, zastępca natychmiast rzucił się nań z wściekłością.

– Gdzie byłeś?! Gdzie cię poniosło?! A co z innymi?! Czy tak się

postępuje, do kurwy nędzy?!

Musiał być naprawdę wściekły, skoro przeklinał jak szewc: już od trzech lat pracowali razem, a komisarz nigdy nie słyszał, żeby rzucał mięsem. Prawdę mówiąc, kiedyś się to zdarzyło, ale tylko raz: jak pewien kutas postrzelił Tortorellę w brzuch. Augello zareagował w ten sam sposób.

– Mimi, co cię opętało?

– Jak to co mnie opętało? Przestraszyłem się jak cholera!

– Przestraszyłeś się? A czego?

– Dzwoniło tu co najmniej sześć osób. Każda z nich podawała coraz to inne szczegóły, ale jedno powtarzało się we wszystkich relacjach: że wywiązała się strzelanina, że są zabici i ranni. Ktoś mówił nawet o krwawej jatce. Ciebie nie było w domu, Fazio i reszta wyjechali bez słowa... Pomyślałem, że to wszystko ma ze sobą jakiś związek jak dwa razy dwa cztery. Może się myliłem?

– Nie, nie myliłeś się. Ale powinieneś się złościć nie na mnie, lecz na telefon – to jego wina.

– A co ma do tego telefon?

– Ma, i to dużo! Bo dzisiaj telefon jest nawet w najbardziej zapadłej szopie na wsi. A co robią ludzie, kiedy mają telefon pod ręką? Dzwonią. Opowiadają rzeczy prawdziwe i wymyślone, rzeczy prawdopodobne i niestworzone, rzeczy, które im się przyśniły, jak w tej komedii Eduarda De Filippo... jak się ona nazywa... aha, *Wewnętrzne głosy*, wyolbrzymiają, minimalizują, nigdy nie podają imienia ani nazwiska. Korzystają z poufnej linii, gdzie każdy może wygadywać największe głupstwa na świecie, nie biorąc za nie odpowiedzialności! A tymczasem specjaliści od mafii ekscytują się: na Sycylii słabnie zmowa milczenia, słabnie współnictwo, słabnie strach! A w rzeczywistości mafia ni chuja nie słabnie, za to rosną rachunki

telefoniczne.

– Montalbano, nie zmylisz mnie swoim gadaniem! Czy to prawda, że byli zabici i ranni?

– Nieprawda. Obyło się bez walki, strzelaliśmy tylko w powietrze, Galluzzo sam rozkwasił sobie nos, a tamten się poddał.

– Kto tamten?

– Uciekinier.

– Tak, ale kto?

Nadejście zdyszanego Cantarelli wyrwało go z opresji.

– Komisarzu, dzwoni pan kwestor.

– Powiem ci później – rzucił Montalbano i zniknął we wnętrzu biura.

– Drogi przyjacielu, dzwonię, żeby złożyć panu najserdeczniejsze gratulacje!

– Dziękuję.

– Piękna zdobycz!

– Mieliśmy szczęście.

– W dodatku ten delikwent okazał się o wiele ważniejszą osobą, niż udawał.

– Gdzie się obecnie znajduje?

– W drodze do Palermo. Zażądała tego komisja do walki z mafią, nie było zmiłuj. Pańscy ludzie nie mogli nawet zatrzymać się w Montelusie, musieli jechać dalej. Ja dałem eskortę – samochód z czterema moimi agentami.

– A więc nie rozmawiał pan z Faziem?

– Nie miałem na to ani czasu, ani sposobności. O całej sprawie nie wiem prawie nic. Dlatego byłbym wdzięczny, gdyby przyjechał pan po południu do

mnie do biura i opowiedział mi również szczegóły.

„Oto jest zadanie” – pomyślał Montalbano, trawestując monolog Hamleta. A głośno zapytał:

– O której godzinie?

– Powiedzmy, około piątej. I jeszcze jedno: ci z Palermo zalecają całkowitą dyskrecję, chcą, żebyśmy nie puszczali pary z gęby na temat operacji, przynajmniej na razie.

– Gdyby to tylko ode mnie zależało...

– Nie pana miałem na myśli, znamy się doskonale i mogę zapewnić, że w porównaniu z panem ryby to gaduły. A propos: jeszcze jedno.

Zapadła cisza, kwestor zawiesił głos, a Montalbano nie miał ochoty słyszeć dalszego ciągu, ponieważ na to pochwalne „znamy się doskonale” rozszalał mu się w głowie dokuczliwy dzwonek.

– Niech pan posłucha, Montalbano – zaczął kwestor z wahaniem, a dzwonek zabrzmiał jeszcze donośniej.

– Słucham.

– Myślę, że tym razem nie uda mi się uchronić pana przed awansem na wicekwestora.

– Matko Przenajświętsza! Ale dlaczego?

– Niech pan nie będzie śmieszny, Montalbano.

– Przepraszam, ale dlaczego mam zostać awansowany?

– Co za pytanie?! Za to, co pan zrobił dziś rano.

Montalbanowi zrobiło się równocześnie zimno i gorąco, na czoło wystąpił mu pot i zeszywniały plecy: ta perspektywa go przerażała.

– Panie kwestorze, ja zrobiłem tylko to, co moi koledzy robią każdego dnia.

– Nie wątpię. Ale to wyjątkowe aresztowanie i kiedy zostanie podane do wiadomości, wywoła wiele szumu.

– Nie ma żadnej nadziei?

– Niech pan przestanie, zachowuje się pan jak dziecko.

Komisarz poczuł się jak skazaniec w celi śmierci, zaczęło mu brakować powietrza, to otwierał, to zamykał usta jak ryba, wreszcie spróbował desperackiego wybiegu.

– A nie możemy stwierdzić, że to wina Fazia?

– Jak to wina?

– Proszę wybaczyć, chciałem powiedzieć „zasługa”.

– Do widzenia, Montalbano.

Augello, który czekał za drzwiami, powitał go pytającym wyrazem twarzy.

– Co ci powiedział kwestor?

– Rozmawialiśmy o sytuacji.

– Też coś! Ale masz minę!

– Jaka?

– Skwaszoną.

– Nie strawiłem wczorajszej kolacji.

– A co takiego jadłeś?

– Półtora kilo ciasta z winogronami.

Augello wybałuszył oczy, a Montalbano, który czuł, że zaraz padnie pytanie o nazwisko aresztowanego przestępcy, skorzystał z tej chwili roztargnienia, żeby zmienić temat i naprowadzić rozmówcę na inny trop.

– Znaleźliście już nocnego stróża?

– Tego z supermarketu? Tak, to ja go znalazłem. Złodzieje walnęli go

w głowę i zakneblowali, potem związali mu ręce i nogi i wcisnęli do wielkiego zamrażalnika.

– Umarł?

– Nie, ale myślę, że nie czuje się zanadto żywy. Kiedy go wyciągnęliśmy, wyglądał jak gigantyczny dorsz.

– Masz jakieś podejrzenia?

– Chodzi mi coś po głowie, porucznik karabinierów ma inne zdanie, ale jedno jest pewne: żeby zabrać to, co zabrali, musieli posłużyć się dużą ciężarówką. Przy załadunku pracowała co najmniej sześćosobowa ekipa koordynowana przez jakiegoś zawodowca.

– Słuchaj, Mimi. Pojadę na chwilę do domu, przebiorę się i zaraz wracam.

W pobliżu Marinelli zorientował się, że zaczęła świecić lampka kontrolna paliwa. Zatrzymał się przy stacji, gdzie jakiś czas temu doszło do strzelaniny, po której musiał zabrać do kwestury właściciela i wyciągnąć z niego wszystko, co ten widział. Kiedy tylko ów facet, który nie żywił urazy, zobaczył komisarza, powitał go piskliwym głosem, co przyprawiło Montalbana o niemiły dreszcz. Właściciel stacji nalał do pełna, odliczył należność i spojrzał na klienta.

– Co jest? Dałem ci za mało?

– Nie, wszystko się zgadza. Chciałem tylko coś panu powiedzieć.

– Więc mów – odparł niecierpliwie Montalbano, który czuł, że dłuższy kontakt z tym głosem wyprowadzi go z równowagi.

– Niech pan spojrzy na tę ciężarówkę.

Wskazał palcem duży pojazd z przyczepą, zaparkowany na placu za stacją, z mocno naciągniętą plandeką, która zakrywała towar.

– Dziś rano, wcześniej – ciągnął – kiedy otworzyłem stację, ciężarówka już

tu była. Minęły cztery godziny i jeszcze nikt się nie zjawiał, żeby ją stąd zabrać.

– Sprawdziłeś, czy ktoś śpi w kabinie?

– Sprawdziłem, nikogo tam nie ma. I jeszcze coś dziwnego – kluczyk jest na swoim miejscu, każdy może go przekręcić i ukraść ciężarówkę.

– Zobaczmy – powiedział Montalbano, który magie zainteresował się opowieścią.

4

Drobny, z hiszpańską bródką pod antypatycznym uśmiechem, w okularach w złotej oprawie, w brązowych butach, brązowym garniturze, brązowej koszuli, brązowym krawacie, Carmelo Ingrassia, właściciel supermarketu, wyglądał jak upiór z brązu. Wygładził sobie fałdę na spodniach, założył prawą nogę na lewą i po raz trzeci powtórzył swoją lapidarną syntezę wydarzeń.

– To był żart, komisarzu, chcieli zrobić mi kawał.

Montalbano wbił wzrok w długopis, który trzymał w dłoni, skupił się na nakrętce, wyciągnął ją, obejrzał dokładnie z zewnątrz i od środka, jak gdyby pierwszy raz w życiu widział podobny przedmiot, dmuchnął, żeby usunąć jakiś niewidoczny pyłek, obejrzał raz jeszcze, nie wystarczyło mu to jednak, dmuchnął ponownie, położył na biurku, odkręcił metalowy czubek, zastanowił się, umieścił go obok nakrętki, obejrzał dokładnie środek skuwki, która pozostała mu w dłoni, dołożył do dwóch pozostałych części i głęboko westchnął. Dzięki tej operacji zdołał się opanować, powstrzymać pokusę, która przez chwilę nim owładnęła, by wstać, podejść do Ingrassii, walnąć go pięścią w nos i spytać, czy według niego to kawał, czy poważny argument.

Tortorella, który przyglądał się scenie i znał zachowania przełożonego, w wyraźny sposób poczuł ulgę.

– Proszę mi to wyjaśnić – powiedział Montalbano, w pełni nad sobą panując.

– A co tu wyjaśniać, komisarzu? Wszystko jest jasne jak słońce. Cały skradziony towar znajdował się w znalezionej ciężarówce, nie brakowało ani

jednej zapalki, ani jednej wykalaczki, ani jednego lizaka. A więc jeśli nie chcieli niczego ukraść, to chcieli zrobić kawał, tak dla jaj.

– Ja trochę wolno myślę, zatem proszę o cierpliwość, panie Ingrassia. Zreasumujmy. Osiem dni temu z parkingu w Katanii, czyli dokładnie po drugiej stronie miasta, dwie osoby uprowadziły ciężarówkę z przyczepą, należącą do firmy Sferlazza. Ciężarówka zniknęła. Przez siedem dni ukrywano ją gdzieś na odcinku pomiędzy Katanią a Vigatą. Ukrywano, bo przecież nikt jej w tym czasie nie widział. A więc logiczny wniosek jest taki, że ktoś ukradł i ukrywał tę ciężarówkę jedynie po to, żeby wyciągnąć ją potem w odpowiedniej chwili i zrobić panu psikusa. Pójdźmy dalej. Wczoraj w nocy, około pierwszej, ciężarówka zmaterializowała się i kiedy na szosie był niewielki ruch, stanęła przed pańskim supermarketem. Nocny stróż pomyślał, że to zaopatrzenie, choć pora dostawy mogła wydać się dziwna. Nie wiemy, jak dokładnie potoczyły się sprawy, bo stróż wciąż jeszcze nie odzyskał mowy. Jedno jest pewne: że go ogłuszyli i zabrali mu klucze. Jeden ze złodziei rozebrał strażnika i włożył jego mundur: to na pewno genialne posunięcie. Drugie genialne posunięcie: pozostali włączyli światła i bezczelnie wzięli się do roboty, nie zachowując środków ostrożności – gdyby to nie działo się w nocy, można by powiedzieć, że pracują w pełnym słońcu. Przemysłne, bez wątpienia. Bo komuś, kto przypadkiem znalazłby się w okolicy i zobaczył strażnika w mundurze, pilnującego kilku osób, które załadowują ciężarówkę, nie przeszłoby nawet przez myśl że właśnie dochodzi do kradzieży. Ta rekonstrukcja jest dziełem mojego kolegi Augella, a potwierdza ją relacja pana Misuraki, który właśnie wtedy wracał tamtędy do domu.

Ingrassia, który stopniowo tracił zainteresowanie słowami komisarza, na brzmienie tego nazwiska poderwał się, jak gdyby użądliła go osa.

– Misuraca?!

- Tak, ten, który pracował w urzędzie stanu cywilnego.
- Przecież to faszysta!
- Nie rozumiem, co mają wspólnego poglądy polityczne pana Misuraki ze sprawą, o której rozmawiamy.
- Mają, i to jak! Bo kiedy ja uprawiałem politykę, on był moim przeciwnikiem.
- To już nie zajmuje się pan polityką?
- A co można zdziałać teraz, kiedy sędziowie z Mediolanu postanowili zniszczyć politykę, handel i przemysł?!
- Proszę posłuchać, pan Misuraca złożył tylko zwykłe, proste zeznanie, które podkreśla wysoką klasę złodziei
- Gównu mnie obchodzi, co podkreśla Misuraca. Mówię tylko, że to biedny, stary cymbał, który już dawno skończył osiemdziesiątkę. Byłby w stanie przysiąc, że widział gruszki na wierzbie. A poza tym to co on tam robił tak późno w nocy?
- Nie wiem, spytam go. Ale wróćmy do naszej sprawy.
- No więc wróćmy.
- Kiedy towar z pańskiego supermarketu został już załadowany, mniej więcej dwie godziny później, ciężarówka odjechała. Pokonała pięć albo sześć kilometrów, zawróciła i zaparkowała przy stacji benzynowej, gdzie stała do mojego przyjazdu. I według pana zrobili cały ten raban i popełnili pół tuzina przestępstw, ryzykując długie lata więzienia, jedynie po to, żeby sobie i panu dać okazję do śmiechu?
- Panie komisarzu, możemy tu spędzić nawet całą noc, a i tak przysięgam, że przychodzi mi do głowy tylko to jedno: ktoś chciał mi zrobić kawał.

W lodówce czekał na niego makaron na zimno z pomidorami, bazylią,

oliwą i czarnymi oliwkami. Nad talerzem unosił się zapach, który umarłego wyrwałby z grobu. Na drugie danie były sardele z cebulą i octem. Komisarz nauczył się bezgranicznie ufać kulinarnej fantazji Adeliny – kobiety, która prowadziła mu dom. Gospodyni przychodziła codziennie, żeby zająć się dosłownie wszystkim. Jej synowie byli notorycznymi przestępcami, a jednego z nich Montalbano osobiście wsadził do więzienia. Także i dziś Adelina go nie zawiodła. Zawsze kiedy zamierzał otworzyć piekarnik albo lodówkę, odczuwał takie samo podniecenie jak w dzieciństwie, gdy drugiego listopada, wcześnie rano, szukał wiklinowego kosza, do którego w nocy zmarli podrzucili upominki. Był to obyczaj już zapomniany, wyparty przez banał bożonarodzeniowych prezentów pod choinkę – zresztą w ogóle przestawano już pamiętać o zmarłych. Jedynie ludzie mafii nie zapominali o nieboszczykach – ba, wręcz uparcie podtrzymywali płomień pamięci o tamtym świecie! – lecz dla ich uczczenia posyłali z pewnością inne prezenty niż metalowe kolejki czy owoce kandyzowane. Wracając do rzeczy, niespodzianka była nieodzowną przyprawą potraw Adeliny.

Wyjął jedzenie, butelkę wina, chleb, włączył telewizor i usiadł przy stole. Lubił jeść bez towarzystwa, cieszyć się w spokoju każdym kęsem. Wśród wielu rzeczy, jakie łączyły go z Livią, było również upodobanie do jedzenia w milczeniu. Pomyślał, że jeśli chodzi o gusty kulinarne, to bliżej mu do Maigreta niż do Pepe Carvalho. Bohater powieści Manuela Vazqueza Montalbana opychał się daniami, które nawet w brzuchu rekina wypaliłyby dziurę.

Z programów informacyjnych telewizji państwowej można się było dowiedzieć, że nad krajem gromadzą się ciemne chmury niezadowolenia społecznego, a większość rządząca nie reprezentuje wspólnego stanowiska w sprawie pewnej ustawy. Na jej mocy ludzie, którzy roztrwonili pół majątku narodowego, mieli zostać warunkowo zwolnieni z więzienia. Prokuratorzy,

którym udało się zdemaskować główne ośrodki korupcji politycznej, na znak protestu zapowiedzieli dymisje. Lekki powiew buntu wyczuwamy był również w wypowiedziach zwykłych ludzi.

Montalbano przełączył na jeden z dwóch kanałów lokalnych. Telegigata była stacją prorządowa z przyrodzonego poczucia wierności, bez względu na to, czy rząd tworzyli czerwoni, czarni czy błękitni. Spiker nawet nie wspomniał o aresztowaniu Tana. Powiedział tylko, że kilku odpowiedzialnych obywateli zawiadomiło komisariat w Vigacie o równie głośnej co tajemniczej strzelaninie, do której doszło o świcie za miastem, na terenach nazywanych „leszczyną”; policjanci natychmiast dotarli na miejsce, lecz nie stwierdzili niczego niezwykłego. O aresztowaniu Tana nie wspomniał również dziennikarz Retelibery, Nicoló Zito, który nie ukrywał swoich komunistycznych poglądów. Był to znak, że aresztowanie „Greka” udało się na szczęście zachować w tajemnicy. Natomiast zupełnie nieoczekiwanie Zito zaczął mówić o niezwykłej kradzieży w supermarkecie Ingrassii i o zaskakującym odnalezieniu ciężarówki z całym skradzionym towarem. Według relacji wszyscy byli przekonani, że pojazd został porzucony przez bandytów w następstwie kłótni o podział łupów. Jednak Zito nie zgadzał się z tą opinią; sugerował, że wydarzenia musiały potoczyć się inaczej, a cała sprawa jest z pewnością bardziej złożona.

– Komisarzu Montalbano. Zwracam się bezpośrednio do pana. Może to nieprawda, że ta historia jest bardziej skomplikowana, niż się wydaje? – spytał dziennikarz na zakończenie.

Na dźwięk własnego nazwiska, widząc wpatrzony w siebie oczy Zita, i to podczas kolacji, Montalbano zachłysnął się winem, które właśnie wlewał sobie do ust, stracił oddech, zakasłał i odchrząknął.

Kiedy skończył jeść, włożył slipki i poszedł nad morze. Woda była przejmująco zimna, lecz kąpiel przywróciła mu siły.

– Proszę mi dokładnie zreferować, jak się to wszystko odbyło – powiedział kwestor.

Kiedy Montalbano wszedł do gabinetu, przełożony wstał, podszedł do niego i energicznie wziął go w ramiona.

Komisarz zupełnie nie umiał kłamać ani mydlić oczu osobom, które uważał za uczciwe lub które szanował. Lecz kiedy miał przed sobą przestępców albo ludzi, co niewiele go obchodzili, zdolny był zmyślać z kamienną twarzą niestworzone rzeczy; mógł się upierać, że widział gruszki na wierzbie. Zważywszy na to, że nie tylko szanował przełożonego, lecz niekiedy rozmawiał z nim jak z ojcem, żądanie kwestora wprowadziło go w podenerwowanie. Poczerwieniał, oblał się potem, zaczął się wiercić na krześle, jak gdyby coś uwierało go w siedzenie. Kwestor zauważył wahanie komisarza, lecz przypisał je niekłamanemu cierpieniu, jakiego Montalbano doświadczał za każdym razem, kiedy musiał opowiadać o swojej udanej akcji. Przełożony pamiętał, jak podczas ostatniej konferencji prasowej, przed kamerami, komisarz wypowiedział się – choć trudno było to nazwać wypowiedzią – długim i żalonym bełkotem, niekiedy pozbawionym jakiegokolwiek sensu, wytrzeszczając oczy i przewracając gałkami, które pląsały niczym w pijackich podrygach.

– Zanim zacznę, chciałbym prosić o radę.

– Jestem do dyspozycji.

– Co mam napisać w raporcie?

– Przepraszam, co to za pytanie? Nigdy nie pisał pan raportów? W raportach opisuje się fakty, które miały miejsce – odpowiedział sucho kwestor, lekko zdziwiony. A widząc, że rozmówca nie zamierza zacząć swej opowieści, dodał: – A propos, zręcznie i odważnie potrafił pan wykorzystać przypadkowe spotkanie i zmienić je w udaną operację policyjną, zgoda, ale...

– No właśnie, chciałem powiedzieć...

– Niech pan pozwoli mi skończyć. Ale muszę zauważyć, że wystawił pan siebie i swoich ludzi na poważne niebezpieczeństwo. Powinien był pan poprosić o znaczne wsparcie, podjąć należne środki ostrożności. Na szczęście, wszystko skończyło się dobrze, lecz za bardzo pan ryzykował, chcę to panu powiedzieć z całą szczerością. A teraz słucham.

Montalbano obejrzał sobie palce u lewej ręki, jak gdyby dopiero przed chwilą mu wyrosły, a on nie wiedział, do czego mogą się przydać.

– Co jest? – spytał cierpliwie kwestor.

– A to, że wszystko zostało zmyślane! – wybuchnął Montalbano. – Nie było tu żadnego przypadku. Poszedłem spotkać się z Tanem, ponieważ mnie o to poprosił. I podczas tego spotkania omówiliśmy całą akcję.

Kwestor przetarł oczy.

– Umówiliście się?

– W stu procentach.

I jako że powiedział już A, powiedział też i B, i całą resztę: od telefonu, który otrzymał od Gege, aż do przedstawienia z aresztowaniem Tana.

– Coś jeszcze? – spytał na koniec kwestor.

– Tak. To, że skoro tak się rzeczy mają, nie należy mi się żaden awans na wicekwestora. Gdybym został awansowany, to wyłącznie za oszustwo, za kłamstwo.

– To nie pan podejmuje decyzję, tylko ja – powiedział cierpko kwestor.

Wstał, splótł dłonie za plecami, myślał przez dłuższą chwilę. Potem otrząsnął się i spojrzał na Montalbana.

– Zróbmy w ten sposób. Niech pan napisze mi dwa raporty.

– Dwa?! – jęknął Montalbano, dobrze wiedząc, ile wysiłku kosztuje go

zawsze pisanie.

– Proszę nie dyskutować. Dokument na pokaz złożę w archiwum, z myślą o wtyczce, która niechybnie postanowi przekazać go prasie lub mafii. Prawdziwą relację schowam w kasie pancерnej.

Uśmiechnął się.

– A co do awansu, który chyba najbardziej pana przeraża, proszę przyjść do mnie w piątek wieczorem, porozmawiamy o tym w spokoju. Wie pan, moja żona wymyśliła niezwykły sos.

Gerlando Misuraca, fertyczny osiemdziesięcioletek, ryknął swoim zwyczajem do słuchawki, kiedy tylko komisarz powiedział „słucham”.

– Co za głupek mnie z panem połączył?!

– A co on takiego zrobił?

– Przekręcił moje nazwisko! Nie mógł go zapamiętać, zakuty łeb! Misuraca na mnie mówił, jak na jakieś rozwolnienie!

Podejrzliwie zamilkł na chwilę, po czym spytał zmienionym tonem:

– Gwarantuje mi pan słowem honoru, że to jakiś głupi kutas?

Wiedząc, że odebrał Catarella, Montalbano odpowiedział bez najmniejszego wahania:

– Mogę to panu zagwarantować. A czy można wiedzieć, dlaczego pan żąda takiej gwarancji?

– Bo jeśli miał ochotę zakpić ze mnie lub z tego, co reprezentuję, to za pięć minut będę w komisariacie i kopnę go w tyłek jak Pan Bóg na niebie!

„Cóż takiego reprezentuje pan Misuraca?” – zastanawiał się Montalbano, podczas gdy tamten nie przestawał wyrzucać z siebie straszliwych pogrózek. Nic, absolutnie nic z... jak by to powiedzieć... oficjalnego punktu widzenia. Urzędnik gminny, od lat na emeryturze, nie piastował ani teraz, ani

w przeszłości żadnych funkcji publicznych, był szeregowym członkiem swojej partii. Człowiek o nieposzlakowanej uczciwości, godnie znosił swój nader skromny żywot; nawet za czasów Mussoliniego nie chciał wykorzystywać sytuacji, był zawsze oddany sprawie, jak to się wówczas mówiło. Za to, począwszy od 1935 roku, brał udział we wszystkich wojnach i zawsze stał na pierwszej linii frontu, nie pominął ani jednej batalii, wydawał się wszechobecny: od Guadalajary w Hiszpanii do Bir al-Gobi w Afryce Północnej, zaliczając po drodze Aksum w Etiopii. Następnie niewola w Teksasie, odmowa współpracy, w konsekwencji cięższe więzienie o chlebie i wodzie. Reprezentował zatem – jak podsumował Montalbano – historyczną pamięć o historycznych błędach, to oczywiste, lecz on sam popełnił je z naiwną wiarą i odczuł ich skutki na własnej skórze: odniósł trzy dość poważne rany i w wyniku jednej z nich kulał na lewą nogę.

„Gdyby to było możliwe, czy walczyłby pan wtedy u boku Niemców i zwolenników Republiki Salo?” – zapytał kiedyś podstępnie Montalbano, który lubił go na swój sposób. Cóż, w tym wielkim kalejdoskopie ludzi skorumpowanych, korumpujących, łapowników, cinkciarzy, łapówkarzy, alfonsów, złodziei i krzywoprzysięzców, do których każdego dnia dołączały coraz to nowe kreatury, w stosunku do osób nieuleczalnie uczciwych komisarz od jakiegoś czasu żywił coś w rodzaju sympatii.

Kiedy starzec usłyszał to pytanie, niemal zapadł się w sobie, na twarzy przybyło mu zmarszczek, jego wzrok zmętniał. Montalbano zrozumiał wówczas, że Misuraca tysiące razy sam stawiał sobie to pytanie i nie potrafił udzielić na nie odpowiedzi. Toteż nie nalegał.

– Halo? Jest pan tam jeszcze? – spytał gderliwie Misuraca.

– Słucham, szanowny panie.

– Przypomniałem sobie o czymś, o czym nie pamiętałem, składając zeznanie.

– Nie wątpię, że nie chciał pan niczego ukryć. Proszę mówić.

– Dziwna rzecz mi się przydarzyła, kiedy znalazłem się prawie na wysokości supermarketu. W pierwszej chwili nie zwróciłem na to uwagi, byłem podenerwowany i poruszony, ponieważ są na świecie sukinsyny, które...

– Przejdźmy do rzeczy.

Gdyby mu tylko na to pozwolić, Misuraca zaczęłby opowieść od pierwszych bojówek faszystowskich.

– Nie przez telefon, osobiście. To poważna sprawa, o ile tylko dobrze widziałem.

Staruszek uchodził za osobę wiarygodną, która unika przesady, lecz również nie pomija szczegółów.

– Czy to dotyczy kradzieży w supermarkecie?

– Oczywiście.

– Czy już pan z kimś o tym rozmawiał?

– Z nikim.

– Bardzo proszę, buzia w ciup.

– Chce mnie pan obrazić? Potrafię milczeć jak grób. Jutro, wcześniej rano, przyjdę do pańskiego biura.

– Jeszcze jedno: co pan tam robił o tak późnej porze, dlaczego pan jechał sam, w dodatku zdenerwowany? Przecież pan wie, że w pewnym wieku trzeba na siebie uważać.

– Wracalem z Montelusy. Byłem na zebraniu władz okręgowych mojej partii, chciałem wziąć w nim udział, choć nie należę do tego grona. Nikt nie jest w stanie zatrzasnąć drzwi przed nosem Gerlanda Misuraki. Trzeba uchronić naszą partię przed utratą twarzy i honoru. Nie możemy być w koalicji z łajdakami i zgodzić się na to, żeby swoim dekretem wypuścili

z więzienia tych wszystkich skurwysynów, którzy rozkradli naszą ojczyznę!
Musi pan zrozumieć, komisarzu, że...

– Zebranie trwało do późna?

– Do pierwszej w nocy. Ja chciałem ciągnąć dalej, ale pozostali się sprzeciwili, padali z nóg ze zmęczenia. Faceci bez jaj.

– A jak długo jechał pan do Vigaty?

– Pół godziny. Jeżdżę powoli. A więc, tak jak mówiłem...

– Proszę mi wybaczyć, wzywają mnie do drugiego telefonu. Do jutra – uciął Montalbano.

5

– Potraktowali nas gorzej niż bandytów, niż morderców, te skurwysyny! Za kogo oni się mają? Kutasy!

Nie było sposobu, żeby uspokoić Fazia, który dopiero co wrócił z Palermo. Germana, Gallo i Galluzzo wtórowali mu, oddając dramaturgię wydarzeń gwałtownymi ruchami rąk.

– To jakiś obłąd, czyste szaleństwo!

– Spokój, chłopcy. Wszystko po kolei – nakazał Montalbano, wchodząc w rolę przełożonego. Następnie, widząc, że na mundurze i koszuli Galluzza nie ma śladu krwi, która poleciała mu z rozkwaszonego nosa podczas aresztowania Tana, zapytał: – Byłeś w domu, żeby się przebrać?

To pytanie okazało się fałszywym krokiem, ponieważ Galluzzo spłoszył, a na opuchniętym od uderzenia nosie pojawiły się sine żyłki.

– W jakim domu?! Przecież Fazio mówił już panu, że wracamy wprost z Palermo. Kiedy dojechaliśmy do siedziby oddziałów antymafijnych i oddaliśmy im Tana, wzięli nas i wsadzili każdego do innego pomieszczenia. Bolał mnie nos, więc chciałem przyłożyć do niego zmoczoną chusteczkę. Przez pół godziny nikt się nie pojawił, więc otworzyłem drzwi. Drogę zastąpił mi jakiś policjant. „Dokąd to?” „Idę po wodę, chcę sobie opatrzyć nos”. „Nie możesz wyjść, wracaj do środka”. Rozumie pan, komisarzu? Siedziałem w areszcie, jak gdybym to ja był „Grekiem”!

– Nie wypowiadaj tego imienia i zniź głos! – upomniał go Montalbano. – Nikt nie może się dowiedzieć, że go aresztowaliśmy! Pierwszego, który sypnie, pošlę na kopach na Sycylię.

– Każdego z nas tak zapakowali – potwierdził Fazio z wyrazem wzburzenia na twarzy.

Galluzzo ciągnął swoją opowieść.

– Po godzinie wszedł do pokoju taki jeden, znam go, pański kolega, który niedawno przeszedł do oddziałów antymafijnych, nazywa się chyba Sciacchitano.

„Kawał sukinsyna” – pomyślał natychmiast komisarz, ale nie odezwał się słowem.

– Popatrzył na mnie jak na jakiegoś śmierzącego żebraka, jak gdybym go prosił o jałmużnę. Patrzył tak przez chwilę, a potem powiedział: „Wiesz, że w takim stanie nie możesz pokazać się prefektowi na oczy?”

Nie mógł ścierpieć, że został tak poniżony, z trudem tłumił gniew.

– A najgorsze, że patrzył wściekłym wzrokiem, jak gdyby to była moja wina! I wyszedł, mamrocząc. Po chwili jakiś policjant przyniósł czystą marynarkę i koszulę.

– Teraz ja coś powiem – wtrącił Fazio, korzystając z prawa pierwszeństwa, jakie dawał mu wyższy stopień służbowy. – Krótko mówiąc, od trzeciej po południu do dwunastej w nocy każdy z nas był przesłuchiwany osiem razy przez osiem różnych osób.

– O co pytali?

– Jak to się odbyło.

– Jeśli o mnie chodzi, byłem przesłuchiwany dziesięć razy – powiedział z nutą dumy Germana. – Widocznie ciekawiej opowiadam, a oni się czuli jak w kinie.

– Około pierwszej w nocy – kontynuował Fazio – posadzili nas razem w wielkim pokoju, takim dużym gabinecie, gdzie były dwie kanapy, osiem krzeseł i cztery stoły. Odłączyli i wynieśli telefony. Potem dali nam jakieś

suche kanapki i kilka ciepłych piw, które smakowały jak siki. Porozkładaliśmy się, jak mogliśmy, a o ósmej rano przyszedł taki jeden i powiedział, że możemy wracać do Vigaty, Nawet do psów coś się mówi, kiedy się je przepędza, a do nas ani dzień dobry, ani sio, ani won. Nic.

– Cóż – westchnął Montalbano. – Nic na to nie można poradzić. Idźcie do domu, odpocznijcie i wróćcie tu przed wieczorem. Zapewniam was, że o wszystkim opowiem kwestorowi.

– Halo? Mówi komisarz Montalbano z Vigaty. Chciałbym rozmawiać z komisarzem Arturem Sciacchitano.

– Proszę poczekać.

Montalbano wziął kartkę i długopis. Bezmyślnie coś nabazgrał i dopiero po chwili się zorientował, że narysował dupę usadowioną na sedesie.

– Przykro mi, komisarzu, właśnie ma zebranie.

– Niech pan mu powie, że ja też mam zebranie, więc jesteście kwita. On przerwie swoje na pięć minut, ja zrobię to samo, i obaj będziemy zadowoleni.

I okraślił wypowiedź kilkoma ciepłymi kurwami.

– Montalbano? Co jest? Przepraszam, ale mam niewiele czasu.

– Ja też. Posłuchaj, Sciacchitanow...

– Jaki Sciacchitanow? O co ci chodzi?

– Ach, to nie tak się nazywasz? Nie pracujesz w KGB?

– Nie mam ochoty do żartów.

– A ja nie żartuję. Dzwonię do ciebie z biura kwestora, który jest oburzony na sowieckie metody, jakich dopuściliście się w stosunku do moich ludzi. Obiecał mi, że jeszcze dzisiaj napisze do ministra.

Choć to niemożliwe, jednak się stało: zobaczył, jak na drugim końcu linii Sciacchitano, którego lizusostwo było powszechnie znane, robi się błady jak

ściana. Kłamstwo Montalbana zrobiło na nim wrażenie nie mniejsze od uderzenia łodem w głowę.

– Co ty mówisz? Musisz zrozumieć, że ja, jako odpowiedzialny za bezpieczeństwo...

Montalbano przerwał mu.

– Bezpieczeństwo nie wyklucza uprzejmości – rzucił krótko, czując się jak znak drogowy w rodzaju „pierwszeństwo przejazdu nie wyklucza ostrożności”.

– Przecież byłem uprzejmy, i to jak! Kazałem podać im piwo i kanapki!

– Przykro mi, ale muszę cię poinformować, że pomimo piwa i kanapek sprawa znajdzie zakończenie gdzie indziej. Zresztą pociesz się, Sciacchitano, to nie twoja wina. Wyżej nerek nie podskoczysz.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że skoro urodziłeś się głupią pałą, nie możesz umrzeć geniuszem. Żądam listu, zaadresowanego do mnie, w którym jednoznacznie udzielisz moim ludziom pochwały. Najpóźniej jutro. Do widzenia.

– Myślisz, że jeśli napiszę list, to kwestor nie podejmie kroków?

– Powiem uczciwie: nie wiem, czy kwestor podejmie kroki, czy ich nie podejmie. Ale na twoim miejscu bym napisał. Żeby się zabezpieczyć. A w dodatku postawiłbym wczorajszą datę. Jasne?

Wyładował się i od razu zrobiło mu się lżej. Zadzwoił do Catarelli.

– Augello jest w biurze?

– Nie, ale przed chwilą dzwonił. Powiedział, że jest w odległości dziesięciu minut drogi od biura, więc przyjedzie do biura za dziesięć minut.

Montalbano postanowił wykorzystać czas oczekiwania i zasiadł do raportu na pokaz – prawdziwy napisał w nocy we własnym domu. W pewnej chwili

rozległo się pukanie i do gabinetu komisarza wszedł Augello.

– Szukałeś mnie?

– Czy naprawdę nie jesteś w stanie przychodzić do biura trochę wcześniej?

– Przepraszam cię, ale prawdę mówiąc, pracowałem do piątej rano, potem wróciłem do domu, położyłem się i dobranoc.

– Pracowałeś, ale z jakąś kurwą, z tych, które tak cię rajcuja... Co najmniej sto dwadzieścia kilo żywej wagi...

– Więc Catarella nic ci nie powiedział?

– Powiedział, że się spóźnisz.

– Dziś w nocy, około drugiej, doszło do śmiertelnego wypadku. Pojechałem tam i pomyślałem, że pozwolę ci pospać, jako że dla nas ta sprawa nie ma wielkiej wagi.

– Przecież są ofiary śmiertelne, więc może jednak ma.

– Ofiara, tylko jedna. Wiesz, gdzie jest Catena – facet zjechał na złamanie karku, ewidentnie nawaliły mu hamulce, i wpadł pod ciężarówkę, która wjeżdżała pod górę z przeciwnego kierunku. Biedak, zginął na miejscu.

– Znałeś go?

– Pewnie, że znałem. Ty też. Nazywał się Misuraca.

– Montalbano? Właśnie otrzymałem telefon z Palermo. Nie tylko trzeba zwołać konferencję prasową, lecz również musimy jej nadać spory rozgłos. Potrzebują tego do swojej strategii. Przyjadą dziennikarze z innych miast, będą krajowe stacje telewizyjne. Krótko mówiąc, duża rzecz.

– Chcą pokazać, że nowy rząd nie tylko nie popuszcza mafii, ale wręcz przypierają do muru, bez szans na zawieszenie broni.

– Co pana opętało, Montalbano?

– Nic, wyobrażam sobie tytuły, które ukażą się pojutrze.

– Konferencja jest wyznaczona na jutro, na dwunastą. Chciałem pana uprzedzić.

– Dziękuję, panie kwestorze, ale mnie to chyba nie dotyczy?

– Montalbano, ja jestem uprzejmy i miły, lecz tylko do pewnego momentu. Dotyczy to pana, i to jeszcze jak! Jest pan jak dziecko!

– A co mam mówić?

– Na Boga Ojca! Proszę powiedzieć to, co pan napisał w raporcie.

– W którym?

– Nie dosłyszałem. Co pan powiedział?

– Nic.

– Niech pan próbuje mówić jasno, nie półsłówkami, z podniesioną głową. Aha, i ręce. Niech pan ustali raz na zawsze, gdzie mają się znaleźć, i niech pan je tam trzyma. Żeby nie było tak jak ostatnio, kiedy dziennikarz „Corriere” zasugerował głośno, żeby je poucinać, to panu ulży.

– A jeśli mnie wezmą na spytki?

– Pewnie, że wezmą. Przecież to dziennikarze, nie? „Na spytki” – kto pana uczył mówić? Do widzenia.

Za bardzo denerwował się tym, co się działo, i tym, co miało się stać nazajutrz, żeby wysiedzieć w biurze. Wyszedł, zajrzał do ulubionego sklepiku, kupił sporą torebkę orzechów i ziaren, po czym udał się w stronę mola. Kiedy doszedł do podnóża latarni morskiej i odwrócił się, żeby znów pójść do biura, stanął twarzą w twarz z Ernestem Bonfiglio, właścicielem agencji turystycznej i wielkim przyjacielem zmarłego Misuraki.

– Czy nic się nie da zrobić? – Bonfiglio prawie napadł na niego.

Montalbano, który próbował wydłubać sobie spomiędzy zębów kawałek orzeszka, spojrzał na niego osłupiały.

– Pytam, czy da się coś zrobić – powtórzył groźnie Bonfiglio, patrząc spode łba.

– W jakiej sprawie?

– W sprawie mojego zmarłego przyjaciela.

– Poczęstuje się pan? – Komisarz podsunął mu torebkę.

– Owszem, dziękuję – odparł Bonfiglio, nabierając całą garść orzechów i nasion.

Krótką przerwą pozwoliła komisarzowi lepiej przyjrzeć się rozmówcy: poza tym, że serdecznie przyjaźnił się z dziarskim staruszkiem, wiadomo było, iż wyznawał idee skrajnie prawicowe i miał nie do końca po kolei w głowie.

– Mówi pan o Misurace?

– Nie, o moim dziadku.

– A co miałbym zrobić?

– Aresztować morderców. To pański obowiązek.

– A kim mieliby być ci mordercy?

– Nie mieliby być, tylko są. Mam na myśli kierownictwo partii, które nie było godne mieć go w swoich szeregach. To oni go zabili.

– Przepraszam, ale to był chyba wypadek.

– Ach, bo pan myśli, że wypadki to takie gorsze przypadki?

– Chyba tak.

– To się pan myli. Nazywa się je wypadkami, lecz zawsze ktoś się do nich przyczynia. Dla wyjaśnienia podam przykład. Mimi Crapanzano utopił się w lutym tego roku podczas kąpieli w morzu. Nieszczęśliwy wypadek. Ale oto się pytam: ile lat miał Mimi w chwili śmierci? Pięćdziesiąt pięć. Dlaczego w tym wieku naszała go chęć, żeby popływać w lodowatej wodzie, co mu się

zdarzało, kiedy był nastolatkiem? Oto odpowiedź: bo niecałe cztery miesiące wcześniej ożenił się z dwudziestoczteroletnią mediolanką i kiedy spacerowali brzegiem morza, dziewczyna zapytała: „Czy to prawda, że w lutym kąpałeś się w morzu?” „Pewnie”, odpowiedział Crapanzano. Młódka, która widocznie miała już dość starego, westchnęła. „Co ci jest?”, spytał Mimi jak ostatni kutas. „Przykro mi, że tego nie zobaczę”, powiedziała ta kurwa. Crapanzano ani be, ani me, tylko rozebrał się i wskoczył do wody. Czy jasno się wyraziłem?

– Jak najbardziej.

– No to przejdźmy do panów z kierownictwa komórki partyjnej w Montelusie. Po pierwszym zebraniu, które skończyło się pyskówką, wczoraj wieczorem odbyło się następne. Misuraca i jeszcze kilku chciało, żeby władze wydały oświadczenie prasowe, sprzeciwiające się dekretoowi rządowemu, który chroni złodziei przed więzieniem. Jednak ci z kierownictwa byli odmiennego zdania. W pewnej chwili taki jeden powiedział Misurace, że się nadaje na złom, inny stwierdził, że przypomina mu postać z teatru marionetek, trzeci nazwał go starym głupcem. Tego wszystkiego dowiedziałem się od przyjaciela, który był przy tym obecny. Na koniec sekretarz, facet, który nawet nie jest Sycylińczykiem i nazywa się Biraghin, powiedział Misurace, żeby opuścił salę, ponieważ nie ma prawa uczestniczyć w zebraniu. To prawda, ale nikt przedtem nie pozwolił sobie na tego typu uwagę. Przyjaciel wszedł do swojego cinquecenta i odjechał w kierunku Vigaty. Z pewnością krew w nim wrzała, ale tamci celowo chcieli, żeby stracił głowę. A pan mi mówi, że to był wypadek?

Żeby rozmawiać z Bonfiglio, trzeba było dostosować się do jego poziomu, o czym komisarz wiedział z poprzednich doświadczeń.

– Czy jest taka postać w telewizji, której pan szczególnie nie lubi?

– Sto tysięcy, ale Mike Bongiorno jest najgorszy ze wszystkich. Na jego

widok flaki mi się przewracają, mam ochotę rozwalić telewizor.

– Dobrze. Więc jeśli po występie tego prezentera wsiądzie pan do samochodu, uderzy w słup i się zabije, to co według pana powinienem zrobić?

– Aresztować Mike’a Bongiorno – odpowiedział Bonfiglio bez wahania.

Wrócił do biura uspokojony. Kontakt z logiką Ernesta Bonfiglio rozbawił go i odprężył.

– Jakież nowości? – spytał, otwierając drzwi.

– Jest dla pana list do rąk własnych, który właśnie nadszedł pocztą – powiedział Catarella i powtórzył, sylabizując: – Do-rąk-włas-nych.

Na biurku komisarz znalazł pocztówkę od ojca i kilka pism służbowych.

– Catarella, gdzie położyłeś ten list?

– Przecież mówiłem, że jest do rąk własnych! – odpowiedział urażony policjant.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że skoro był do rąk własnych, to należało go odesłać do rąk własnych.

– No dobrze, ręce są tutaj, przede mną, a list gdzie?

– Tam gdzie powinien. Tam gdzie na ogół są ręce adresata. Powiedziałem listonoszowi, żeby go zawiózł do pańskiego domu, panie komisarzu, do Marinelli.

Przed zajazdem „San Calogero” siedział w cieniu kucharz, który był właścicielem lokalu.

– Dokąd panu tak spieszo, komisarzu?

– Idę do domu, muszę coś zjeść.

– Cóż, zrobi pan, jak zechce, lecz mam dziś takie homary, że kiedy je wyjmę z pieca, to będą nie jak jedzenie, ale jak marzenie.

Montalbano wszedł, podążając nie tyle za głosem żołądka, ile wyobraźni. Kiedy już się posilił, odsunął od siebie nakrycie, oparł się o blat stołu, położył głowę na rękach i zasnął. Prawie zawsze jadł w małej salce, gdzie były tylko trzy stoliki, więc Serafino, kelner, mógł bez problemu kierować klientów do dużej sali, żeby komisarz zdrzemnął się w spokoju. Około czwartej, kiedy lokal już zamknięto na czas sjesty, właściciel, widząc, że Montalbano nie daje znaku życia, przygotował filiżankę mocnej kawy i delikatnie go obudził.

6

List do rąk własnych, o którym poinformował go Catarella, zupełnie wyleciał mu z głowy. Przypomniawszy sobie o nim dopiero w chwili, gdy na niego nadepnął – widocznie listonosz wsunął kopertę przez szczelinę pod drzwiami. Adres wyglądał jak na anonimowych donosach: MONTALBANO – KOMISARIAT – MIASTO. W lewym górnym rogu widniał dopisek „do rąk własnych”, który niestety spowodował genialne rozbłyski w głowie Catarelli.

Jednak to nie był anonim. Podpis, który Montalbano zobaczył, jak tylko otworzył kopertę, eksplodował mu w mózgu jak dynamit.

Szanowny Panie Komisarzu! Przyszło mi do głowy, że najprawdopodobniej nie będę mógł przyjść do Pana jutro rano na umówione spotkanie. Jeśli przypadkiem – co wydaje się bardzo możliwe – podczas zebrania władz komórki partyjnej w Montelusie, na które się udam natychmiast po napisaniu tego listu, nie uzyskam poparcia dla mojego stanowiska, wówczas będę zmuszony odbyć podróż do Palermo i spróbować poruszyć serca i sumienia aktywistów, którzy pełnią naprawdę decydujące funkcje w łonie naszej Partii. Jestem skłonny polecieć nawet do Rzymu i prosić o posłuchanie samego Sekretarza Generalnego. Gdybym zrealizował powyższe zamiary, znacznie oddaliłoby to nasze spotkanie, dlatego też proszę mi wybaczyć, że przekazuję na piśmie wszystko, co chciałbym wyrazić podczas rozmowy w cztery oczy.

Jak Pan z pewnością pamięta, nazajutrz po dziwnej kradzieży w supermarkecie, która niby nie była kradzieżą, przyszedłem z własnej woli do komisariatu, by powiedzieć, że przypadkowo widziałem grupę osób, które

spokojnie, choć o nietypowej porze, pracowały przy włączonych światłach i pod ochroną osobnika w mundurze przypominającym uniform nocnego stróża. Przejeżdżając w pobliżu, nikt nie mógłby spostrzec niczego niezwykłego w tej scenie: gdybym zauważył coś takiego, osobiście powiadomiłbym niezwłocznie siły porządkowe.

Tej nocy, kiedy byłem świadkiem powyższych wypadków, nie mogłem zasnąć z powodu podenerwowania, w które wprawiły mnie dyskusje z kilkoma działaczami, i wówczas sięgnąłem pamięcią do sceny kradzieży. I dopiero wtedy przypomniałem sobie fakt, który może się okazać nader istotny. Wracając z Montelusy, pod wpływem wzburzenia pomyliłem drogę wjazdową do Vigaty, do czego przyczyniła się także cała seria ustawionych ostatnio bezsensownych znaków nakazujących ruch jednokierunkowy. I tak, zamiast wjechać w via Granet, wjechałem w dawną ulicę Lincoln, wskutek czego zacząłem się posuwać w kierunku przeciwnym do nakazanego. Kiedy przejechawszy jakieś pięćdziesiąt metrów, zdałem sobie sprawę z popełnionego błędu, wrzuciłem wsteczny bieg i wycofałem się do via Trupia, w którą mógłbym wjechać tyłem, żeby następnie przyjąć właściwy kierunek. Jednak okazało się, że nie mogę wjechać w zaułek, ponieważ jest on dosłownie zabarykadowany wielkim samochodem typu „Ulisse” ostatnio szeroko reklamowanym, lecz niedostępnym jeszcze w sprzedaży, chyba że w drodze wyjątku, o numerze rejestracyjnym: Montelusa 328280. Wobec tego faktu pozostało mi tylko kontynuować jazdę w niewłaściwym kierunku. Niebawem wyjechałem na plac Chiesa Vecchia, gdzie znajduje się supermarket.

Zaoszczędzę Panu zbytecznych dochodzeń: jedyny w mieście egzemplarz tego samochodu należy do pana Carmela Ingrassii. Pytam więc: skoro Ingrassia mieszka w Monte Ducale, co robił jego samochód o dwa kroki od supermarketu, który również do niego należy i który w tym samym czasie

rzekomo był okradany? Do Pana należy odpowiedź.

Z wyrazami szacunku.

Gerlando Misuraca

„A toś mi przypierdolił, mój panie!” – skomentował w duchu Montalbano, patrząc spode łba na list, który leżał na stole w jadalni. O jedzeniu nie mogło już być mowy. Otworzył lodówkę tylko po to, żeby oddać pokłon kulinarnej wiedzy Adeliny, pokłon zasłużony, ponieważ natychmiast poczuł zniewalający zapach marynowanych ośmiorniczek. Zamknął lodówkę; nie mógłby nic przełknąć, jakaś niewidzialna pięść zaciskała mu żołądek. Rozebrał się i zaczął chodzić nago nad brzegiem morza, i tak o tej porze nikt się tu nie pojawiał. Nie był głodny i nie chciało mu się spać. Około czwartej nad ranem wskoczył do lodowatej wody, długo pływał, potem wrócił do domu. Zorientował się, że mu stoi. Roześmiał się i postanowił z nim porozmawiać, przemówić wackowi do rozsądku.

– Nie rób sobie złudzeń.

Twardziel zasugerował, że być może coś na to poradzi telefon do Livii. Do Livii, która leży teraz nago w swoim łóżku.

– Nie dość, że jesteś głupim chujem, to w dodatku mówisz jak chuj. Tak to możesz sobie pogadać do szczeniaka, który wali konia pod kołdrą.

Twardziel obraził się i zrezygnował. Montalbano włożył majtki, okrył się suchym ręcznikiem, wziął krzesło i usiadł na werandzie.

Przez dłuższy czas patrzył na morze. Powoli się rozjaśniało, następnie zaczęło nabierać barw i pokrywać się żółtymi pasmami słońca. Zapowiadał się piękny dzień. Komisarz poczuł się lekko, był gotowy do działania. Po lekturze listu od Misuraki przyszło mu do głowy kilka pomysłów, a kąpiel pomogła je uporządkować.

– W tym stanie nie może się pan pokazać na konferencji prasowej – orzekł Fazio, przyglądając mu się surowo.

– A co, ty też zaliczyłeś praktyki w oddziałach antymafijnych?

Montalbano otworzył pękatą reklamówkę, którą trzymał w ręku.

– Mam tutaj spodnie, marynarkę, koszulę i krawat. Przebiorę się, zanim pojedę do Montelusy. Wiesz co, pomóż mi. Wyjmij to z torby i rozwiś na krześle, bo jeszcze się pogniecie.

– Już się pogniotło. Zresztą nie chodzi mi o ubranie, tylko o twarz. Musi pan koniecznie iść do fryzjera.

Fazio, który dobrze znał komisarza, użył słowa „koniecznie”, bo wiedział, jak trudno go namówić, żeby się ostrzygł. Montalbano przeczesał włosy ręką i zgodził się, że nożyczki są tu niezbędne. Po czym spochmurniał.

– To się, kurwa, niedobrze zapowiada! – zawyrokował.

Przed wyjściem wydał polecenie: podczas gdy on będzie się robił na bóstwo, ktoś ma poszukać Carmela Ingrassii i doprowadzić go do komisariatu.

– A jeśli mnie spyta dlaczego, to co mam odpowiedzieć? – odezwał się Fazio.

– Nic nie odpowiadaj.

– A jeśli będzie nalegał?

– Jeśli będzie nalegał, to mu powiedz, że chcę go spytać, kiedy ostatnio robił sobie lewatywę. Może być?

– Musi pan się wściekać?

Fryzjer, jego pomocnik i jakiś klient usadowiony na jednym z dwóch obracanych foteli, które z wielkim trudem mieściły się w salonie, a raczej w suterenie, dyskutowali o czymś z ożywieniem, lecz kiedy zobaczyli komisarza, natychmiast zamilkli. Montalbano wszedł z twarzą, o której sam

mówił, że „się prosi brzytwy”, czyli z wargami zaciśniętymi w szczelinę, oczami podejrzliwie przymkniętymi, nastroszonymi brwiami, z miną równie wzgardliwą co surową.

– Dzień dobry, czy długo trzeba czekać?

Nawet jego głos stał się niski i ochryply.

– Nie, komisarzu, proszę się rozgościć.

Podczas gdy Montalbano sadowił się na pustym fotelu, fryzjer, w tempie jak z komedii Chaplina, zachwalał wykonane dzieło, podsuwając klientowi lusterko pod kark. Wreszcie zdjął zużyty ręcznik, wrzucił do pojemnika, wyjął czysty i rozwiesił go na barkach komisarza. Klient, podziękowawszy pomocnikowi za rytualne szczotkowanie marynarki, dosłownie wziął nogi za pas, ledwie mamrocząc do widzenia.

Obrządek golenia i strzyżenia odbył się w całkowitym milczeniu, szybko i posepnie. Kolejny klient chciał wejść, rozchylając zasłonę z paciorków, lecz zwęszył klimat i rozpoznał komisarza, więc rzucił tylko, że wpadnie później, i zniknął.

Wracając do biura, Montalbano czuł, że unosi się nad nim nieokreślona, lecz obrzydliwa woń, coś pomiędzy zapachem terpentyny a pudru, którego trzydzieści lat temu używały kurwy. Był to smród jego własnych włosów.

– Czekaj na pana Ingrassia – powiedział Tortorella ściszonego głosem spiskowca.

– A Fazio?

– Poszedł do domu, żeby się przebrać. Dzwonili z kwestury. Mówili, że również Fazio, Gallo, Galluzzo i Germanii muszą wziąć udział w konferencji.

„Widocznie mój telefon do tego sukinsyna Sciacchitano poskutkował” – pomyślał Montalbano.

Ingrassia, który tym razem ubrany był na jasnozielone, poderwał się z krzesła.

– Proszę siedzieć – powiedział komisarz, zajmując miejsce za biurkiem. Odruchowo podniósł dłoń do włosów i natychmiast w całym pomieszczeniu zawisła woń lakieru i pudru. Czując smród, przytknął palce do nosa, powąchał je i utwierdził się w podejrzeniu. Ale nic na to nie dało się poradzić, w komisariacie nie było szamponu. Od razu odzyskał minę, która „się prosi brzytwy”.

Widząc zmianę na twarzy komisarza, Ingrassia zaniepokoił się i wyprostował plecy.

– Co jest? – zapytał.

– Przepraszam, a w jakim znaczeniu?

– No... w każdym znaczeniu – zdziwił się Ingrassia.

– Cóż – mruknął wymijająco Montalbano.

Znów zaczął obwąchiwać sobie palce i rozmowa zamarła.

– Słyszał pan, co się przytrafiło biednemu Misurace? – spytał w końcu, jak gdyby rozmawiał z dobrym znajomym gdzieś w neutralnym miejscu.

– Co za życie! – westchnął ze smutkiem Ingrassia.

– Proszę pomyśleć: prosiłem, żeby tu przyszedł i opowiedział mi szczegółowo, co widział tamtej nocy, kiedy było włamanie, umówiliśmy się, a tymczasem...

Ingrassia rozłożył ręce w geście, który miał przekonać Montalbana, że trzeba się pogodzić z nieprzychylnymi zrządaniami losu. Odczekał chwilę, wystarczającą na krótką medytację.

– Proszę wybaczyć – odezwał się – ale jakie szczegóły mógłby jeszcze panu wyjawić biedny Misuraca? O wszystkim, co widział, przecież już panu opowiedział.

Montalbano pokręcił przecząco palcem.

– Myśli pan, że nie opowiedział o wszystkim, co wtedy zobaczył? – spytał zaintrygowany Ingrassia.

Montalbano raz jeszcze pokiwał palcem.

„Poć się teraz, kutasie” – pomyślał. Zielona gałąź, którą był Ingrassia, rozkołysała się jak pod silnym podmuchem wiatru.

– A więc czego pan chciał się od niego dowiedzieć?

– Tego, o czym zapomniał.

Wiatr przeszedł w potężną wicherę, gałąź się zatrzęsła.

– Nie rozumiem.

– Zaraz to panu wytłumaczę. Widział pan pewnie obraz Bruegla zatytułowany *Wesele chłopskie*?

– Kto? Ja? Nie – odparł Ingrassia, wyraźnie strapiiony.

– Nie szkodzi. Za to widział pan pewnie jakiś obraz Hieronima Boscha.

– Nie – powtórzył Ingrassia i zaczął się pocić. Tym razem przestraszył się nie na żarty, a jego twarz zaczęła nabierać barwy ubrania.

– Nieważne, zostawmy to – rzekł wielkodusznie Montalbano. – Chciałem tylko powiedzieć, że widząc jakąś scenę, zapamiętuje się pierwsze, ogólne wrażenie. Prawda?

– Prawda – odrzekł Ingrassia, gotowy już na najgorsze.

– Potem, powolutku, człowiek zaczyna przypominać sobie niektóre szczegóły, które widział, zachował w pamięci, lecz odsunął od siebie jak coś, co nie ma żadnego znaczenia. Podam przykład: otwarte czy zamknięte okno, hałas... co tam jeszcze... gwizd, piosenka, przestawione krzesło, samochód w miejscu, w którym nie powinno go być, gasnące światło... Takie tam rzeczy, błahostki, szczegóły, które w ostatecznym rozrachunku okazują się

decydujące.

Ingrassia wyciągnął z kieszeni białą chusteczkę z zielonym szlaczkiem i otarł pot z czoła.

– Wezwał mnie pan tylko po to, żeby mi to powiedzieć?

– Nie trudziłbym pana na darmo, nigdy bym sobie na to nie pozwolił. Chcę wiedzieć, czy miał pan jakieś wiadomości od ludzi, którzy zrobili panu kawał i włamali się na niby do pańskiego supermarketu.

– Nikt się do mnie nie odezwał.

– To dziwne.

– Dlaczego?

– Dlatego, że w każdym kawale najfajniejsze jest to, że można się potem pośmiać razem z jego ofiarą. Tak czy inaczej, jeśli przypadkiem się odezwą, proszę mnie poinformować. Do widzenia.

– Do widzenia – odparł Ingrassia i podniósł się z krzesła. Był zlany potem, spodnie przykleiły mu się do pośladków.

Fazio już się wystroił, jego mundur aż lśnił.

– Jestem tutaj – powiedział.

– A papież jest w Rzymie.

– Rozumiem, komisarzu, ma pan dziś kiepski dzień.

Odwrócił się, żeby odejść, ale zatrzymał się na progu.

– Dzwonił komisarz Augello, mówił, że bardzo bolą go zęby. Przyjdzie, jeśli jest niezbędny.

– Słuchaj, czy wiesz, gdzie jest teraz wrak samochodu Misuraki?

– Jeszcze tutaj, w naszym garażu. Proszę posłuchać: to wszystko z zawiści.

– O czym ty mówisz?

– O bólu zębów komisarza Augello. To atak zawiści.

– Jakiej zawiści?

– W stosunku do pana, ponieważ pan jedzie na konferencję, a on nie. I pewnie jest w dodatku wkurwiony, bo nie chciał mu pan powiedzieć, kogo aresztowaliśmy.

– Czy mogę cię o coś prosić?

– Tak jest, zrozumiałem, już sobie idę.

Kiedy Fazio zamknął za sobą drzwi, komisarz podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Usłyszał głos, który brzmiał jak parodia dubbingowanej Murzynki.

– Galo? Gdo mofi? Gdo mofi ty?

„Skąd rodzina Cardamone sprowadza pomoc domową?” – zadał sobie w duchu pytanie.

– Czy jest pani Ingrid?

– Dag, ale gdo mofi?

– Salvo Montalbano.

– Ty czega.

Głos Ingrid brzmiał natomiast tak samo jak głos włoskiej aktorki, która dubbingowała Gretę Garbo, też Szwedkę, jak Ingrid.

– Cześć, Salvo, co słyhać? Dawno się nie widzieliśmy.

– Potrzebuję twojej pomocy, Ingrid. Czy jesteś wolna dziś wieczorem?

– Prawdę mówiąc, nie. Lecz jeśli to coś ważnego, zmienię plany.

– To ważne.

– A więc gdzie i o której?

– Dzisiaj o dziewiątej, w barze w Marinelli.

Konferencja prasowa była dla Montalbana długą i wstydliwą udręką, czego się zresztą spodziewał. Z Palermo przyjechał wicekwesor De Dominicis z oddziałów antymafijnych i zajął miejsce po prawicy kwestora. Władcze gesty i zabójcze spojrzenia wyłowiły Montalbana z tłumu, w którym chciał pozostać, i zmusiły, by usiadł po lewej stronie przełożonego. Za ich plecami stali Fazio, Germana, Gallo i Galluzzo. Pierwszy przemówił kwesor i na samym początku wymienił nazwisko aresztowanego, numer jeden wśród numerów dwa: Gaetano Bennici, czyli Tano nazywany „Grekiem”, wielokrotny morderca, poszukiwany od lat. Efekt był piorunujący. Liczni dziennikarze, którym towarzyszyły cztery kamery telewizyjne, podskoczyli na krzesłach i zaczęli wymieniać uwagi, aż kwesor z trudem przywrócił porządek. Powiedział, że aresztowanie Tana jest zasługą komisarza Montalbano; to właśnie on – przy pomocy swoich ludzi, których przełożony po kolei przedstawił – umiał zręcznie i odważnie wykorzystać sprzyjającą okazję. Następnie głos zabrał De Dominicis i opowiedział o roli, jaką Tano pełnił w łonie organizacji – roli jeśli nie pierwszoplanowej, to prawie. Kiedy usiadł, Montalbano zrozumiał, że został rzucony wilkom na pożarcie.

Pytania padały seriami, szybciej niż z kałasznikowa. Czy doszło do strzelaniny? Czy Tano był sam? Czy po stronie sił porządkowych są ranni? Co mówił Tano, kiedy założono mu kajdanki? Czy Tano spał, czy nie? Czy był z kobietą? Z psem? Czy to prawda, że zażywał narkotyki? Ile ma zabójstw na sumieniu? Jak był ubrany? Czy miał na sobie majtki? Czy to prawda, że Tano jest kibicem Milami? Że nosi przy sobie zdjęcie Ornelli Muti? Co to za sprzyjająca okazja, o której wspomniał kwesor?

Montalbano odpowiadał z wysiłkiem, coraz gorzej rozumiejąc własne słowa.

„Jak dobrze, że jest telewizja – pomyślał. – Będę mógł się potem obejrzeć i może zrozumieć te idiotyzmy, które tu wygaduję”.

Sytuacja stała się jeszcze trudniejsza, kiedy zobaczył wpatrzone w niego z uwielbieniem oczy inspektor Anny Ferrary.

Z grzęzawiska, w którym się pogrążył, próbował go wyciągnąć redaktor Nicoló Zito z Retelibery, jego szczerzy przyjaciel.

– Panie komisarzu, mam pytanie. Powiedział pan, że spotkał Tana, wracając z Fiakki, dokąd został pan zaproszony przez przyjaciół na coś, co się nazywa *tabisca*. Czy dobrze usłyszałem?

– Tak.

– Co to jest *tabisca*?

Bardzo często jadali ją razem, więc zadając to pytanie, Zito rzucił mu koło ratunkowe. Montalbano wykorzystał szansę. Nabierając nagle pewności siebie i precyzji, oddał się szczegółowej opowieści o tej nadzwyczajnej, wielosmakowej pizzy.

7

W człowieku, który wyglądał, jak gdyby wbijano go na pał, jękał się, okazywał wahanie, to znów zdziwienie, dezorientację lub zmieszanie, choć wciąż miał roześmiane oczy, a którego kamera Retelibery bezlitośnie pokazywała na pierwszym planie, Montalbano z trudem rozpoznał samego siebie pod gradem pytań bezczelnych dziennikarzy i zwykłych sukinsynów. Wypowiedzi, w której wyjaśniał, co to jest *tabisca*, czyli tej, która poszła mu najlepiej, w ogóle nie pokazano, być może dlatego, że nie miała wiele wspólnego z głównym tematem konferencji, czyli z aresztowaniem Tana.

Bakłażany po parmeńsku, które gospodyni zostawiła w piekarniku, nagle wydały mu się za słone. Adelina na pewno ich nie przesoliła, więc było to złudzenie, psychologiczny efekt zobaczenia w telewizji własnego wygłupu.

Wtem naszła go ochota, żeby wybuchnąć płaczem, położyć się na łóżku i owinąć prześcieradłem jak mumia.

– Komisarz Montalbano? Mówi Luciano Acquasanta z gazety „Il Mezzogiomo”. Czy zechciałby pan udzielić mi wywiadu?

– Nie.

– Nie zajmę panu zbyt wiele czasu, obiecuję.

– Nie.

– Komisarz Montalbano? Mówi Spingardi, Attilio Spingardi z redakcji RAI w Palermo. Organizujemy dyskusję panelową poświęconą...

– Nie.

– Zaraz powiem dokładnie, o co chodzi...

– Nie.

– To ty, kochany? Mówi Livia. Jak się czujesz?

– Dobrze. Dlaczego pytasz?

– Właśnie widziałam cię w telewizji.

– Jezu! Widziały mnie całe Włochy?

– Chyba tak. Ale tylko przez chwilę.

– Czy było mnie słychać?

– Nie, mówił wyłącznie spiker. Widać było tylko twoją twarz i dlatego się tak zmartwiłam. Byłeś żółty jak cytryna.

– Puszczali to w kolorze?!

– Pewnie. Co chwila unosiłeś dłoń do oczu i czoła.

– Bolała mnie głowa i oślepiały reflektory.

– Już wszystko w porządku?

– Tak.

– Komisarz Montalbano? Nazywam się Stefania Quattrini, jestem z redakcji „Essere donna”. Chcielibyśmy przeprowadzić z panem wywiad telefoniczny. Czy może pan zaczekać przez chwilę przy słuchawce?

– Nie.

– To potrwa tylko kilka minut.

– Nie.

– Czy mam zaszczyt rozmawiać osobiście ze słynnym komisarzem Montalbano, który bierze udział w konferencjach prasowych?

– Odpierdol się.

– Nie, odpierdolić się wcale nie mamy zamiaru, ale przypierdolić ci – owszem.

– Kto mówi?

– Twoja śmierć. Możesz być pewny, że nie ujdzie ci to na sucho, pierdolony komediantcie! Kogo próbowałeś nabrać na to przedstawienie, które odegrałeś ze swoim kumplem Tanem? Zapłacisz za to, że chciałeś nas zrobić w chuja.

– Halo! Halo!

Połączenie zostało przerwane. Montalbano nie zdążył pomyśleć o tych złowrogich słowach, zastanowić się nad nimi, ponieważ znów usłyszał natarczywy dźwięk dzwonka, tym razem u drzwi. Był pewny, że jakiś dziennikarz, bardziej cwany od innych, postanowił go najść osobiście. Rozdrażniony podbiegł do drzwi i wrzasnął:

– Kiego chuja?!

– To ja, kwestor.

Czego on tu szuka, w jego własnym domu, nie uprzedziwszy go nawet o wizycie? Mocno nacisnął klamkę i otworzył drzwi na oścież.

– Dzień dobry, proszę wejść – powiedział i usunął się na bok.

Kwestor nie ruszył się z miejsca.

– Nie mamy czasu. Proszę doprowadzić się do porządku i zejść, czekam w samochodzie.

Obrócił się na pięcie i odszedł.

Przechodząc przed szafą z wielkim lustrem, Montalbano zrozumiał, co kwestor miał na myśli, mówiąc, by doprowadził się do porządku. Był przecież całkiem nagi.

Zamiast napisu POLICJA samochód miał znak firmy wynajmującej pojazdy. Na miejscu kierowcy siedział, w cywilu, agent kwestury w Montelusie. Kiedy komisarz wsiadł, kwestor natychmiast zaczął mówić.

– Przepraszam, że nie uprzedziłem, ale pański telefon przez cały czas był zajęty.

– No właśnie.

Kwestor mógł przerwać te rozmowy, to oczywiste, lecz to nie było w jego stylu – odznaczał się uprzejmością i dyskrecją. Montalbano nie wytłumaczył, dlaczego telefon nie dawał mu spokoju; nie był to dobry moment, przełożony wydawał się zdenerwowany jak nigdy, miał ściągniętą twarz i usta przełamane w jakiś dziwny grymas.

Po upływie trzech kwadransów od chwili, gdy wjechali na szosę z Montelusy do Palermo – a kierowca przyciskał gaz do dechy – komisarz zaczął przyglądać się krajobrazowi tego zakątka wyspy, który najbardziej lubił.

„Naprawdę ci się podoba?” – pytała go Livia, kiedy kilka lat temu przywiózł ją w te okolice.

Jałowe wzgórza, podobne do gigantycznych kurhanów, pokryte tylko żółtymi kępkami suchej trawy – nieuprawiane przez ludzi zniechęconych niszczącym działaniem suszy i palących promieni słońca lub po prostu zmęczonych z góry przegraną walką – od czasu do czasu były poprzedzielane szarymi skałami w kształcie pinakli, wyrastającymi nierealnie z próżni, a może opadającymi z góry, stalaktytami lub stalagmitami tej przepastnej groty pod gołym niebem, którą jest Sycylia. Rzadkie domy – parterowe, zaniedbane, nieregularne kamienne sześciany – stały koślawo, jak gdyby szczęśliwie oparły się gwałtownemu wybuchowi ziemi, która nie miała ochoty znosić ich ciężaru. Owszem, trafiały się nieliczne wyspy zieleni, lecz

nie były to drzewa czy uprawy, tylko agawy, opuncje, trawy, paprocie, wymęczone i zakurzone, również bliskie ostatecznej rezygnacji.

Kwestor chyba czekał na odpowiednią scenografię, bo wreszcie się odezwał, ale komisarz czuł, że nie zwraca się do niego, lecz do samego siebie, wygłaszając coś w rodzaju bolesnego i gniewnego monologu.

– Dlaczego to zrobili? Kto podjął taką decyzję? Gdyby przeprowadzić dochodzenie, okazałoby się, że nikt nie wyszedł z inicjatywą lub że musieli działać z rozkazu przełożonych. A więc kim są ci przełożeni, którzy wydali taki rozkaz? Szef oddziałów antymafijnych zaprzeczyłby, podobnie jak minister spraw wewnętrznych, premier i głowa państwa. W hierarchii pozostają już tylko papież, Jezus, Matka Boska i Pan Bóg. Rozdzieraliby szaty: jak można podejrzewać, że to oni wydali takie polecenie? Jedynym winnym jest szatan – ten, który wyrobił sobie opinię sprawcy wszelkiego zła. Oto kto jest winien: diabeł! Krótko mówiąc, postanowili przenieść go do innego więzienia.

– Tana? – odważył się zapytać Montalbano.

Kwestor nawet nie odpowiedział.

– Dlaczego? Nie dowiemy się nigdy, to pewne. I podczas gdy my byliśmy na konferencji prasowej, oni wsadzali go do jakiegoś pierwszego lepszego samochodu w eskorcie dwóch agentów w cywilu... Boże, jakie to cwaniaki!... oczywiście po to, żeby nie rzucać się w oczy, i kiedy od strony Trabii wyjechało z podrzędnej alejki dwóch facetów na potężnym motocyklu, całkowicie anonimowych, bo mieli kaski na głowach... Obaj agenci nie żyją, on w szpitalu walczy o życie. To tyle.

Montalbano przyjął wiadomość w milczeniu i pomyślał cynicznie, że gdyby zabili Tana kilka godzin wcześniej, jemu zaoszczędziliby tortury udziału w konferencji prasowej. Zaczął zadawać pytania tylko dlatego, że ten wybuch goryczy wyraźnie uspokoił kwestora.

– Ale skąd wiedzieli, że...

Kwestor uderzył ręką w oparcie przedniego siedzenia, aż kierowca podskoczył na swoim miejscu, a samochód lekko się zakołysał.

– Co to za pytanie, Montalbano? Wtyczka, i tyle. I to mnie doprowadza do szału.

Kolejne pytanie komisarz zadał dopiero po kilku minutach.

– Więc po co my tam jedziemy?

– Chce z panem rozmawiać. Czuje, że umiera, i chce coś panu powiedzieć.

– Aha. A pan dlaczego zadaje sobie tyle trudu? Mógłbym pojechać sam.

– Jadę z panem, żeby uniknąć opóźnień, kłopotów. Tamci, w swojej subtelnej inteligencji, byliby pewnie zdolni uniemożliwić panu tę rozmowę.

Przed bramą szpitala stał wóz pancerny. Po ogrodzie, z opuszczonymi karabinami, chodziło chyba dziesięciu strażników.

– Kutasy – powiedział kwestor.

Z narastającym napięciem, co najmniej pięć razy musieli poddać się kontroli, aż wreszcie dotarli do korytarza, z którego wchodziło się do pokoju Tana. Wszyscy chorzy zostali stamtąd wywiezieni; przeprowadzka odbyła się wśród przekleństw i złorzeczeń. Na dwóch przeciwległych końcach korytarza stali czterej uzbrojeni policjanci, dwaj inni trzymali wartę przed drzwiami, za którymi musiał przebywać Tano. Kwestor pokazał im przepustkę.

– Gratuluję – powiedział do podoficera.

– Czego, panie kwestorze?

– Wzorowej służby.

– Dziękuję. – Twarz podoficera rozjaśniła się w uśmiechu; biedak nie wyczuł ironii, z jaką kwestor wypowiedział pochwałę.

– Niech pan wejdzie sam, ja zaczekam.

Dopiero wtedy kwestor zauważył, że Montalbano jest siny, a pot oblewa mu czoło.

– Mój Boże, Montalbano! Co się z panem dzieje? Żle się pan czuje?

– Czuję się świetnie – odpowiedział komisarz przez zaciśnięte zęby.

Nie mówił prawdy, tak naprawdę czuł się potwornie. Z nieboszczyków nic sobie nie robił, mógł spać spokojnie w ich towarzystwie, udawać, że je z nimi kolację lub gra w kanastę albo w durnia, nie robili na nim wrażenia, lecz na widok umierających pocił się, ręce zaczynały mu drżeć, czuł, że ogarnia go chłód i pali w żołądku.

Pod prześcieradłem ciało Tana wydawało się krótkie, mniejsze, niż zapamiętał. Ręce leżały bezwładnie wzdłuż boków, prawa była grubo owinięta bandażem. Z nosa, który sprawiał wrażenie przezroczystego, wychodziły rurki przewodów z tlenem, twarz wyglądała jak maska woskowej kukły. Powstrzymując chęć ucieczki, komisarz wziął metalowe krzesło i usiadł przy umierającym, który miał zamknięte oczy; można by pomyśleć, że śpi.

– Tano, Tano. To ja, komisarz Montalbano.

Tamten zareagował natychmiast, uniósł powieki, drgnął, jak gdyby chciał usiąść na łóżku. Ten gest był z pewnością podyktowany instynktem ściganego przez lata zwierzęcia. Następnie wzrok Tana zatrzymał się na komisarzu, napięcie ciała wyraźnie zaczęło ustępować.

– Chciał pan ze mną rozmawiać?

Tano przytaknął, a na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. Mówił bardzo powoli, z wielkim wysiłkiem.

– Więc jednak zepchnęli mnie z drogi.

Nawiązywał do rozmowy, którą odbyli w domku, lecz Montalbano nie

wiedział, jak odpowiedzieć.

– Proszę się przybliżyć.

Montalbano podniósł się z krzesła i pochylił nad rannym.

– Jeszcze.

Komisarz pochylił się tak nisko, że aż dotknął uchem warg umierającego – parzący oddech przepełnił go wstrętem. I wówczas Tano powiedział mu to, co miał do powiedzenia, jasno i precyzyjnie. Lecz mówienie zmęczyło go, ponownie zamknął oczy i Montalbano nie wiedział, co robić: odejść czy pozostać jeszcze przez chwilę. Usiadł, a wtedy Tano znowu coś powiedział stłumionym głosem. Komisarz podniósł się i pochylił nad umierającym.

– Nie usłyszałem.

– Boję się.

Był przerażony, i to tak bardzo, że nie wahał się tego wyznać. Czy to oznaczało współczucie – ta nagła fala ciepła, to poruszenie serca, to zasmucenie? Montalbano położył dłoń na czole Tana i tym razem spontanicznie przeszedł na ty.

– Nie krępuj się, nie wstydz. Również dlatego jesteś człowiekiem. Wszyscy będziemy się bali tej drogi. Żegnaj, Tano.

Wyszedł szybkim krokiem, zamknął za sobą drzwi. Oprócz kwestora i agentów byli teraz w korytarzu De Dominicis i Sciacchitano. Podbiegli do niego.

– Co powiedział? – spytał niecierpliwie De Dominicis.

– Nic, nie zdążył mi powiedzieć niczego. Najwyraźniej chciał, ale nie zdążył. Umiera.

– Cóż – westchnął z powątpiewaniem Sciacchitano.

Montalbano z całym spokojem położył mu otwartą dłoń na piersi i mocno go popchnął. Tamten cofnął się, zdziwiony, o trzy kroki.

– I nie ruszaj się stamtąd – rzucił przez zęby komisarz.

– Montalbano, wystarczy – zainterweniował kwestor.

Wydawało się, że De Dominicis nie przykłada wielkiej wagi do konfliktu między policjantami.

– Ciekawe, co takiego chciał panu powiedzieć – nalegał, wbijając w niego pytające spojrzenie, z wyrazem, który miał oznaczać: wciskasz mi kit.

– Jeśli to panu sprawi przyjemność, spróbuję zgadnąć – odwarknął nieuprzejmie Montalbano.

Przed wyjściem ze szpitala wychylił w barze podwójną J&B bez wody. Ruszyli w kierunku Montelusy. Komisarz obliczył, że około wpół do ósmej wróci do Vigaty, a więc na spotkanie z Ingrid mógł się stawić punktualnie.

– Powiedział, prawda? – spytał spokojnie kwestor.

– Tak.

– Coś ważnego?

– Tak myślę.

– Dlaczego chciał to powiedzieć właśnie panu?

– Obiecał, że osobiście mi się odwdzięczy za lojalność, jaką mu okazałem w całej tej sprawie.

– Słucham pana.

Kiedy Montalbano skończył relację, kwestor pogrążył się w myślach. Następnie głęboko westchnął.

– Niech pan przeprowadzi wszystko sam, ze swoimi ludźmi. Lepiej, żeby nikt się o niczym nie dowiedział. Nie wolno tego rozgłaszać nawet w kwesturze: dopiero co miał pan okazję się przekonać, że wtyczki mogą być wszędzie.

W widoczny sposób znów popadł w zły nastrój, który ogarnął go już

podczas drogi do Palermo.

– Do tego doszło! – rzucił wściekle.

Kiedy byli w połowie drogi, zadzwonił telefon.

– Tak? – odpowiedział kwestor.

Z drugiej strony ktoś mówił krótko.

Kwestor podziękował i zwrócił się do komisarza.

– To był De Dominicis. Uprzejmie poinformował, że Tano umarł w chwili, gdy wychodziliśmy ze szpitala.

– Teraz dopiero powinni uważać – powiedział Montalbano.

– Na co?

– Żeby im nie ukradli zwłok – odparł z ponurą ironią komisarz.

Przez dłuższy czas jechali w milczeniu.

– Dlaczego De Dominicis zadał sobie tyle trudu, żeby pana powiadomić o śmierci Tana?

– Mój drogi, tak naprawdę to ten telefon był przeznaczony dla pana. To jasne, że De Dominicis, który głupi nie jest, słusznie podejrzewa, że Tano zdążył coś panu powiedzieć. I chciałby podzielić się z panem zdobyczą lub podwędzić ją panu w całości.

W biurze zastał tylko Catarellę i Fazia. Tym lepiej, wołał porozmawiać z Faziem na osobności. Bardziej z obowiązku niż z ciekawości zapytał:

– A gdzie reszta?

– Gonią czterech smarkaczy na motorach, którzy urządzili sobie wyścigi.

– Jezu! Cały komisariat poszedł na jeden wyścig?

– To wyjątkowy wyścig – wyjaśnił Fazio. – Jeden motocykl jest żółty, a drugi zielony. Najpierw startuje żółty i pędzi wyznaczoną trasą, kradnąc po

drodze wszystko, co jest do ukradzenia. Po godzinie lub dwóch, kiedy ludzie są już spokojni, startuje zielony i podpierała wszystko, co daje się podpierdolić. Następnie zmieniają trasę i dzielnicę, ale za drugim razem pierwszy startuje zielony. Wygrywa ten, kto ukradł więcej.

– Rozumiem. Posłuchaj, Fazio, wieczorem powinienes zjrzeć do firmy Vinti. Poproś w moim imieniu szefa, żeby pożyczył nam jakieś łopaty, kilofy, motyki i szpadle, razem około dziesięciu sztuk. Jutro rano wszyscy spotykamy się tutaj. W biurze pozostaną komisarz Augella i Catarella. Będziemy potrzebowali dwóch samochodów... nie, poproś o jeden, ale powiedz, żeby pożyczyci nam jeepa. A propos, kto ma klucz do naszego garażu?

– Zawsze ma go dyżurny. Teraz jest u Catarelli.

– Zabierz mu i przynieś tutaj.

– Już się robi. Przepraszam, komisarzu, a po co nam łopaty i motyki?

– Zmieniamy zawód. Od jutra będziemy się oddawać rolnictwu, zdrowemu życiu na polach. Pasuje ci?

– Z panem, komisarzu, od kilku dni w ogóle nie sposób się dogadać. Czy można wiedzieć, co się z panem dzieje? Zrobił się pan ponury i niesympatyczny.

8

Poznał Ingrid w trakcie dochodzenia, kiedy został podstępnie naprowadzony na jej trop, ponieważ, choć była zupełnie niewinna, ktoś przeznaczył dla niej rolę kozła ofiarnego. Odtąd między komisarzem a tą piękną kobietą zrodziła się dziwna przyjaźń. Co jakiś czas Ingrid dawała o sobie znać, dzwoniła, i wtedy spędzali miły wieczór na pogawędce. Ona powierzała Montalbano swoje tajemnice i problemy, a on udzielał jej braterskich i mądrych rad: był dla niej kimś w rodzaju ojca duchowego, którego zaleceń absolutnie nie przestrzegała – rolę tę musiał sobie zresztą narzucić siłą, ponieważ Ingrid kierowała jego myśli ku sprawom nie całkiem duchowym. Na żadne z dotychczasowych spotkań, a było ich sześć lub siedem, Montalbano nie przyszedł przed nią, Ingrid bowiem wyznawała wręcz maniackalny kult punktualności.

Także i tym razem, kiedy zatrzymał samochód na parkingu przed barem w Marinelli, zauważył, że jej samochód już tam stoi, obok kabrioletu marki „Porsche”, który wyglądał jak bolid – pomalowany na żółto, stanowił obrazę dla gustu i wzroku.

Kiedy Montalbano wszedł do środka, Ingrid stała przy barze i piła whisky. Towarzyszył jej, rozmawiając z nią poufale, czterdziestoletni mężczyzna w kanarkowym ubraniu, bardzo elegancki, z roleksem na rękę i kucykiem na głowie.

„Kiedy się przebiera, pewnie zmienia również samochód” – pomyślał komisarz.

Na jego widok Ingrid wybiegła mu naprzeciw. Objęła go, musnęła wargami usta przyjaciela; wyraźnie cieszyła się ze spotkania. Również

Montalbano nie krył radości: Ingrid wyglądała jak uśmiech Boga, na niekończących się nogach miała kolorowe dżinsy, na stopach sandały, przez błękitną przezroczystą bluzeczkę prześwitywał zarys piersi, jasne włosy opadały jej na plecy.

– Przepraszam – powiedziała do stojącego obok kanarka. – Niedługo się spotkamy.

Usiedli przy stoliku, Montalbano nie chciał zamówić niczego. Mężczyzna z roleksem i kucykiem wyszedł, żeby dokończyć swoją whisky na tarasie nad morzem.

Spojrzeni na siebie z uśmiechem.

– Dobrze wyglądasz – powiedziała Ingrid. – Choć dziś w telewizji robiłeś wrażenie cierpiącego.

– No właśnie – przyznał komisarz i zmienił temat. – Ty również świetnie wyglądasz.

– Chciałeś się ze mną spotkać, żeby wymienić komplementy?

– Muszę cię prosić o przysługę.

– Do dyspozycji.

Mężczyzna z kucykiem patrzył na nich z tarasu.

– Kto to?

– Znajomy. Spotkaliśmy się po drodze. Pojechał za mną i postawił mi drinka.

– W jakim znaczeniu mówisz, że to twój znajomy?

Ingrid spoważniała, jej czoło przecięła zmarszczka.

– Jesteś zazdrosny?

– Wiesz dobrze, że nie, a poza tym nie mam powodu. Tylko że ledwie go poznałem, a już przyprawia mnie o mdłości. Jak się nazywa?

– Daj spokój, Salvo, co cię to obchodzi?

– Powiedz, jak się nazywa.

– Beppe... Beppe De Vito.

– A co on takiego robi, że stać go na roleksa, porsche i całą resztę?

– Handluje skórami.

– Poszłaś już z nim do łóżka?

– Tak, chyba w zeszłym roku. I proponował mi powtórkę. Ale nie mam przyjemnych wspomnień z tego jednego razu.

– Taki perwersyjny?

Ingrid patrzyła na niego przez chwilę, po czym wybuchnęła śmiechem, który przestraszył barmana.

– I z czego się śmiejesz?

– Z twojej miny dobrego, czujnego policjanta. Nie, Salvo, wręcz przeciwnie. Jest całkowicie pozbawiony fantazji. Mam po nim wspomnienie dławiącej zbyteczności.

Montalbano dał znak mężczyźnie z kucykiem, żeby podszedł do ich stolika. Kiedy tamten zbliżał się z uśmiechem, Ingrid spojrzała na komisarza z niepokojem.

– Dobry wieczór. Czy pan wie, że pana znam? Komisarz Montalbano, prawda?

– Przykro mi ze względu na pana, lecz obawiam się, że będziemy musieli poznać się jeszcze lepiej.

Mężczyzna się przestraszył, whisky zakołysała się w szklance, rozdzwoniły kostki lodu.

– Dlaczego niestety?

– Nazywa się pan Giuseppe De Vito i handluje skórami?

– Tak... ale nie rozumiem...

– Zrozumie pan w swoim czasie. Niedługo otrzyma pan wezwanie do kwestury w Montelusie. Tam właśnie się spotkamy. Będziemy mieli okazję dłużej porozmawiać.

Mężczyzna z kucykiem natychmiast spłoszył i postawił szklanke na stoliku. Nie mógł utrzymać jej w dłoni.

– Czy mógłby pan mnie uprzejmie uprzedzić... wyjaśnić...

Montalbano zrobił taką minę, jak gdyby ogarnął go niekontrolowany przypływ wielkoduszności.

– Proszę posłuchać, tylko dlatego, że jest pan przyjacielem obecnej tu damy. Czy zna pan pewnego Niemca nazwiskiem Kurt Suckert?

– Przysięgam, nawet o nim nie słyszałem – odpowiedział mężczyzna, wyciągając z kieszeni kanarkową chusteczkę i wycierając pot z czoła.

– Jeśli chce pan ze mną rozmawiać w ten sposób, to nie mam nic do dodania – odparł lodowato komisarz. Spojrzał na niego i dał mu znak, żeby się przysunął. – Dam panu radę: niech pan nie udaje cwaniaka. Do widzenia.

– Do widzenia – odpowiedział mechanicznie De Vito i nawet nie patrząc na Ingrid, wybiegł z lokalu.

– Ale z ciebie sukinsyn – powiedziała spokojnie Ingrid – i na dodatek cham.

– Tak, to prawda, co jakiś czas coś mnie napada i właśnie taki się staję.

– Ten Suckert istnieje naprawdę?

– Istniał. Ale przybrał sobie nazwisko Malaparte. Był pisarzem.

Usłyszeli ryk porsche i pisk opon.

– Już się wyładowałeś? – spytała Ingrid.

– Owszem.

– Wiesz, kiedy tylko wszedłeś, od razu zauważyłam, że jesteś w złym humorze. Powiesz mi, co się stało?

– Mógłbym, ale nie warto. Kłopoty w pracy.

Zaproponował, żeby zostawiła samochód na parkingu przed barem – potem po niego wrócić. Ingrid nie zainteresowała się, ani dokąd jada, ani po co.

W pewnej chwili Montalbano spytał:

– Jak ci się układa z teściem?

Jej głos się ożywił.

– Dobrze! Powinna była powiedzieć ci wcześniej. Z moim teściem wszystko w porządku. Od dwóch miesięcy mam spokój, już mnie nie zaczepia.

– Co się stało?

– Nie wiem, nie powiedział mi. Ostatni raz to się zdarzyło, kiedy wracaliśmy z Feli. Byliśmy tam na jakimś ślubie, mój mąż nie mógł jechać z nami, teściowa źle się czuła. Krótko mówiąc, byliśmy sami. W pewnej chwili skręcił w boczną drogę, przejechał kilka kilometrów i zatrzymał się wśród drzew. Kazał mi wysiąść, rozebrał mnie, powalił na ziemię, wyruchał równie gwałtownie co zawsze. Nazajutrz wyjechałam z mężem do Palermo. Kiedy wróciłam po tygodniu, zobaczyłam, że teść jak gdyby się postarzał, był rozedrgany. Od tamtego czasu prawie mnie unika. Dlatego teraz mogę się z nim spotkać twarzą w twarz w przedpokoju, nie obawiając się, że walnie mną o ścianę, położy mi jedną rękę na cyckach, a drugą na piździe.

– To chyba dobrze, nie?

Historię, którą właśnie opowiedziała mu Ingrid, Montalbano znał lepiej od

niej samej. O związku pomiędzy Szwedką i jej teściem komisarz dowiedział się już w trakcie pierwszego spotkania. Kiedyś, podczas nocnej rozmowy, wybuchnęła gwałtownym płaczem. Nie mogła już znieść tego układu z ojcem swojego męża: ona, kobieta całkowicie wolna, czuła się jak zbrukana, upodlona tym prawie kazirodczym związkiem, który został jej narzucony. Rozważała, czy nie opuścić męża i nie wrócić do Szwecji. W jakiś sposób zarobiłaby na sobie, była znakomitym mechanikiem.

To właśnie wtedy Montalbano postanowił pomóc jej wydobyć się z kłopotów. Następnego dnia zaprosił na obiad Annę Ferrarę, która była inspektorem policji, kochała się w nim i uważała, że Ingrid jest jego kochanką.

– Jestem w rozpaczach – zaczął, przybierając minę wielkiego tragika.

– Boże, co się stało? – spytała Anna, biorąc go za rękę.

– A to, że Ingrid mnie zdradza.

Spuścił głowę na pierś i jakimś cudem udało mu się uronić łzę.

Anna stłumiła okrzyk triumfu. Zawsze to wiedziała! Tymczasem komisarz ukrył twarz w dłoniach. Dziewczyna była poruszona tym wybuchem rozpaczach.

– Wiesz, nie mówiłam ci tego, żeby cię nie zranić. Lecz przeprowadziłam małe dochodzenie dotyczące Ingrid. Ty nie jesteś jej jedynym mężczyzną.

– Ale ja to wiedziałem! – wykrzyknął komisarz, wciąż ukrywając twarz w dłoniach.

– A więc?

– Tym razem to co innego! To nie jest jakaś tam przygoda, taka jak inne, które mógłbym jej nawet wybaczyć! Zakochała się, i to z wzajemnością!

– A wiesz przynajmniej w kim?

– Tak, w swoim teściu.

– Jezu! – Anna aż podskoczyła na krześle. – Ona ci to powiedziała?

– Nie. Sam do tego doszedłem. Ona wręcz zaprzecza. Zaprzecza wszystkiemu. Potrzebuję pewnego dowodu, takiego, który mógłbym cisnąć jej w twarz. Rozumiesz?

Anna obiecała dostarczyć mu taki dowód. I w rezultacie udało jej się zrobić zdjęcia podczas gwałtownej sceny w zagajniku. Poprosiła przyjaciółkę z laboratorium policyjnego, żeby je powiększyła, i wręczyła odbitki komisarzowi. Teść Ingrid był nie tylko ordynatorem szpitala w Montelusie, lecz również pierwszoplanowym politykiem: do siedziby prowincjonalnej partii, do szpitala i do domu Montalbano przesłał mu wstępną, lecz wymowną dokumentację. Na odwrocie każdej fotografii widniał napis: „Mamy cię w ręku”. Ta seria najwyraźniej śmiertelnie faceta przestraszyła, w ciągu jednej chwili poczuł, że jego kariera i rodzina są zagrożone. Na wszelki wypadek komisarz zachował sobie jeszcze około dwudziestu zdjęć. Ingrid o niczym nie powiedział, bo mogłaby się wściec, że jej szwedzka prywatność została naruszona.

Montalbano przyspieszył, zadowolony. Teraz już wiedział, że skomplikowana manipulacja, której był autorem, osiągnęła zamierzony cel.

– Ty wprowadź samochód do środka – powiedział. Wsiadł i zaczął się szarpać z zasuwaną bramą policyjnego garażu. Kiedy samochód był już w środku, włączył światła i opuścił roletę.

– Co mam robić? – spytała Ingrid.

– Widzisz tamten wrak cinquecenta? Chcę, żebyś sprawdziła, czy ktoś majstrował przy hamulcach.

– Nie wiem, czy będę umiała.

– Spróbuj.

– Żegnaj, bluzeczko.

– Nie, zaczekaj. Mam coś dla ciebie.

Sięgnął na tylne siedzenie samochodu po plastikową torebkę, wyjął z niej własną koszulę i dzinsy.

– Załóż to.

Podczas gdy Ingrid się przebierała, poszedł po przenośną lampę, jedną z tych, których używa się w warsztatach samochodowych. Znalazł ją w szafie, przyniósł i podłączył do kontaktu. Nic nie mówiąc, Ingrid wzięła lampę, klucz francuski i śrubokręt, wczołgała się pod powyginane podwozie cinquecenta. Wystarczyło jej dziesięć minut. Wysunęła się spod samochodu zakurzona i ubrudzona smarem.

– Udało mi się. Linka hamulcowa została częściowo nacięta, jestem pewna.

– Co to znaczy: częściowo?

– To znaczy, że niecałkowicie: zostawili tyle, ile trzeba, żeby nie miał wypadku od razu. Lecz przy pierwszym ostrym hamowaniu linka już na pewno musiała pęknąć.

– Jesteś pewna, że nie pękła bez niczyjej pomocy? To stary samochód.

– Cięcie jest bardzo wyraźne. Prawie nie ma przetarć lub są bardzo małe.

– Posłuchaj więc – powiedział Montalbano. – Człowiek, który prowadził samochód, pojechał z Vigaty do Montelusy, jakiś czas tam przebywał, potem ruszył w drogę powrotną do Vigaty. Do wypadku doszło na stromym zjeździe, który prowadzi do miasta, na drodze pod Cateną. Walnął w ciężarówkę i po wszystkim. Jasne?

– Jasne.

– A więc jak myślisz: czy tę misterną robótkę wykonano w Vigacie, czy w Montelusie?

– W Montelusie – odparła Ingrid. – Gdyby to było w Vigacie, do wypadku na pewno doszłoby o wiele wcześniej. Czy mogę ci jeszcze jakoś pomóc?

– Nie, dziękuję.

Ingrid nie przebrała się, nawet nie umyła rąk.

– Zrobię to u ciebie w domu.

Na parkingu przed barem Ingrid wsiadła do swojego samochodu i ruszyła za komisarzem. Zbliżała się północ, noc była ciepła.

– Czy chcesz wziąć prysznic?

– Nie, wolę wykapać się w morzu, ale później.

Zdjęła z siebie wybrudzone ubranie Montalbana, ściągnęła majtki. Komisarz nie bez trudu przywdział togę jej duchowego opiekuna.

– Rozbierz się i chodź.

– Nie. Lubię patrzeć na ciebie z werandy.

Przy pełni księżycy było aż nazbyt jasno. Montalbano z leżaka rozkoszował się widokiem sylwetki Ingrid, która podeszła do brzegu, po czym rozpoczęła w zimnej wodzie swój taniec, wynurzając się co chwila z rozpostartymi ramionami. Widział, jak nurkuje; przez jakiś czas śledził wzrokiem czarną kropkę, która była jej głową, aż nagle zasnął.

Kiedy się obudził, już świtało. Było mu trochę zimno. Wstał, zaparzył sobie kawy i wypił trzy filiżanki jedna za drugą. Ingrid, zanim wyszła, posprzątała mieszkanie. Nie pozostał ślad jej obecności. Była prawdziwym skarbem: zrobiła wszystko, o co ją prosił, i nie zażądała żadnego wyjaśnienia. Jeśli chodzi o wścibstwo, na pewno nie była typową kobietą – lecz tylko z tego powodu. Poczł lekki głód, otworzył lodówkę: bakłażanów, których nie zjadł w południe, już nie było, zajęła się nimi Ingrid. Musiał zadowolić się kawałkiem chleba i serem – lepszy rydz niż nic. Wziął prysznic i włożył

to samo ubranie, które pożyczył Ingrid – nosiło jeszcze jej leciutki zapach.

Zgodnie ze zwyczajem przyjechał do komisariatu z dziesięciominutowym spóźnieniem. Jego ludzie byli gotowi – na tle samochodu służbowego i jeeпа wypożyczonego w firmie Vinti, wypełnionego łopatomі, motykami, kilofami i szpadłami, wyglądali jak najemni robotnicy, którzy wybierają się do pracy w polu na akord.

Barania Góra, która pewnie nawet nie marzyła o tym, żeby nazywać się górą, była raczej wylęśiałym wzgórzem, wyrastającym na zachód od Vigaty, niecałe pięćset metrów od morza. Przecinał ją na wylot tunel, obecnie zagrodzony deskami, który kiedyś musiał być częścią drogi prowadzącej znikąd donikąd, nazywanej obwodnicą, a służącej chyba tylko – nomen omen – do obchodzenia prawa i wodzenia urzędu skarbowego za nos. Wieść głosiła, że we wnętrzu wzgórza ukryty był baran z litego złota: robotnicy pracujący przy wierceniu galerii nie znaleźli tu jednak żadnego skarbu, lecz ci, którzy ogłosili przetarg, na pewno cieszyli się nim do dzisiaj. Po stronie przeciwległej w stosunku do morza wyrastało ze wzgórza skalne spiętrzenie, które wyglądało jak baszta fortecy: to miejsce, do którego nie dotarły wiertła i ciężarówki budowniczych, wciąż zachowywało swoje dzikie piękno. I właśnie ku tej „baszcie” – nieprzejezdnymi drogami, żeby nie rzucać się w oczy – kierowały się oba samochody. Trudno jest jechać, omijając drogi, a nawet ścieżki, lecz komisarz chciał, żeby pojazdy dotarły do samej podstawy wzniesienia.

Powietrze było rześkie, ranek pogodny.

– Co mamy robić? – zapytał Fazio.

– Przeszukajcie całą tę skałę. Uważnie. Obejdźcie ją dookoła. Miejcie oczy szeroko otwarte – gdzieś tu musi być wejście do grotы. Pewnie je zakryli, zamaskowali kamieniami albo gałęziami. Wyteżcie wzrok. Musicie je

znaleźć, zapewniam was, że tu jest.

Rozeszli się po terenie.

Po dwóch godzinach, zniechęceni, spotkali się przy samochodach. Słońce piekło, byli spoceni, na szczęście przewidujący Fazio zadbał o termosy z kawą i herbatą.

– Spróbujmy jeszcze raz – powiedział Montalbano. – Ale nie patrzcie tylko na skałę, rozglądajcie się również po ziemi, może tam zauważycie coś ciekawego.

Zaczęli szukać na nowo. Po upływie około pół godziny Montalbano usłyszał z oddali głos Galluzza.

– Komisarzu! Komisarzu! Niech pan tu przyjdzie!

Podszedł do funkcjonariusza, który przeszukiwał wzniesienie od strony drogi prowadzącej do Feli.

– Proszę spojrzeć.

Choć próbowano je zatrzeć, w pewnym miejscu widoczne były ślady kół jakiejś dużej ciężarówki.

– Prowadzą w tamtym kierunku – powiedział Galluzzo i wskazał na skałę.

Mówiąc te słowa, nagle znieruchomiał i otworzył ze zdziwienia usta.

– Jezus Maria! – powiedział Montalbano.

Jak mogli nie zauważyć tego wcześniej? Był tam umieszczony w dziwnej pozycji wielki głaz, spoza którego wyrastały kępy suchej trawy. Galluzzo zaczął przywoływać pozostałych kolegów, a komisarz pobiegł w kierunku głazu, chwycił kępę paproci i pociągnął z całej siły. Nagle upadł do tyłu: roślina nie miała korzeni, ktoś wetknął ją tam razem z kępką trawy, żeby zamaskować wejście do groty.

9

Głaz okazał się kamienną płytą, zbliżoną kształtem do prostokąta. Sprawiał wrażenie części otaczającej go skały i opierał się na czymś w rodzaju kamiennego stopnia. Na oko Montalbano ocenił, że ma mniej więcej dwa metry wysokości i półtora szerokości i że nie dadzą rady przesunąć go ręcznie. Musiał jednak istnieć jakiś inny sposób. Pośrodku prawego boku, około dziesięciu centymetrów od krawędzi, widniał otwór, który wydawał się naturalną rozpadliną.

„Gdyby to były drewniane drzwi – rozumował komisarz – ten otwór znajdowałby się w najlepszym miejscu do założenia klamki”.

Wyjął z kieszeni marynarki długopis i włożył do środka. Długopis wszedł do końca, ale kiedy Montalbano chciał wsunąć go z powrotem do kieszeni, poczuł, że ma brudną rękę. Spojrzał na nią i powąchał.

– To smar – powiedział do Fazia, który jedyny w dalszym ciągu stał obok niego.

Pozostali policjanci porozkładali się w cieniu, Gallo znalazł kępkę szczawiu i częstował teraz kolegów:

– Ssij łądygę, to prawdziwy cud, w dodatku zaspokaja pragnienie.

Montalbano pomyślał, że jest tylko jedno rozwiązanie.

– Czy mamy stalową linę?

– Pewnie, jest przy jeepie.

– Więc podjedź nim najbliżej, jak tylko się da.

Fazio ruszył w kierunku samochodu, a komisarz, przekonany, że wpadł na pomysł, dzięki któremu uda się przesunąć płytę, rozejrzał się czujnie. Jeżeli

to było właśnie to miejsce, o którym Tano mówił mu tuż przed śmiercią, to gdzieś w pobliżu powinien znajdować się również punkt obserwacyjny. Okolica była pusta i sprawiała wrażenie odludnej, nic nie nasuwało przypuszczenia, że za skalnym występem, o kilkaset metrów dalej, przebiega szosa, na której trwa intensywny ruch. Nieopodal, na kamienistym i wypalonym spiętrzeniu terenu, stał maleńki jednoizbowy domek klocek. Komisarz poprosił o lornetkę. Drewniane drzwi, na oko solidne, były zamknięte. Obok nich, na wysokości głowy człowieka, znajdowało się okienko bez okiennic, z kratą w kształcie krzyża. Domek wydawał się niezamieszkały, lecz stanowił jedyny możliwy punkt obserwacyjny w okolicy, inne zabudowania były zbyt oddalone.

Montalbano chciał się upewnić, więc zawołał Galluzza.

– Rzuć okiem na ten domek, otwórz w jakiś sposób drzwi, ale ostrożnie, nie wyważaj, bo mogą się przydać. Rozejrzyj się, czy w środku są jakieś świeże ślady, czy ostatnio ktoś tam przebywał. Tylko zostaw wszystko, jak było, jak gdybyś nigdy tam nie zaglądał.

Tymczasem jeep dojechał prawie do podstawy skały. Komisarz chwycił końcówkę stalowej liny, łatwo wprowadził ją do otworu i zaczął wpychać do środka. Nie musiał się zbytnio wysilać – lina łatwo przesuwiała się po wytartym, nasmarowanym żłobieniu i po chwili wypełzła z drugiej strony jak głowa węża.

– Złap za koniec – powiedział Montalbano do Fazia – zaczeć go o jeepa, włącz silnik i ciągnij, ale delikatnie.

Samochód ruszył powoli, a jednocześnie, po prawej stronie, płyta zaczęła odchyłać się od skały, jak gdyby obracana na niewidzialnych zawiasach.

– Pudełeczko, otwórz wieczko – wyszeptał zdziwiony Germana, przypominając sobie dziecięcą formułę, dzięki której za sprawą magii otwierały się wszystkie drzwi.

– Zapewniam pana, panie kwestorze, że ta kamienna płyta została zamieniona we wrota przez jakiegoś nadzwyczajnego majstra. Proszę wziąć pod uwagę, że metalowe zawiasy były całkowicie niewidoczne z zewnątrz. Zamknąć te drzwi okazało się równie łatwo, jak je otworzyć. Weszliśmy z latarkami. We wnętrzu grota jest urządzona bardzo starannie i inteligentnie. Podłogę tworzy dziesięć zbitych ze sobą badulców, leżących na nagiej ziemi.

– Co to są te badulce? – zapytał kwestor.

– Nie przychodzi mi do głowy literacki odpowiednik. Powiedzmy, że są to bardzo grube deski. Podłogę ułożono po to, żeby chronić pojemniki z bronią przed bezpośrednim kontaktem z wilgocią. Ściany pokryte są lżejszymi deskami. Krótko mówiąc, grota wygląda w środku jak wielka drewniana szkatuła bez pokrywy. Musieli długo nad tym pracować.

– A broń?

– Prawdziwy arsenał. Około trzydziestu karabinów i pistoletów maszynowych, około setki pistoletów i rewolwerów, dwie bazuki, tysiące sztuk amunicji, skrzynie z najrozmaitszymi materiałami wybuchowymi, od trotylu po semteks. Ponadto mnóstwo mundurów żandarmerii i policji, kamizelek kuloodpornych i wiele innych rzeczy. Wszystko w doskonałym porządku, owinięte w folię.

– Nieźle ich załatwiliśmy, co?

– Pewnie. Tano ładnie się zemścił, wystarczająco, by nie uchodzić za zdrajcę lub nawróconego. Melduję, że nie zarekwirowałem broni, zostawiłem ją w grocie. Zarządziłem dwie zmiany warty na dzień. Moi ludzie siedzą w niezamieszkanym domku kilkaset metrów od składu.

– Ma pan nadzieję, że ktoś się zjawi, żeby się wyposażyć?

– Bardzo bym chciał.

– Dobrze, zgadzam się. Poczekamy tydzień, będziemy mieli oko na wszystko, a jeśli nic się nie zdarzy, zarekwirujemy. I jeszcze jedno, Montalbano. Czy pamięta pan o moim zaproszeniu na pojutrze, na kolację?

– Czy mógłbym zapomnieć?

– Przykro mi, będziemy musieli przesunąć spotkanie o kilka dni, moja żona ma grypę.

Nie trzeba było czekać cały tydzień. Trzeciego dnia po odkryciu broni, skończywszy wartę, która trwała od pomocy do południa, Catarella, padając z nóg ze zmęczenia, zaczął składać komisarzowi raport, Montalbano bowiem chciał, żeby wszyscy relacjonowali mu przebieg swojej służby.

– Coś nowego?

– Nic, panie komisarzu. Spokój i cisza.

– To dobrze. A raczej to źle. Idź się przespać.

– Ach, teraz, kiedy tak myślę, to może coś się zdarzyło, ale coś nieważnego, mówię o tym bardziej z nadmiaru gorliwości niż z obowiązku, coś chwilowego.

– Co to jest to coś nieważnego?

– Przechodził tamtędy turysta.

– Mów jaśniej, Catarella.

– Zegarek wskazywał dwudziestą pierwszą rano.

– Jeżeli to było rano, to wskazywał dziewiątą, Catarella.

– Jak pan uważa. I wtedy usłyszałem warkot wielkiego motocykla. Uniosłem lornetkę, którą miałem na szyi, ostrożnie się wychyliłem i rzeczywiście zobaczyłem czerwony motocykl.

– Kolor nieważny. I co dalej?

– Z tegoż motoru zsiadł turysta rodzaju męskiego.

- Dlaczego pomyślałeś, że to turysta?
- Bo miał na szyi aparat fotograficzny, duży, tak wielki, że wyglądał jak armata.
- Miał pewnie teleobiektyw.
- No właśnie. I zaczął robić zdjęcia.
- Co fotografował?
- Wszystko, panie komisarzu, fotografował. Krajobraz, skałę, i nawet to miejsce, w którym się znajdowałem.
- Podchodził do skały?
- Nie, panie komisarzu. W chwili gdy wsiadł na motocykl i chciał odjechać, pomachał mi ręką.
- Widział cię?
- Nie. Wciąż siedziałem w środku. A jednak, jak panu mówiłem, kiedy zapalił motor, pomachał w stronę domku.

- Panie kwestorze, mam niemiłą wiadomość. Myślę, że w jakiś sposób dowiedzieli się o naszym odkryciu i wysłali kogoś na rozpoznanie, żeby się upewnić.
- A skąd pan to wie?
- Dziś rano policjant, który pełnił służbę w domku, widział kogoś, kto nadjechał motocyklem i fotografował wszystko potężnym obiektywem. Z pewnością wokół głazu, który zakrywa wejście, zostawili coś szczególnego, może jakąś gałązkę ułożoną w określonym kierunku, kamyczek rzucony w ustalonej odległości... Nie mogliśmy poukładać wszystkiego tak samo, jak było przedtem.
- Przepraszam, ale czy wydał pan szczegółowe instrukcje wartownikowi?
- Oczywiście. Wartownik powinien był kolejno: zatrzymać motocyklistę,

zidentyfikować go, zarekwirować aparat fotograficzny, a mężczyznę doprowadzić do biura...

– I dlaczego tego nie zrobił?

– Z jednego prostego powodu: ten policjant to Catarella, którego dobrze znamy, zarówno pan, jak i ja.

– No tak – skomentował lakonicznie kwestor.

– Więc co robimy?

– Natychmiast, jeszcze dziś, przystępujemy do rekwirowania broni. Z Palermo polecono, żebym nadał sprawie najwyższą rangę.

Montalbano poczuł, że spocił się pod pachami.

– Kolejna konferencja prasowa?

– Przykro mi, ale należy się tego obawiać.

W chwili gdy już mieli wyjechać dwoma samochodami i niewielką ciężarówką w kierunku groty, Montalbano zauważył błagalne spojrzenia Galluzza, który patrzył na niego jak zbity pies.

Komisarz odciągnął go na stronę.

– Co ci jest?

– Czy mogę otrzymać pozwolenie zawiadomienia mojego szwagra dziennikarza?

– Nie – odpowiedział mechanicznie Montalbano, ale po chwili zmienił zdanie, ponieważ do głowy przyszła mu myśl, której mógł sobie tylko pogratulować. – Posłuchaj, zgadzam się tylko ze względu na ciebie: wezwij go, zadzwoń do niego.

Myśl, która mu przyszła do głowy, była następująca: jeżeli szwagier Galluzza znajdzie się na miejscu i nada odkryciu odpowiedni rozgłos, być może groźba konferencji prasowej rozejdzie się po kościach.

Szwagrowi Galluzza i jego operatorowi z Televigaty komisarz nie tylko dał wolną rękę, lecz nawet pomógł im zrobić relację, przejmując obowiązki reżysera, każąc Paziowi nieść bazukę w pozycji jak do strzału i mocno oświetlając grootę, by umożliwić sfotografowanie lub sfilmowanie każdego magazynku, każdego pocisku.

Po dwóch godzinach ciężkiej pracy jaskinia została całkowicie opróżniona. Dziennikarz pojechał ze swoim operatorem do Montelusy, żeby przygotować materiał, a Montalbano zadzwonił do kwestora.

– Załadunek został wykonany.

– Dobrze. Proszę go przesłać tu, do Montelusy. I jeszcze jedno: proszę pozostawić na miejscu wartownika. Niedługo przyjedzie tam Jacomuzzi z laboratorium. Gratuluję.

Pomysł konferencji prasowej pogrzebał ostatecznie Jacomuzzi. Całkiem nieświadomie, ma się rozumieć, ponieważ na konferencjach i podczas wywiadów czuł się jak ryba w wodzie.

Przed wyprawą do jaskini, gdzie miał zabezpieczyć ślady, powiadomił o swoim zadaniu około dwudziestki dziennikarzy, zarówno prasowych, jak i telewizyjnych. O ile relacja przygotowana przez szwagra Galluzza była bombą wiadomości regionalnych, o tyle zgiełk, który wywołały serwisy poświęcone Jacomuzziemu i jego ludziom, miał rezonans ogólnokrajowy. Jak Montalbano przewidział, kwestor postanowił nie zwoływać konferencji prasowej, bo i tak wszyscy już o wszystkim wiedzieli, i ograniczył się do stosownego komunikatu.

We własnym domu, w samych majtkach, z wielką butelką piwa w dłoni, Montalbano napawał się widokiem twarzy Jacomuzziego w telewizji, niezmiennie na pierwszym planie. Szef laboratorium opowiadał, jak jego

ludzie demontują kawałek po kawałku drewnianą konstrukcję we wnętrzu jaskini w poszukiwaniu choćby najmniejszego śladu, znaku odcisku palców, cienia tropu. Kiedy grota pozostała już naga, przywrócona do pierwotnego wyglądu, operator Retelibery pokazał całe jej wnętrze. I właśnie w trakcie tego długiego, panoramicznego ujęcia komisarz zobaczył coś, co mu nie pasowało. Było to tylko wrażenie, może niewiele więcej, ale i tak opłaciliby się sprawdzić. Zadzwoił do Retelibery i poprosił do telefonu Nicolo Zito, dziennikarza komunistę, swojego przyjaciela.

- Nie ma problemu, wyślę ci kopię.
- Ale ja nie mam tego czegoś... chuj wie, jak to się nazywa.
- A więc przyjedź obejrzeć tutaj.
- Jutro rano o jedenastej, pasuje?
- Pasuje. Mnie nie będzie, ale uprzedzę o twojej wizycie.

Nazajutrz o dziewiątej rano Montalbano udał się do Montelusy, do siedziby partii, której działaczem był Misuraca. Tabliczka przy bramie informowała, że lokal mieści się na piątym piętrze, jednak zdradziecko zatajała fakt, że kamienica nie jest wyposażona w windę. Pokonawszy ciągnące się w nieskończoność schody, ciężko dysząc, Montalbano pukał i stukał do drzwi, które uparcie pozostawały zamknięte. Zszedł i wrócił na ulicę. Tuż obok bramy znajdował się sklep warzywny, w którym starszy mężczyzna obsługiwał właśnie klienta. Komisarz zaczekał, aż sprzedawca zostanie sam.

- Czy znał pan Gerlanda Misurakę?
- Gównu pana obchodzi, kogo znam, a kogo nie znam.
- A obchodzi, bo jestem z policji.
- A ja nazywam się Lenin.

– Ma pan ochotę żartować?

– Ani trochę. Naprawdę nazywam się Lenin. Ojciec nadał mi to imię i jestem z niego dumny. A może należy pan do tej samej kategorii co ci z sąsiedniej bramy?

– Nie. W każdym razie jestem tu tylko służbowo. Powtarzam pytanie: czy znał pan Misurakę?

– Pewnie, że znałem. Przez całe życie nic innego nie robił, tylko wchodził i wychodził tą bramą i grał mi na nerwach tym swoim rozwalonym cinquecentem.

– A co pan miał do jego samochodu?

– Co miałem? Parkował go zawsze na wprost sklepu, zrobił to również tego dnia, kiedy wpadł na ciężarówkę.

– Zaparkował go właśnie tutaj?

– A czy ja mówię po turecku? Dokładnie tutaj. Prosiłem, żeby go przestawił, ale on zaczął się stawiać, wrzeszczał, wykrzykiwał, że nie ma ochoty tracić czasu na rozmowy ze mną. A więc wkurwiłem się nie na żarty i coś mu odszczeknąłem. Krótko mówiąc, o mało się nie pobiliśmy. Na szczęście przechodził jakiś szczeniak, powiedział świętej pamięci Misurace, że przestawi mu to jego cinquecento, i poprosił o kluczyki.

– I gdzie postawił samochód?

– Nie wiem.

– Czy rozpoznałby pan tego szczeniaka? Czy widział go pan wcześniej?

– Od czasu do czasu widywałem, jak wychodzi z sąsiedniej bramy. To pewnie jeden z tej ich komórki partyjnej.

– Sekretarz polityczny nazywa się Biraghin, prawda?

– Chyba tak. Pracuje w administracji mieszkań socjalnych. Pochodzi z okolic Wenecji, o tej porze przebywa w biurze. Tutaj otwierają około

szóstej po południu. Jeszcze jest za wcześnie.

– Doktor Biraghin? Nazywam się Montalbano, jestem komisarzem policji z Vigaty. Przepraszam, że przeszkadzam.

– Nie szkodzi. Słucham pana.

– Potrzebuję odwołać się do pańskiej pamięci. Jaki charakter miało ostatnie zebranie partyjne, w którym uczestniczył nieszczęsny Gerlando Misuraca?

– Nie rozumiem pytania.

– Przepraszam, proszę się nie niepokoić, to tylko rutynowe śledztwo, mające na celu wyjaśnić okoliczności śmierci pana Misuraki.

– Dlaczego? Czy coś jest niejasne?

Doktor Ferdinando Biraghin najwyraźniej lubił zawracać dupę.

– Wszystko jest jasne jak słońce, proszę mi wierzyć.

– A więc?

– Muszę zamknąć sprawę, rozumie pan? Nie mogę przerwać postępowania, nie doprowadziwszy go do końca.

Na dźwięk słów „sprawa” i „postępowanie” Biraghin, jak przystało na urzędnika administracji mieszkań socjalnych, natychmiast zmienił ton.

– Ach, doskonale to rozumiem. To była narada kierownictwa, w której pan Misuraca nie miał tytułu uczestniczyć, lecz zrobiliśmy wyjątek.

– A więc zebranie w ścisłym gronie?

– Około dziesięciu osób.

– Czy ktoś wchodził do lokalu i pytał o Misurakę?

– Nikt, zamknęliśmy drzwi na klucz. Pamiętałbym o tym. Za to ktoś do niego dzwonił.

– Proszę mi wybaczyć. Nie pamięta pan zapewne, jaki charakter miała ta rozmowa?

– Nie tylko pamiętam charakter rozmowy, lecz również charakter Misuraki!

I roześmiał się. Ależ czuł się dowcipny ten Ferdinando Biraghin!

– Pan wie, jak on mówił: jak gdyby wszyscy byli głusi. Nie dało się nie słyszeć tego, co mówi. Proszę sobie wyobrazić, że kiedyś...

– Pan wybaczy, mam mało czasu. Udało się panu zapamiętać... – zawahał się, odrzucił słowo „charakter”, żeby nie prowokować tragicznego poczucia humoru Biraghina – ...sens rozmowy?

– Pewnie. Dzwonił ktoś, kto wyświadczył Misurace przysługę, parkując mu samochód. A ten, zamiast podziękować, nakrzyczał na niego, że zaparkował za daleko.

– Czy udało się panu dowiedzieć, kto to był?

– Nie, a dlaczego?

– Bo to się nie klei – powiedział Montalbano i odłożył słuchawkę.

A zatem ten szczeniak nie tylko wyświadczył starcowi śmiertelną przysługę w zaciszu jakiegoś zaprzyjaźnionego garażu, lecz również skazał go na długi spacer.

Uprzejmej pracownicy Retelibery komisarz wyjaśnił, że jest zupełnie bezradny wobec wszystkiego, co pachnie elektroniką. Umiał włączyć telewizor, to owszem, wyszukać program i wyłączyć aparat: co do reszty – ciemna noc. Dziewczyna włożyła kasetę, po czym cierpliwie i z wdziękiem przewijała i zatrzymywała taśmę za każdym razem, gdy Montalbano ją o to prosił. Kiedy wyszedł z siedziby Retelibery, był przekonany, że zobaczył dokładnie to, co go interesowało, lecz to, co go interesowało, wydawało się

całkiem pozbawione sensu.

10

Przed gospodą „San Calogero” zawahał się: to prawda, że była już pora na obiad i odczuwał głód, z drugiej strony jednak myśl, która przysłała mu do głowy, kiedy oglądał relację, i którą należało sprawdzić, kazała mu raczej jechać do grotty. Napływający z gospody zapach smażonej barweny przesądził o wyniku tego pojedynku. Zjadł wyśmienitą przekąskę z owoców morza, następnie poprosił o dwa pstrągi, tak świeże, jak gdyby wciąż jeszcze pływały w wodzie.

– Nie delektuje się pan daniem.

– To prawda, ale mam o czym myśleć.

– Kiedy Pan Bóg zsyła taką łaskę jak te dwa pstrągi, to myśli trzeba odłożyć na bok – powiedział uroczyście Calogero i oddalił się.

Komisarz zajrzał do biura, żeby sprawdzić, czy wydarzyło się coś nowego.

– Dzwonił doktor Jacomuzzi, i to kilkakrotnie – poinformował go Germana.

– Jeśli zadzwoni jeszcze raz, powiedz mu, że oddzwonię później. Czy mamy jakąś dużą latarkę?

Kiedy znalazł się na wysokości jaskini, wysiadł z samochodu i postanowił iść na piechotę. Dzień był piękny, jedyne orzeźwienie dawał lekki podmuch wiatru, który podnosił Montalbana na duchu. Teren wokół skały nosił ślady opon samochodów należących do gapiów, którzy z ciekawości zapuścili się aż tutaj. Płyta służąca za drzwi została przesunięta o kilka metrów, wejście do grotty było odsłonięte. W chwili gdy miał już wejść, zatrzymał się i nastawił uszu. Ze środka dochodził tłumiony odgłos, przerywany co chwila

delikatnym pojękiwaniem. Komisarz zeszywniał. Po odgłosach mógł sądzić, że w środku ktoś jest torturowany. Nie było czasu, by biec do samochodu i wziąć pistolet. Dał susa do środka, włączając równocześnie potężną latarkę.

– Ręce do góry! Policja!

Zobaczył dwie osoby, które zamarły z przerażenia, lecz jeszcze bardziej od nich zamarł sam Montalbano. Było to dwoje nagich, bardzo młodych ludzi, którzy się kochali: ona opierała się wyprężonymi rękami o ścianę, on przywierał do niej od tyłu. W świetle latarki wyglądali jak przepiękne rzeźby. Komisarz, czując, że oblewa się rumieńcem wstydu, wyłączył latarkę i niezgrabnie zaczął się cofać.

– Przepraszam – wymamrotał. – Pomyliłem się... Nie przeszkadzajcie sobie.

Wyszli po upływie niecałej minuty – niewiele trzeba, żeby włożyć dzinsy i podkoszulek. Montalbanowi było szczerze przykro, że im przerwał – tych dwoje na swój sposób przywracało godność jaskini, która dzięki nim przestała być tylko magazynem śmierci. Chłopak przespacerował przed nim ze spuszczoną głową i z dłońmi w kieszeniach, ona natomiast spojrzała na Montalbana przelotnie, z lekkim uśmiechem i wesołym blaskiem w oczach.

Komisarzowi wystarczyła zwykła, powierzchowna obserwacja, żeby uzyskać potwierdzenie tego, co w materiale filmowym nie pasowało mu do rzeczywistości: podczas gdy boczne ściany były względnie gładkie i jednolite, niższa część ściany w głębi – tej na wprost wejścia – wyglądała na szorstką, poraną wystęпами i zagłębieniami, na pierwszy rzut oka mogła się wydawać celowo poryta dłutem. Jednak to nie dłuto było sprawcą tych nierówności, lecz kamienie, poukładane to jeden na drugim, to obok siebie, które czas połączył ze sobą, posklejał, zatarł kurzem, ziemią, zaciekami wody i wapnia, aż zamienił usypany mur w prawie naturalną ścianę. Montalbano wpatrywał się w nią w dalszym ciągu, analizując centymetr po centymetrze,

aż w końcu pozbył się wszelkich wątpliwości: w głębi jaskini musiał znajdować się otwór o rozmiarach co najmniej metr na metr, który został zamaskowany, i to dawno temu.

– Jacomuzzi? Mówi Montalbano. Absolutnie potrzebuję, żebyś...

– Czy można wiedzieć, gdzie wozileś dupę? Szukałem cię całe przedpołudnie!

– No, teraz jestem tutaj.

– Znalazłem kawałek kartonu, takiego pakowego, a raczej takiego od pudeł do przesyłek.

– Szczerść za szczerść: ja kiedyś znalazłem czerwony guzik.

– Ale z ciebie kutas. Nie powiem nic więcej.

– No nie, kwiatuszku, nie obrażaj się.

– Na tym kawałku kartonu są wydrukowane litery. Znalazłem go w grocie pod panelem, musiał się wsunąć w przestrzeń szczelinowatą pomiędzy deskami.

– Czy możesz powtórzyć to słowo?

– Panel?

– Nie, zaraz potem.

– Przestrzeń szczelinowata?

– O to mi chodziło. Jezu, jaki ty jesteś wykształcony! I nie znaleźliście niczego więcej pod tą rzeczą, o której wspomniałeś?

– Owszem. Zardzewiałe gwoździe, właśnie guzik, ale czarny, kawałek ołówka i strzępy papieru, lecz wilgoć zamieniła je w papkę. Ten kawałek kartonu jest jeszcze w dobrym stanie, widocznie znajdował się tam od niedawna.

– Prześlij mi go. Posłuchaj, czy macie u siebie echosondę i kogoś, kto

umiałby się nią posługiwać?

– Tak, używaliśmy jej ostatnio w Misilmesi w ubiegłym tygodniu. Szukaliśmy nią trzech nieboszczyków, zresztą z powodzeniem.

– Czy możesz mi ją podesłać tu do Vigaty około piątej?

– Oszalałeś? Jest czwarta trzydzieści! Najwcześniej za dwie godziny. Ja też przyjadę, od razu podrzucę ci karton. A na co ci ona?

– Żeby podgrzać ci dupę.

– Przyszedł pan Burgio. Prosi, żeby go pan przyjął, musi coś panu powiedzieć, kwestia pięciu minut.

– Wpuść go.

Burgio już od dziesięciu lat był na emeryturze, ale wszyscy w Vigacie w dalszym ciągu tytułowali go dyrektorem, bo przez ponad trzydzieści lat prowadził tutejsze liceum handlowe. Znali się dobrze z Montalbanem. Dyrektor był człowiekiem rozległych horyzontów, ciekawym życia mimo podeszłego wieku; komisarz kilka razy dla relaksu przespacerował się z nim wzdłuż mola. Wyszedł mu na spotkanie.

– Co za miła niespodzianka! Proszę się rozgościć.

– Przechodziłem tędy, więc postanowiłem wpaść. Gdybym nie zastał pana w biurze, zadzwoniłbym.

– Słucham pana.

– Chciałbym powiedzieć panu kilka rzeczy o grocie, w której znaleźliście broń. Nie wiem, czy to ciekawe, ale...

– Żartuje pan? Proszę mi powiedzieć wszystko, co tylko pan wie.

– Cóż, chciałbym zastrzec, że mówię na podstawie tego, co słyszałem w lokalnych telewizjach i przeczytałem w gazetach. Możliwe, że sprawy wcale nie mają się tak, jak to zostało przedstawione. Tak czy inaczej, ktoś

powiedział, że ta płyta, która zakrywała wejście, została przerobiona na bramę przez ludzi mafii albo przez handlarzy bronią. To nieprawda. Tej, powiedzmy, adaptacji dokonał dziadek mojego bliskiego przyjaciela, Lilla Rizzitano.

– Czy wie pan, kiedy to było?

– Pewnie, że wiem. Około tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, kiedy wskutek działań wojennych zaczynało brakować oleju, mąki i zboża. W tym czasie wszystkie ziemie wokół Baraniej Góry i wokół skały należały do dziadka Lilla, Giacomina Rizzitano, który zbił majątek w Ameryce niezbyt legalnymi sposobami, przynajmniej tak mówiło się w mieście. Giacomo Rizzitano miał pomysł, żeby zamknąć grotę tym głazem przerobionym na drzwi. W jej wnętrzu przechowywał wszystko, co się tylko dało i czym handlował przy pomocy swojego syna Pietra, ojca Lilla. Byli to ludzie pozbawieni większych skrupułów, zaplątani w jakieś tam sprawy, podobno również opłacone krwią, o których osoby przyzwoite w ogóle nie rozmawiały. Lillo natomiast całkowicie się różnił od ojca i dziadka. Był kimś w rodzaju literata, pisał ładne wiersze, dużo czytał. To dzięki niemu poznałem *Twoje rodzinne strony Pavesego*, *Sycylijską rozmowę Vittoriniego*... Odwiedzałem go na ogół tylko wtedy, kiedy jego rodzina była poza domem, w małej willi u stóp Baraniej Góry, od strony morza.

– Willa została zburzona, bo przeszkadzała w budowie tunelu?

– Tak. A raczej: drążenie tunelu zniszczyło tylko ruiny i fundamenty, ponieważ willa została dosłownie obrócona w pył podczas bombardowań poprzedzających lądowanie aliantów w czterdziestym trzecim roku.

– Czy mógłbym się jakoś skontaktować z pańskim przyjacielem Lillem?

– Nawet nie wiem, czy żyje ani gdzie potem mieszkał. Mam wątpliwości, ponieważ musi pan wiedzieć, że Lillo był, albo jest, o cztery lata starszy ode mnie.

– Panie dyrektorze, czy został pan kiedyś wprowadzony do tej groty?

– Nie. Kiedyś poprosiłem o to Lilla, ale mi odmówił, otrzymał surowy zakaz od dziadka i od ojca. On naprawdę się ich bał. Już sam fakt, że wyjawiał mi tajemnicę istnienia groty, był poważnym występkiem.

Pomimo piemonckiego nazwiska agent Balassone mówił z mediolańskim akcentem. Wyróżniał się nieprzeniknioną miną mistrza zaduszkowych obrzędów.

Ciesz się, bo nadszedł Dzień Zmarłych! – na jego widok komisarzowi przypomniał się tytuł wiersza Delia Tessy.

Po półgodzinnych poszukiwaniach we wnętrzu groty Balassone zdjął z uszu słuchawki i spojrzał na komisarza z jeszcze bardziej zasmuconym wyrazem twarzy, o ile to w ogóle było możliwe.

„Pomyliłem się – stwierdził w duchu Montalbano – i teraz wygłupię się przed Jacomuzzim”. Który to Jacomuzzi po dziesięciu minutach przebywania w jaskini oświadczył, że cierpi na klaustrofobię, i wyszedł na zewnątrz.

„Być może dlatego, że nie ma tu kamer” – pomyślał złośliwie komisarz.

– A więc? – ośmielił się zapytać, żeby uzyskać potwierdzenie porażki.

– Jest za ścianą – zawyrokował sybilicznie Balassone, który okazał się nie tylko melancholijny, lecz również małomówny.

– Czy możesz mi powiedzieć, z łaski swojej, jeśli to dla ciebie nie nazbyt trudne, co jest za ścianą? – spytał Montalbano, przybierając ton niebezpiecznej uprzejmości.

– *On sit voeuij.*

– Czy będziesz tak miły i powiesz mi to po włosku?

Sądząc po wyglądzie i głosie, można by go wziąć za osiemnastowiecznego dworzanina: Balassone nie podejrzewał, że za chwilę, jeśli nadal będzie się

wypowiadał w ten sposób, na jego nosie wylądował potężna pięść. Na szczęście dla siebie wysłuchał prośby.

– Jest próżnia – powiedział – i to równie przestronna jak ta grotka.

Komisarz się uspokoił: miał nosa. Po chwili wszedł Jacomuzzi.

– Znalazłeś coś?

Przed obliczem swojego przełożonego Balassone stał się wymowny, aż Montalbano popatrzył na niego spod łba.

– Tak jest. Do tej jaskini musi przylegać jeszcze jedna grotka. To coś takiego, co widziałem w telewizji. Pokazywali tam dom Eskimosa... jak to się nazywa... a tak, igloo, za którym tuż obok był drugi. Oba igloo były połączone czymś w rodzaju przejścia, małym i niskim korytarzykiem. Tu mamy tę samą sytuację.

– Na oko – powiedział Jacomuzzi – zamknięcie korytarza między dwiema grotkami musi pochodzić sprzed wielu lat.

– Tak jest – przyznał jeszcze bardziej udręczony Balassone. – Jeżeli w drugiej grotce została schowana na przykład broń, to pochodzi co najmniej z czasów drugiej wojny światowej.

Pierwsze, co Montalbano zauważył na kawałku kartonu, zabezpieczonym akuratnie przez ludzi Jacomuzziego w przezroczystej plastikowej torebce, było to, że miał on kształt Sycylii. Pośrodku znajdowały się tłoczone na czarno litery: ATO – KAT.

– Fazio!

– Na rozkaz!

– Poproś raz jeszcze firmę Vinti o jeepa, a także o łopaty, kilofy i motyki. Jutro wracamy do grotki: ja, ty, Germana i Galluzzo.

– To jakaś mania! – wymamrotał Fazio.

Czuł się zmęczony. W lodówce znalazł gotowane kalmary i kawałek twardego sera. Rozsiadł się na werandzie. Kiedy skończył jeść, zajrzał do zamrażalnika. Była tam cytrynowa granita, którą służąca przygotowywała według przepisu „jeden, dwa, cztery”: jedna szklanka soku cytrynowego, dwie cukru i cztery szklanki wody. Palce lizać. Następnie postanowił położyć się na łóżku i dokończyć powieść Montalbana. Nie udało mu się przeczytać nawet jednego rozdziału: choć powieść go ciekawiła, sen okazał się silniejszy. Komisarz obudził się nagle niespełna dwie godziny później, spojrzął na zegarek: była dopiero jedenasta wieczorem. Kiedy odkładał zegarek na szafkę nocną, jego wzrok padł na kawałek kartonu, który zabrał ze sobą do domu. Wziął go i poszedł do łazienki. Siedząc na sedesie, przypatrywał się skrawkowi uważnie w chłodnym świetle jarzeniówki. I nagle go olśniło. Wydało mu się, że na chwilę światło w łazience nabrało takiej intensywności, iż wybuchło jak flesz. Montalbanowi zachciało się śmiać.

– Jak to się dzieje, że dobre pomysły przychodzą mi do głowy tylko w kiblu?

Obejrzał dokładnie kawałek kartonu.

– Pomyślę o tym rano, kiedy będę miał wypoczętą głowę.

Ale do tego nie doszło. Przez kwadrans wiercił się w łóżku, po czym wstał, odszukał w notesie numer telefonu kapitana Aliotty z policji finansowej w Montelusie, z którym był zaprzyjaźniony.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale potrzebuję naprawdę pilnej informacji. Czy kontrolowaliście kiedyś supermarket niejakiego Ingrassii z Vigaty?

– Nazwisko nic mi nie mówi. A skoro go nie pamiętam, to znaczy, że nawet jeśli była tam kontrola, to nie wykazała żadnych nieprawidłowości.

– Dziękuję.

– Zaczekaj. Takimi operacjami zajmuje się sierżant Lagana. Jeśli chcesz, każę mu do ciebie zadzwonić. Jesteś w domu?

– Tak

– Daj mi dziesięć minut.

Zdażył tylko pójść do kuchni i wypić szklankę lodowatej wody, kiedy zadzwonił telefon.

– Mówi Lagana, dzwonił do mnie kapitan. Ostatnia kontrola tego supermarketu miała miejsce dwa miesiące temu. Wszystko w porządku.

– Zrobiliście ją z własnej inicjatywy?

– Rutynowa kontrola. Wszystko było w normie. Zapewniam pana, że to prawdziwa rzadkość natrafić na handlowca, którego dokumenty byłyby w takim porządku. Nie dałoby się go na niczym przyłapać.

– Sprawdziliście wszystko? Księgi rachunkowe, faktury, rachunki?

– Przepraszam, panie komisarzu. A pan myśli, że jak wykonuje się kontrole? – spytał sierżant nieco chłodniejszym tonem.

– Na miłość boską, nie chciałem podawać w wątpliwość... Cel mojego pytania był inny. Ja nie znam pewnych mechanizmów i dlatego poprosiłem o pańską pomoc. Jak zaopatrują się takie supermarkety?

– U hurtowników: pięciu lub dziesięciu, w zależności od potrzeb.

– Aha. Czy umiałby mi pan powiedzieć, u kogo zaopatruje się supermarket Ingrassii?

– Chyba tak. Powinienem mieć jakieś notatki.

– Jestem panu naprawdę wdzięczny. Zadzwonię jutro rano do biura.

– Ale ja właśnie jestem w biurze! Proszę chwilę poczekać przy aparacie.

Montalbano usłyszał, jak pogwizduje.

– Halo? Pan komisarz? A więc Ingrassię zaopatrują trzy hurtownie w Mediolanie, jedna w Bergamo, jedna w Tarencie, jedna w Katanii. Proszę zapisać, W Mediolanie...

– Przepraszam, że przerwę. Proszę zacząć od Katanii.

– Nazwa spółki z Katanii brzmi „Pan”, jak bożek albo jak forma grzecznościowa. Jej właścicielem jest Salvatore Nicosia, mieszkaniec... Nie pasowało.

– Dziękuję, wystarczy. – Montalbano był rozczarowany.

– Chwileczkę, umknęło mi. Supermarket ma w Katanii jeszcze jednego dostawcę, wyłącznie artykułów gospodarstwa domowego. To firma Brancato.

Na kartonie widniał napis ATO – KAT. Firma Brancato – Katania: pasowało, i to jeszcze jak! Montalbano wydał z siebie tak głośny okrzyk radości, że aż przestraszył sierżanta.

– Panie komisarzu? Panie komisarzu? Mój Boże, co się stało? Żle pan się czuje, komisarzu?

11

Świeży, uśmiechnięty, w marynarce i krawacie, w wonnych oparach wody kolońskiej, Montalbano zjawił się o siódmej rano w domu kierownika supermarketu Ingrassii, pana Francesca Lacommare, który przyjął go w progę, z uzasadnionym zdziwieniem, w samych majtkach i ze szklanką mleka w dłoni.

– O co chodzi? – spytał pobladły kierownik, rozpoznając gościa.

– Dwa łatwiuteńkie pytania i po kłopotcie. Ale muszę pana o czymś bardzo poważnie uprzedzić: to spotkanie musi pozostać między nami. Jeżeli pan komuś o nim opowie, choćby swojemu pryncypałowi, już znajdę jakiś pretekst, żeby wsadzić pana do pierdła, jak amen w pacierzu.

Podczas gdy Lacommare usiłował zaczerpnąć powietrza, którego na chwilę zabrakło mu w płucach, we wnętrzu mieszkania eksplodował kobiecy głos, ostry i nieprzyjemny.

– Ciccino, co to za wizyta o tej porze?

– Nic, nic, Carmilina, śpij – odparł Lacommare, przymykając drzwi za plecami. – Czy ma pan coś przeciwko temu, komisarzu, żebyśmy porozmawiali tutaj, na klatce schodowej? Na ostatnim piętrze, nad nami, jest puste mieszkanie, więc nikt nam nie będzie przeszkadzał.

– U kogo zaopatrujecie się w Katanii?

– W dwóch firmach: Pan i Brancato.

– Czy częstotliwość dostaw jest ściśle określona?

– Tygodniowa w przypadku Pan, miesięczna w przypadku Brancata. Tak się umówiliśmy z innymi supermarketami, które zaopatrują się w tych

samych hurtowniach.

– Świetnie. Czyli, jak rozumiem, Brancato ładuje towar na ciężarówkę i wysyła ją w kurs po supermarketach. A w tym kursie na którym jesteście miejscu? Wyjaśnię to lepiej...

– Rozumiem, panie komisarzu. Ciężarówka wyjeżdża z Katanii, objeżdża prowincję Caltanissetty, następnie Trapani, a wreszcie Montalusy. Do nas dociera na końcu, a potem wraca pusta do Katanii.

– Ostatnie pytanie. Towar, który złodzieje ukradli, a potem pozostawili...

– Pan jest bardzo inteligentny, komisarzu.

– Chyba i pan jest inteligentny, skoro udziela mi odpowiedzi, zanim jeszcze zadam pytanie.

– Rzecz w tym, że właśnie to nie pozwala mi spać. A więc towar od Brancata został nam przekazany z wyprzedzeniem. Spodziewaliśmy się go nazajutrz rano, tymczasem przywieźli go o dzień wcześniej, kiedy zamykaliśmy. Kierowca powiedział, że supermarket w Trapani zamknięto z powodu żałoby, wobec czego się pospieszył i zdołał przyjechać przed czasem. Wtedy pan Ingrassia, żeby zwolnić ciężarówkę, zarządził rozładunek, sprawdził wykaz i przeliczył towar. Ale nie otworzył pudeł, powiedział, że jest za późno, że nie chce płacić za nadgodziny, że wszystko zostanie zrobione nazajutrz. Po upływie kilku godzin doszło do kradzieży. A więc zadaję sobie pytanie: kto zawiadomił złodziei, że towar zostanie dostarczony przed czasem?

Lacommare pasjonował się swoim rozumowaniem. Montalbano postanowił przywdziać szaty oponenta: kierownik nie powinien przybliżyć się za bardzo do prawdy, mógłby spowodować kłopoty. Ponadto najwyraźniej nie był wprowadzony w ciemne interesy Ingrassii.

– Wcale nie jest powiedziane, że te dwie rzeczy mają ze sobą związek.

Złodzieje mogli przyjechać, żeby ukraść to, co było już w magazynie, a tymczasem zastali w nim również świeżą dostawę.

– Dobrze, ale dlaczego potem wszystko zostawili?

To było sedno sprawy. Montalbano zawahał się. Jaka odpowiedź mogłaby zaspokoić ciekawość Lacommare?

– Czy można wiedzieć, kogo przyniosło o tej porze?! – spytała, tym razem z wściekłością, kobieta.

Musiała mieć wspaniały słuch. Montalbano wykorzystał sytuację, żeby się pożegnać. Dowiedział się już wszystkiego, co było mu potrzebne.

– Proszę się pokłonić szanownej małżonce – powiedział, ruszając ku schodom.

Kiedy doszedł do bramy, wrócił jak odbita piłeczka.

– To znowu pan? – Lacommare wypił już mleko, ale wciąż był w samych majtkach.

– Zapomniałem, proszę wybaczyć. Czy jest pan pewny, że po rozładunku ciężarówka odjechała całkowicie pusta?

– No, tego nie powiedziałem. Zostało w niej jeszcze około piętnastu dużych paczek, przeznaczonych, jak mi powiedział kierowca, dla tego supermarketu w Trapani, który był zamknięty.

– Kto, do cholery, zawraca dupę o tej porze?! – zawyła we wnętrzu pani Carmilina i Montalbano bez pożegnania wziął nogi za pas.

– Myślę, że przynajmniej w przybliżeniu udało mi się odtworzyć drogę, jaką broń docierała do grotty. Proszę uważać, panie kwestorze. A więc w sposób, który musimy dopiero odkryć, broń z jakiejś części świata dociera do Brancata w Katanii, gdzie się ją magazynuje i wkłada do wielkich pudeł z nazwą firmy, jak gdyby zawierały zwykły sprzęt gospodarstwa domowego

rozprowadzany do supermarketów. Kiedy przychodzi polecenie dostawy, Brancato załadowuje pudła z bronią razem z towarem. Dla bezpieczeństwa na którymś odcinku drogi pomiędzy Katanią a Caltanissettą zamieniają ciężarówkę firmy na inną, uprzednio skradzioną: jeśli ktoś odkryje broń, firma Brancato może twierdzić, że nie ma z tym nic wspólnego, że nic nie wie o tych transportach, że ciężarówka do niej nie należy i że ona sama jest wręcz ofiarą rabunku. Skradziona ciężarówka zaczyna swój kurs, pozostawia pudła... jak by to powiedzieć... czyste w różnych supermarketach, które musi zaopatrzyć, po czym oddała się w kierunku Vigaty. Jednak zanim tam dojeżdża, ciemną nocą, zatrzymuje się przy skale i wyładowuje broń, ukrywając ją w grocie. Wczesnie rano – tak mi powiedział kierownik supermarketu, Lacommare – dostarczają ostatnie pudła do supermarketu Ingrassii i odjeżdżają. W drodze powrotnej do Katanii skradziona ciężarówka zostaje zastąpiona autentyczną, firmową, która powraca do siedziby, jak gdyby wykonała kurs. I za każdym razem przekręcają licznik. Ten dowcip powtarzają od co najmniej trzech lat, bo, jak nam powiedział Jacomuzzi, grota została urządzona jakieś trzy lata temu.

– To, co pan mówi o ich zwyczajowej procedurze – powiedział kwestor – cudownie do siebie pasuje. Lecz w dalszym ciągu nie rozumiem tego przedstawienia z udawaną kradzieżą.

– To była konieczność. Czy pamięta pan wymianę ognia pomiędzy patrolem karabinierów a trzema przestępcami w okolicach Santa Lucia? Jeden z karabinierów został ranny.

– Owszem, pamiętam, ale co to ma wspólnego z naszą sprawą?

– Radiostacje lokalne nadały tę wiadomość około dziewiątej wieczorem, właśnie wtedy, gdy ciężarówka jechała w kierunku groty. Santa Lucia znajduje się o dwa, trzy kilometry od celu podróży przemytników, którzy musieli usłyszeć wiadomość właśnie przez radio. Nie byłoby rzeczą rozsądną

wpaść na odludziu na jakiś patrol – a na miejsce starcia udał się niejeden. Tak więc postanowili jechać w kierunku Vigaty, w przeciwnym razie na pewno trafiliby na jakąś blokadę. Wybrali zatem najmniejsze zło, mieli dużą szansę wyjść z tego bez szwanku. I tak właśnie zrobili. Przyjeżdżają więc znacznie przed czasem i opowiadają historię o zamkniętym supermarkecie w Trapani. Ingrassia, uprzedzony o zmianie terminu, zarządza rozładunek, a ciężarówka wyrusza do Katanii. Wciąż jeszcze wiezie broń w pudłach, które, jak mówią kierownikowi Lacommare, zawierają rzekomo towar przeznaczony dla supermarketu w Trapani. Ciężarówka zostaje ukryta w pobliżu Vigaty, na terenach należących do Ingrassii czy jakiegoś wspólnika.

– Pytam raz jeszcze: po cóż mieliby udawać kradzież? Z miejsca, w którym ukryli ciężarówkę, mogli przecież jechać wprost do groty, nie przejeżdżając przez Vigatę.

– A jednak to było konieczne. Zatrzymani przez karabinierów, policję finansową lub kogo tam jeszcze, z piętnastoma paczkami bez listu przewozowego, wzbudziliby podejrzenia. Gdyby ich zmuszono do otwarcia jednego pudła, byłby kłops. Musieli bezwzględnie wziąć paki, które Ingrassia kazał wyładować, a których siłą rzeczy nie miał ochoty otwierać.

– Zaczynam rozumieć.

– W nocy ciężarówka wróciła do supermarketu. Stróż nie był w stanie rozpoznać ani ludzi, ani samochodu, ponieważ poprzedniego wieczoru jeszcze nie objął służby. Załadowali zamknięte paki, ruszyli w stronę groty, rozładowali pudła z bronią, wrócili, porzucili ciężarówkę na placu przy stacji benzynowej i sprawa skończona.

– Przepraszam, ale dlaczego nie pozbyli się skradzionego towaru, jadąc w kierunku Katanii?

– To właśnie był przebłysk geniuszu: pozornie, pozostawiając ciężarówkę z całym skradzionym towarem, zmylili śledztwo. Automatycznie musieliśmy

założyć żart, pogroźkę, ostrzeżenie w związku z niezapłaconym haraczem. Krótko mówiąc, skłonili nas, żebyśmy prowadzili dochodzenie na niższym poziomie, który niestety obowiązuje w naszych stronach. A Ingrassia znakomicie odegrał swoją rolę, opowiadając nam absurdalną historię o kawale, który jakoby miano mu zrobić.

– Naprawdę genialne – powiedział kwestor.

– Tak, ale jeśli dobrze się przypatrzeć, jakiś błąd, przeoczenie znajdzie się zawsze. W naszym przypadku błędem było to, że nie zauważyli kawałka kartonu, który wsunął się pod deski w podłodze groty.

– No właśnie, właśnie – powiedział kwestor, zamyślony. Następnie, jak gdyby zwracając się do siebie samego, zapytał: – Ciekawe, gdzie się podziały puste pudła?

Niekiedy zaprzętał sobie głowę błażostkami.

– Pewnie załadowali je na jakiś samochód i spalili na polach. Przy grocie były co najmniej dwa samochody współników, być może po to, by zabrać kierowcę ciężarówki, kiedy już pozostawia ją przy stacji benzynowej.

– A więc bez tego kawałka kartonu nie moglibyśmy niczego odkryć – podsumował kwestor.

– Cóż, to nie jest całkiem tak – powiedział Montalbano. – Śledziłem inny wątek, który nieuchronnie doprowadziłby mnie do tych samych wniosków. Widzi pan, byli zmuszeni zabić biednego staruszka.

Kwestor drgnął gniewnie.

– Morderstwo? Dlaczego ja o niczym nie wiem?

– Dlatego, że zamarkowali wypadek. Dopiero wczoraj wieczorem nabrałem pewności, że przecięli mu linki hamulcowe.

– Jacomuzzi to panu powiedział?

– Niech Pan Bóg broni! Jacomuzzi jest dobrym, kochanym człowiekiem,

i bardzo kompetentnym, lecz włączyć go do tego znaczyłoby tyle, co wydać komunikat prasowy.

– Kiedyś będę go musiał opierdolić, aż mu spodnie spadną – powiedział kwestor, nabierając powietrza w płuca. – Proszę opowiedzieć mi wszystko, po kolei i pomału.

Montalbano opowiedział mu historię Misuraki i listu, który od niego otrzymał.

– Został zamordowany niepotrzebnie – podsumował. – Zabójcy nie wiedzieli, że już o wszystkim mi napisał.

– Nie rozumiem, z jakiego powodu Ingrassia, o ile dać wiarę Misurace, znalazł się w pobliżu swojego supermarketu, podczas gdy tamci udawali, że kradną?

– Ponieważ jeśli nastąpiłaby jakaś przeszkoda, na przykład niespodziewana wizyta, pojawiłby się gotowy do wyjaśnień, że wszystko jest w porządku, że odsyła towar, ponieważ kontrahenci z firmy Brancato pomylili zamówienia.

– A nocny stróż w zamrażarce?

– Ten już nie stanowił problemu. Ślad by po nim zaginął.

– Jak działamy? – spytał kwestor po dłuższej przerwie. – Prezent, który dał nam Tano, choć nie wymienił nazwisk, okazał się szczodry – zaczął Montalbano – i nie powinien zostać zmarnowany. Postępując rozsądnie, możemy przerwać krąg, którego prawdziwego zasięgu nie znamy. Musimy być ostrożni. Jeżeli od razu aresztujemy Ingrassię lub kogoś z firmy Brancato, nie rozwiążemy niczego. Trzeba dotrzeć do grubych ryb.

– Zgadzam się – powiedział kwestor. – Zawiadomię Katanię, żeby trzymali pod ścisłym nadz...

Urwał, zrobił grymas na bolesne wspomnienie wtyczki, która dała o sobie

znać w Palermo, doprowadzając do śmierci Tana. Równie dobrze ktoś taki mógł funkcjonować w Katanii.

– Działajmy w ścisłym kręgu – postanowił. – Trzymajmy pod kontrolą tylko Ingrassię.

– A więc udałbym się do sędziego po konieczne pozwolenia – powiedział komisarz.

Kiedy zbierał się już do wyjścia, kwestor o czymś sobie przypomniał.

– Jeszcze jedno. Moja żona czuje się o wiele lepiej. Czy odpowiada panu sobota wieczorem? Mamy wiele spraw do omówienia.

Sędziego Lo Bianco zastał w wyjątkowo dobrym nastroju, z błyszczącymi oczami.

– Doskonale pan wygląda. – Komisarz nie mógł się powstrzymać od głośnego komentarza.

– Ach, tak, tak, bo czuję się naprawdę dobrze.

Rozejrzał się dokoła, przybrał konspiracyjny wyraz twarzy, nachylił się do Montalbana i powiedział cicho:

– Czy pan wie, że Rinaldo miał sześć palców u prawej dłoni?

Montalbano na chwilę całkiem stracił rezon. Następnie przypomniał sobie, że sędzia od lat oddaje się pisaniu potężnej pracy zatytułowanej *Życie i dzieła Rinalda i Antonia Lo Bianco, bakałarza Uniwersytetu w Agrygencie za panowania króla Marcina Młodego (1402-1409)*, ponieważ wbił sobie do głowy, że byli to jego przodkowie.

– Doprawdy? – spytał Montalbano z radosnym zdumieniem. Lepiej było mieć sędziego po swojej stronie.

– Tak, mój panie. Sześć palców u prawej dłoni.

„Musiał się niezłe brandzłować” – miał już na końcu języka Montalbano,

ale zdołał się powstrzymać.

Opowiedział sędziemu wszystko o tym, jaką drogą przewożono broń i jak zginął Misuraca. Wyłuszczył mu również strategię, którą zamierzał stosować, i poprosił o pozwolenie na kontrolowanie rozmów telefonicznych Ingrassii.

– Natychmiast je panu załatwię – powiedział Lo Bianco.

W chwili innej niż ta wysunąłby wątpliwości, stawiał przeszkody, przewidywał kłopoty – tym razem, szczęśliwy z odkrycia sześciu palców u prawej dłoni Rinalda, udzieliliby Montalbanowi pozwolenia na tortury, wbijanie na pal i palenie na stosie.

Poszedł do domu, włożył slipki, długo pływał w morzu, wrócił, wytarł się, pozostał w samych majtkach. Lodówka była pusta, w piekarniku królowała brytfanka z czterema ogromnymi porcjami lasagni, danie godne Olimpu. Zjadł dwie porcje, włożył brytfankę do piekarnika, nastawił budzik, uciął sobie solidną, godzinną drzemkę, wstał, wziął prysznic, włożył brudne dżinsy i koszulę, poszedł do biura.

Fazio, Germana i Galluzzo czekali na niego w roboczych ubraniach. Kiedy tylko go ujrzeli, wzięli łopaty, kilofy i motyki i wznieśli chórem starą pieśń robotników rolnych, wymachując w powietrzu narzędziami:

– „Już czas! Już czas! Ziemia dla robotniczych mas!”

– Ale z was kutasy! – Montalbana stać było tylko na taki komentarz.

Przy wejściu do groty czekał już Prestia, szwagier Galluzza, razem z operatorem, który przywiózł ze sobą dwa wielkie reflektory na akumulator.

Montalbano spojrzał spode łba na Galluzza.

– Wie pan – powiedział policjant, oblewając się rumieńcem – jako że poprzednim razem udzielił pan pozwolenia...

– Dobrze już, dobrze – uciął komisarz.

Weszli do groty, z której zrobiono arsenał, po czym – zgodnie ze wskazówkami Montalbana – Fazio, Germana i Galluzzo wzięli się do pracy i zaczęli wyjmować kamienie, które przylegały do siebie jak zespojone cementem. Pracowali trzy godziny z okładem, wszyscy, nie wyłączając komisarza, Prestii i operatora, którzy co jakiś czas zmieniali trzech policjantów. Aż wreszcie ściana runęła. Zgodnie z tym, co mówił Balassone, zobaczyli wyraźnie korytarzyk, reszta ginęła w mroku.

– Idź ty – powiedział Montalbano do Fazia.

Ten wziął latarkę, położył się na ziemi i zniknął. Po kilku sekundach usłyszeli jego zdziwiony głos.

– Mój Boże, panie komisarzu, niech pan tu przyjdzie!

– Wejdziecie dopiero wtedy, gdy ja was wezwę – powiedział Montalbano do wszystkich, lecz zwłaszcza do dziennikarza, który słysząc Fazia, drgnął i wydawało się, że legnie na ziemi i zacznie się czołgać.

Długość korytarzyka była równa długości ciała komisarza. W jednej chwili znalazł się po drugiej stronie i włączył latarkę. Druga grotka okazała się mniejsza od pierwszej i sprawiała wrażenie całkiem suchej. Dokładnie na środku leżał dywan, wciąż w dobrym stanie. Po jego lewej stronie stała miska. Po prawej stronie, symetrycznie – bukłak. Wierzchołek odwróconego trójkąta, na dolnej części dywanu, stanowił pies z terakoty, owczarek naturalnej wielkości. Na dywanie leżały dwa pergaminowe ciała, splecione ze sobą jak w horrorach.

Montalbano czuł, że brakuje mu powietrza, nie mógł otworzyć ust. Nie wiadomo dlaczego, przypomniał sobie chłopaka i dziewczynę, którzy kochali się w drugiej grocie. Z jego milczenia skorzystali pozostali, którzy nie wytrzymali i jeden po drugim weszli do środka. Operator włączył lampy

i zaczął nerwowo kręcić materiałem. Wszyscy milczeli.

Pierwszy otrząsnął się Montalbano.

– Zawiadam Jacomuzziego, sędziego i doktora Pasquano – powiedział.

Nawet nie spojrzął na Fazio, żeby wydać mu rozkaz. Stał nieruchomo i patrzył jak zaszarowany, obawiając się, że najmniejszy gest może go zbudzić ze snu, w którym był właśnie pogrążony.

12

Kiedy Montalbano otrząsnął się z paraliżującego zdziwienia, zaczął wołać do wszystkich, żeby stali plecami do ściany, żeby się nie ruszali i nie deptali podłóża groty, pokrytego drobnutkiem czerwonym piaskiem, który nie wiadomo skąd tu się wziął i oblepiał również ściany. W drugiej grocie nie było nawet śladu piasku i być może to właśnie on w jakiś sposób zatrzymał rozkład zwłok. Byli to mężczyzna i kobieta, w wieku trudnym do ustalenia na pierwszy rzut oka: że należeli do przeciwnych płci, komisarz wywnioskował z proporcji ciał, bo przecież nie z przyrodzenia, które już nie istniało, ponieważ zostało wykruszone przez czas. Mężczyzna spoczywał na boku, jego ramię dotykało piersi leżącej na wznak kobiety. Obejmowali się zatem i tak już mieli pozostać na zawsze – to, co było niegdyś ciałem męskiego ramienia, jak gdyby przykleiło się, wmieszało w ciało kobiecej piersi. Jednak nie, już niebawem zostaną rozdzieleni za sprawą doktora Pasquano. Pod pomarszczoną, woskową skórą bieliły się kości, wysuszone, zredukowane do samych kształtów. Można by pomyśleć, że oboje się uśmiechają, wargi, które uniosły się i spłaszczyły wokół ust, ukazywały zęby. Obok głowy zmarłego znajdowała się czarka z okrągłymi przedmiotami, natomiast przy głowie kobiety stała gliniana stągiew, taka jak te, w których wieśniacy nosili kiedyś zimną wodę i które utrzymywały jej niską temperaturę. U stóp leżącej pary stał pies z terakoty. Miał mniej więcej metr długości, zachował nienaruszone kolory, szary i biały. Twórca przedstawił go z wyprężonymi przednimi i podkurczonymi tylnymi łapami, z półotwartym pyskiem, z którego wynurzał się czerwony język, z czujnymi oczami: siedział, ale w pozycji, w jakiej psy zazwyczaj trzymają straż. Poprzez nieliczne otwory w dywanie

przeświecał piasek podłóża, lecz możliwe, że te dziury były w tkaninie już dawniej, że dywan w tym stanie rozłożono w grocie.

– Wyjdźcie wszyscy! – rozkazał, zwracając się następnie do Prestii i operatora. – A przede wszystkim wyłączcie lampy.

Nagle zdał sobie sprawę ze szkody, jaką wyrządzali żarem reflektorów i swoją obecnością. Pozostał sam w grocie. Oświetlając wnętrze latarką, obejrzał uważnie zawartość czarki: okrągłe przedmioty okazały się metalowymi monetami, wypłowiałymi i pokrytymi śniedzią. Delikatnie, dwoma palcami, uniósł jedną z nich, która wydała mu się najlepiej zakonserwowana. Była to moneta o nominale dwudziestu centymów, bita w 1941 roku; po jednej stronie przedstawiała króla Wiktora Emanuela III, po drugiej profil kobiety z faszystowskim emblematem różgi. Kiedy skierował światło na głowę zmarłego, zauważył otwór w skroni. Za dobrze się na tym znał, żeby nie zrozumieć, że był on efektem strzału z broni palnej, więc mężczyzna albo sam się zabił, albo został zabity. Lecz jeśli popełnił samobójstwo, to gdzie podziała się broń? Na ciele kobiety natomiast komisarz nie dostrzegł ani śladu nagłej, zadanej cudzymi rękami śmierci. Zamyślił się, oboje byli nadzy, a w grocie nie leżały żadne ubrania. Co to znaczyło?

Światło latarki zgasło nagle, bateria wyczerpała się bez uprzedzenia, nie dając znaków ostrzegawczych w rodzaju powolnego matowienia czy żółknięcia. Montalbano przez moment był dezorientowany, nie potrafił się odnaleźć. Chcąc uniknąć szkód, przykucnął na piasku, licząc na to, że oczy przyzwyczajają się do ciemności i w pewnej chwili na pewno dostrzeże wątlą poświatę korytarza. Lecz wystarczyło mu tych kilka sekund całkowitej ciemności i ciszy, żeby poczuć niezwykley zapach, który – był tego pewien – kiedyś już czuł. Wytężył pamięć, by przypomnieć sobie gdzie i zdecydować, czy w ogóle ma to jakieś znaczenie dla sprawy. Jako że od dziecka miał

naturalną skłonność do przypisywania każdemu zapachowi, który przyciągał jego uwagę, jakiejś barwy, stwierdził, że temu zapachowi odpowiada kolor ciemnozielony. Dzięki temu skojarzeniu przypomniał sobie, gdzie poczuł go po raz pierwszy: w Kairze, we wnętrzu piramidy Cheopsa, w korytarzu, który był niedostępny dla zwiedzających, a którym on tylko mógł przejść dzięki uprzejmości jednego z egipskich przyjaciół. I nagle sam sobie wydał się kimś marnym, człowiekiem bez wartości, niezdolnym uszanować cokolwiek. Rano, płosząc dwoje młodych, którzy się kochali, sprofanował życie; teraz, w obecności dwóch ciał, które na zawsze powinny pozostać zapomniane w swoim splocie, sprofanował śmierć.

Zapewne właśnie z powodu tego poczucia winy nie chciał być świadkiem pobierania śladów, do którego natychmiast przystąpił Jacomuzzi razem ze swoimi ludźmi z laboratorium i z doktorem Pasquano. Wypalił pięć papierosów, usiadł na płycie przerobionej na wrota do arsenału, kiedy usłyszał wołanie Pasquana, pełne napięcia i podenerwowania.

– Gdzie jest sędzia?

– Mnie pan o to pyta?

– Jeżeli nie przyjedzie natychmiast, wszystko tu diabli wezmą. Muszę zabrać zwłoki do Montelusy, włożyć je do lodówki. Rozpadają się niemal na oczach. Co ja mam robić?

– Niech pan wypali ze mną papierosa. – Montalbano próbował go uspokoić.

Sędzia Lo Bianco przyjechał po upływie kwadransa, kiedy komisarz zdążył wypalić kolejne dwa papierosy.

Z roztargnieniem ogarnął jaskinię wzrokiem i zważywszy na to, że zwłoki nie pochodzą z czasów króla Marcina Młodego, rzucił niedbale do doktora:

– Niech pan robi, co chce, zresztą to stara sprawa.

Televigata od samego początku wykazała właściwe sobie podejście. W wiadomościach o dwudziestej trzydziści najpierw pojawiła się rozemocjonowana twarz Prestii. Szwagier Galluzza zapowiedział wyjątkowy materiał, który wszyscy zawdzięczają „genialnej intuicji komisarza Salva Montalbano z Vigaty, postaci wyjątkowej wśród detektywów wyspy i – dlaczegóż by nie? – całych Włoch”. W dalszej części wypowiedzi przypomniał dramatyczne aresztowanie Tana zwanego „Grekiem”, krwawego bossa mafii, oraz odkrycie groty zamienionej w arsenał broni. Pojawiła się też sekwencja z konferencji prasowej poświęconej aresztowaniu Tana, gdzie jakiś przerażony i jękający się typ, który odpowiadał imieniu i funkcji komisarza Montalbano, z trudem usiłował złożyć do kupy kilka zdań. Prestia zaczął opowiadać, jak nadzwyczajny detektyw doszedł do wniosku, że obok jaskini z bronią musiała znajdować się jeszcze jedna grotka, połączona z tą pierwszą.

– Ja, ufając intuicji komisarza, pojechałem jego śladem w towarzystwie operatora Schiriró Gerlando.

W tej chwili Prestia tajemniczym głosem zadał sobie kilka pytań: jakie ukryte, nadnaturalne zdolności posiadał komisarz? Co sprawiło, że za starymi, poczerniałymi kamieniami domyślił się dawnej tragedii? A może komisarz miał w oczach promienie rentgenowskie jak jakiś Superman?

Montalbano oglądał program w swoim domu i od pół godziny nie mógł znaleźć pary czystych majtek, które przecież musiały gdzieś być. Słyszając to ostatnie pytanie, posłał reportera do diabła. Podczas gdy po ekranie przemykały sugestywne ujęcia zwłok, Prestia uzasadniał swoje twierdzenie z żarliwym przekonaniem. Nie wiedział o otworze w skroni mężczyzny, więc mówił o śmierci z miłości. Według niego kochankowie, których namiętności

sprzeciwiać się miały ich rodziny, zamknęli się w grocie, zamurowali korytarz i skazali na śmierć głodową. W swojej ostatniej kryjówce rozłożyli stary dywan, postawili stągiew z wodą i objęci czekali na śmierć. O miseczce wypełnionej monetami nie wspomniał – odstawałaby od landszaftu, który starał się właśnie odmalować. Kochankowie – ciągnął Prestia – nie zostali zidentyfikowani, a historia wydarzyła się co najmniej pięćdziesiąt lat temu. Następnie inny dziennikarz zaczął mówić o wydarzeniach dnia: o sześciolatniej dziewczynce zgwałconej i zatłuczonej na śmierć kamieniem przez stryja, o zwłokach znalezionych w studni, o strzelaninie w Merfi, w której zginęły trzy osoby, a ranne zostały cztery, o robotniku, który zginął na stanowisku pracy, o zniknięciu dentysty, o samobójstwie handlowca doprowadzonego do ostateczności przez lichwiarzy, o aresztowaniu radcy gminy Montevergine za łapówkarstwo i korupcję, o samobójstwie członka władz prowincji oskarżonego o paserstwo, o znalezieniu w morzu topielca...

Przed telewizorem Montalbano zapadł w głęboki sen.

- Halo, Salvo? Mówi Gege. Pozwól coś powiedzieć i nie wpierdalaj się przez chwilę. Muszę się z tobą spotkać, mam dla ciebie informacje.
- Dobrze, Gege, nawet jeszcze dzisiaj, jeśli chcesz.
- Nie jestem w Vigacie, dzwonię z Trapani.
- A więc kiedy?
- Co dzisiaj jest?
- Czwartek.
- W sobotę o północy, tam gdzie zawsze, pasuje ci?
- Słuchaj, Gege, w sobotę wieczorem jestem z kimś umówiony na kolację, ale mogę przyjść. Jeśli się trochę spóźnię, zaczekaj.

Telefon od Gege, który wydawał się zmartwiony, i to do tego stopnia, że nawet nie okazywał ochoty do żartów, zbudził go w samą porę. Była dziesiąta, włączył Reteliberę. Nicoló Zito, człowiek o inteligentnym wyrazie twarzy, o włosach równie czerwonych jak jego myśli, rozpoczął dziennik wiadomością o śmierci robotnika w Feli, który spłonął żywcem wskutek eksplozji gazu. Przytoczył całą listę przykładów, żeby wykazać, iż co najmniej dziewięćdziesiąt procent przedsiębiorców ma w nosie normy bezpieczeństwa. Następnie przeszedł do aresztowania administratorów państwowych, oskarżonych o rozmaite malwersacje, i skorzystał z okazji, żeby przypomnieć telewidzom, jak kolejne rządy na próżno usiłowały wprowadzić ustawę, która uniemożliwiłaby sfinalizowanie akcji „czyste ręce”. Poruszając trzeci temat, jakim było samobójstwo handlowca przybitego długami zaciągniętymi u pewnego lichwiarza, ocenił środki podjęte przez rząd przeciw lichwie jako całkowicie niewystarczające. Dlaczego – zadawał pytanie – ci, którzy analizują tę plagę, tak precyzyjnie rozdzielają lichwę od mafii? Ile jest sposobów prania brudnych pieniędzy? I na końcu zaczął mówić o dwóch ciałach znalezionych w grocie, lecz ukazał sprawę ze szczególnej perspektywy, polemizując pośrednio z nastawieniem, jakie wykazali Prestia i Telegigata. Kiedyś – rzekł – ktoś powiedział, że religia jest opium dla ludu, w dzisiejszych czasach należałoby raczej powiedzieć, że prawdziwym opium jest telewizja. Na przykład: z jakiego powodu znalezisko to zostało przedstawione jako rozpaczliwe samobójstwo dwojga kochanków, którym zabroniono miłości? Jakie szczegóły upoważniały do wysunięcia podobnej tezy? Ludzie ci byli nadzy: gdzie podziakali się ich ubrania? W grocie nie ma śladu broni – w jaki sposób mieliby popełnić samobójstwo? Skazując się na śmierć głodową? Dobrze! Dlaczego przy mężczyźnie stała czarka z monetami, które już wyszły z obiegu, lecz zachowały wartość: żeby zapłacić Charonowi za transport?

Prawdą jest – twierdził – że ktoś chce nadać przypuszczalnemu morderstwu aspekt bezdyskusyjnego, romantycznego samobójstwa. A w dzisiejszych mrocznych czasach, nad którymi zawisły ciemne chmury – zakończył – montuje się w ten sposób historię, żeby dać ludziom opium, żeby odciągnąć uwagę od poważnych problemów i zwrócić ją na opowieść, owszem, o Romeo i Julii, lecz napisaną przez scenarzystę telenoweli.

– Dzień dobry, kochany, mówi Livia. Chcę ci powiedzieć, że zarezerwowałam miejsca w samolocie. Wylatujemy z Rzymu, więc sam musisz kupić bilet z Palermo na Fiumicino. Ja kupię sobie bilet z Genui. Spotkamy się na lotnisku i w drogę.

– Mhm.

– Zarezerwowałam również hotel, moja przyjaciółka w nim mieszkała i mówi, że jest bardzo ładny, choć bez zbytnich luksusów. Myślę, że ci się spodoba.

– Mhm.

– Wylatujemy za piętnaście dni. Jestem szczęśliwa. Liczę dni i godziny.

– Mhm.

– Salvo, co ci jest?

– Nic, a co ma być?

– Nie wydajesz się uradowany.

– Ależ skąd, co ty mówisz?

– Słuchaj, Salvo. Jeśli w ostatniej chwili zrezygnujesz, to polecę sama.

– No nie.

– Czy możesz mi wyjaśnić, co się dzieje?

– Nic, spałem.

– Komisarz Montalbano? Dzień dobry, mówi Burgio.

– Dzień dobry, panie dyrektorze, słucham.

– Jest mi niewymownie przykro, że muszę pana niepokoić w domu. Usłyszałem właśnie w telewizji o tych dwóch ciałach.

– Czy jest pan w stanie je zidentyfikować?

– Nie. Dzwonię w związku z pewną sprawą, o której w telewizji mówiono przełomie, a która może być dla pana interesująca. Chodzi o psa z terakoty. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, przyjdę jutro rano do pańskiego biura z panem Burruano. Czy pan go zna?

– Z widzenia. O dziesiątej, dobrze?

– Tutaj – powiedziała Livia. – Chcę robić to tutaj, i to natychmiast.

Znajdowali się w miejscu, które mogło być gęsto zadrzewionym parkiem. Pod ich stopami chrzęściły tysiące muszli najrozmaitszych gatunków: ślimaków, ostryg, małży, jeżowców, pustelników.

– Ale dlaczego właśnie tutaj? Wróćmy do samochodu, w ciągu pięciu minut będziemy w domu, ktoś może tędy przechodzić.

– Nie kłóć się ze mną, fiucie – ucięła Livia, chwytając go za pasek i próbując niezręcznie rozpiąć sprzączkę.

– Sam to zrobię – powiedział.

W jednej chwili Livia się rozebrała, podczas gdy on wciąż walczył ze spodniami i był jeszcze w majtkach.

„Gdzie ona się nauczyła rozbierać w takim tempie?” – pomyślał w przyływie sycylijskiej zazdrości.

Livia rzuciła się na wilgotną trawę, rozłożyła nogi i zaczęła pieścić sobie piersi, a on ze wstrętem usłyszał chrzęst setek muszli miażdżonych przez jej ciało.

– No, chodź, szybko.

Zdołał się wreszcie rozebrać, drżąc przy tym z zimna. Tymczasem dwa lub trzy ślimaki zaczęły pełzać po ciele Livii.

– Tym nic nie działasz – powiedziała, patrząc krytycznie na jego przyrodzenie. Uklękła, ujęła je współczująco w dłonie, zaczęła pieścić i włożyła sobie do ust. Kiedy poczuła, że jest gotowy, powróciła do poprzedniej pozycji. – Wypierdol mnie jak należy – powiedziała.

„Odkąd jest taka wulgarna?” – spytał sam siebie, zawstydzony.

Kiedy już miał w nią wejść, ujrzał psa o kilka metrów od nich. Był biały, czerwony język zwisał mu z pyska. Zwierzę groźnie warczało i szczyrzyło kły, ściekała mu strużka śliny. Skąd ono się wzięło?

– Co ci jest? Znowu ci opadł?

– Tu jest pies.

– Co cię obchodzi pies? Wyruchaj mnie.

Dokładnie w tej chwili pies skoczył, a on cały zeszytniał ze strachu. Zwierzę zatrzymało się o kilka centymetrów od jego głowy, skamieniało, lekko wyblakło, przysiadło z wyprostowanymi przednimi łapami i podkurczonymi tylnymi, jego ciało zamieniło się w terakotę. Był to pies z groty – ten, który czuwał przy zmarłych.

I nagle, równocześnie, znikło niebo, drzewa, trawa; ściany i skalisty dach zasklepiły się wokół nich, a Montalbano zrozumiał przerażony, że martwa para w grocie to nie było dwoje nieznajomych, lecz Livia i on sam.

Z koszmaru przebudził się, dysząc, zlany potem, i natychmiast przeprosił w myślach Livię za to, że we śnie obsadził ją w tak obscenicznej roli. Co oznaczał ten pies? A odrażające muszle, które leżały wszędzie?

Bo przecież ten pies musiał mieć jakieś znaczenie.

Zanim poszedł do biura, zatrzymał się przy kiosku i wziął gazety wydawane na wyspie. Obie poświęcały wiele miejsca odkryciu zwłok w grocie, natomiast o znalezieniu broni całkiem już zapomniały. Gazeta, którą wydawano w Palermo, była pewna, że chodzi o samobójstwo z miłości. Gazeta z Katanii natomiast nie odrzucała również hipotezy morderstwa, i to do tego stopnia, że aż zatytułowała swój artykuł *Podwójne samobójstwo czy dwojakie morderstwo?*, przypisując tajemnicze i niejasne różnice określeniom „podwójne” i „dwojakie”. Z drugiej strony gazeta ta starała się nigdy nie zajmować żadnego stanowiska i bez względu na to, czy chodziło o wojnę, czy o trzęsienie ziemi, zapalała Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek, dzięki czemu wyrobiła sobie opinię dziennika niezależnego i liberalnego. Żadna z dwóch gazet nie zwróciła uwagi ani na stągiew, ani na czarękę, ani na psa z terakoty.

Kiedy tylko Montalbano przekroczył próg komisariatu, Catarella zapytał go zatroskany, co odpowiadać na setki pytań dziennikarzy, którzy chcieli z nim rozmawiać.

– Powiedz im, że pojechałem z misją.

– A co, został pan misjonarzem? – odparł błyskawicznie agent, którego własny przebłysk humoru rozbawił do łez.

Montalbano utwierdził się w przekonaniu, że minionego wieczoru, zanim poszedł spać, dobrze zrobił, wyłączając telefon z kontaktu.

13

– Doktor Pasquano? Mówi Montalbano. Chciałem się dowiedzieć, czy są jakieś nowości.

– O, tak! Moja żona się przeziębila, a mojej wnuczce wypadł ząb.

– Jest pan wkurwiony, doktorze?

– Owszem!

– Na kogo?

– Zadaje mi pan pytanie, czy jest coś nowego, i jeszcze pan się dziwi?! Otóż chciałbym wiedzieć, jak to możliwe, że zawraca mi pan tym głowę o dziewiątej rano! Co pan myśli, że przez całą noc otwierałem brzuchy tym nieboszczykom, jak gdybym był jakimś sępem czy hieną? Ja w nocy śpię! A teraz pracuję nad rym topielcem, którego znaleźli w Torre Spaccata. Który wcale topielcem nie jest, bo zanim go wrzucili do morza, trzy razy wbili mu nóż w pierś.

– Założymy się, doktorze?

– O co?

– O to, że spędził pan całą noc nad tymi dwoma trupami.

– No dobrze, zgadł pan.

– I co pan znalazł?

– Na razie mogę o tym mówić jedynie w przybliżeniu, muszę jeszcze obejrzeć inne rzeczy. To pewne, że zostali zastrzeleni. Jemu strzelono w skroń, jej w serce. Rany nie było widać, ponieważ zakrywała ją ręka mężczyzny. Regularna egzekucja, wykonana, gdy leżeli pogrążeni we śnie.

– W grocie?

– Raczej nie. Myślę, że kiedy zostali tam wniesieni, już nie żyli. Kiedy ich ułożono, byli nadzy.

– Czy udało się panu ustalić wiek?

– Nie chciałbym się pomylić, ale musieli być młodzi, bardzo młodzi.

– Według pana, kiedy to się mogło wydarzyć?

– Mogę zaryzykować przypuszczenie, proszę je przyjąć w przybliżeniu. Mniej więcej pięćdziesiąt lat temu.

– Nie ma mnie dla nikogo, nie życzę sobie przez kwadrans żadnych połączeń – powiedział Montalbano do Catarelli. Następnie zamknął drzwi gabinetu i usiadł przy biurku. Również Mimi Augello siedział, z wyprostowanymi plecami, jak przybity. – Kto zaczyna?

– Ja – powiedział Augello – bo to ja poprosiłem cię o rozmowę. Ponieważ myślę, że przyszedł na nią czas.

– Słucham więc.

– Czy można wiedzieć, co ja ci takiego zrobiłem?

– Ty? Ty nic mi nie zrobiłeś. Dlaczego o to pytasz?

– Ponieważ odnoszę wrażenie, że tutaj, w komisariacie, stałem się kimś obcym. Nic mi nie mówisz o tym, co robisz, trzymasz mnie z daleka od spraw. I czuję się obrażony. Na przykład, sądzisz, że było słuszne zataić przede mną sprawę Tana? Ja nie jestem Jacomuzzim, który mówi, co mu ślina na język przyniesie, ja umiem dochować tajemnicy. O tym, co się dzieje w moim komisariacie, dowiedziałem się z konferencji prasowej. Czy uważasz, że to w porządku wobec mnie, twojego zastępcy? Chyba że już nim nie jestem?

– Czy ty wiesz, jaka to była delikatna sprawa?

– Właśnie dlatego, że wiem, tak mnie to złości. Bo oznacza, że według ciebie ja nie nadaję się do delikatnych spraw.

– Nigdy tak nie myślałem.

– Nigdy tak nie myślałeś, ale zawsze tak robiłeś. Jak sprawa z bronią, o której dowiedziałem się przypadkiem.

– Wiesz, Mimi, byłem cały w nerwach, spieszyłem się i dlatego nie pomyślałem, żeby cię zawiadomić.

– Nie piernicz, Salvo. Sprawy mają się inaczej.

– Niby jak?

– Już ci mówię. Stworzyłeś sobie komisariat na własny obraz i podobieństwo. Fazio czy Germana, czy Galluzzo, ktokolwiek by to był, wszyscy są tylko posłusznymi rękami jednej głowy – twojej. Bo oni się nie stawiają, nie wysuwają wątpliwości, wykonują i tyle. Tu są tylko dwa ciała obce – Catarella i ja. Catarella, bo jest za głupi, a ja...

– Bo jesteś za mądry.

– Widzisz? Ja wcale tego nie powiedziałem. Przypisujesz mi pychę, której nie mam, i robisz to złośliwie.

Montalbano popatrzył na niego, włożył ręce do kieszeni, obszedł krzesło, na którym siedział Augella, potem się zatrzymał.

– To nie było złośliwe, Mimi. Ty naprawdę jesteś inteligentny.

– Jeżeli naprawdę tak uważasz, to dlaczego mnie wyklucasz? Mógłbym być ci przydatny co najmniej w tym samym stopniu co inni.

– W tym właśnie sęk, Mimi. Nie w tym samym stopniu, lecz bardziej niż inni. Rozmawiam z tobą z sercem na dłoni, ponieważ zmuszasz mnie do tego, bym zastanowił się nad moim postępowaniem wobec ciebie. Być może właśnie to najbardziej mi przeszkadza.

– A więc żeby ci sprawić przyjemność, powinienem lekko zgłupieć?

– Jeżeli chcesz, żebyśmy sobie pożartowali, to pożartujmy. Nie to chciałem powiedzieć. Po prostu z czasem się zorientowałem, że jestem kimś w rodzaju samotnego myśliwego. Wybacz mi to gówniane określenie, które jest również nietrafne, ponieważ lubię polować razem z innymi, ale chcę sam organizować polowanie. To jest warunek nieodzowny, aby mój mózg pracował w odpowiednim kierunku. Inteligentna uwaga wypowiedziana przez kogoś innego zbija mnie z tropu, onieśmiela nawet na cały dzień i zdarza się, że już nie śledzę toku własnego rozumowania.

– Rozumiem – powiedział Augello. – Rozumiałem to już od dawna, ale chciałem, żebyś sam to powiedział, potwierdził. A więc uprzedzam cię bez wrogości: jeszcze dziś napiszę do kwestora prośbę o przeniesienie.

Montalbano spojrzał na niego, podszedł, pochylił się i położył mu rękę na ramionach.

– Czy uwierzysz, jeśli ci powiem, że robiąc to, zadasz mi wielki ból?

– Co jest, do kurwy nędzy! – wybuchnął Augello. – Żądasz wszystkiego od wszystkich! Co z ciebie za człowiek? Najpierw traktujesz mnie jak gówno, a teraz mi grasz na uczuciach? Czy wiesz, jaki z ciebie potworny egoista?

– Tak, wiem – odparł Montalbano.

– Pozwoli pan, że przedstawię pana Burruano, który uprzejmie zgodził się przyjść tu ze mną – powiedział, tonąc w uprzejmościach, dyrektor Burgio.

– Proszę, niech panowie spoczną – odparł Montalbano, wskazując dwa stare foteliki w kącie pokoju, przeznaczone dla gości honorowych. Dla siebie wziął jedno z dwóch stojących przed biurkiem krzeseł, na których siadali zazwyczaj ludzie, z honorem niemający wiele wspólnego.

– Wydaje się, że moje zadanie na najbliższe dni polega na tym, żeby

poprawiać, a przynajmniej uściślać to, co mówią w telewizji – zaczął dyrektor.

– Proszę więc poprawiać i uściślać. – Montalbano się uśmiechnął.

– Ja i pan Burruano jesteśmy prawie rówieśnikami, jest starszy ode mnie o cztery lata, pamiętamy te same rzeczy.

Montalbano wyczuł nutę dumy w głosie dyrektora. I Burgio miał po temu powody: Burruano, drżący, o lekko zamglonych oczach, wydawał się starszy od przyjaciela o co najmniej dziesięć lat.

– Otóż natychmiast po relacji Telegigaty, w której pokazano wnętrze groty, gdzie zostali znalezieni...

– Przepraszam, że przerywam. Poprzednim razem mówił mi pan o grocie z bronią, ale nie wspomniał pan o tej drugiej. Dlaczego?

– Po prostu dlatego, że nie wiedziałem o jej istnieniu, Lillo nigdy mi o niej nie mówił. A więc natychmiast po relacji zadzwoniłem do pana Burruano, chciałem uzyskać potwierdzenie, ponieważ posąg psa widziałem już kiedyś przy innej okazji.

Pies! Oto dlaczego pojawił mu się w sennym koszmarze, dyrektor wspomniał o nim przez telefon. Komisarz poczuł coś w rodzaju dziecięcej wdzięczności.

– Czy życzą sobie panowie kawy? W barze obok komisariatu świetnie ją parzą.

Goście odmówili równoczesnym ruchem głowy.

– Oranzady? Coca-coli? Piwa?

Gdyby go nie powstrzymali, niebawem zaproponowałby im po dziesięć tysięcy lirów na głowę.

– Nie, dziękuję, nie możemy skorzystać. Wiek – powiedział dyrektor.

– A zatem zamieniam się w słuch.

– Lepiej, żeby mówił pan Burruano.

– Od lutego czterdziestego pierwszego do lipca czterdziestego trzeciego roku – zaczął tamten – jako bardzo młody człowiek byłem burmistrzem Vigaty. Zarówno dlatego, że faszyci lubili młodych, i to do tego stopnia, że przyrzadzali ich sobie na obiad, w sosie własnym i na rożnie, jak i dlatego, że w mieście pozostali już tylko starcy, kobiety i dzieci, inni walczyli na froncie. Ja nie mogłem iść na wojnę, ponieważ chorowałem, i to naprawdę, na płuca.

– Ja byłem za młody, żeby iść na front – wtrącił dyrektor, żeby nie pozostawić niedomówień.

– Potworne czasy! Anglicy i Amerykanie bombardowali nas codziennie. Kiedyś naliczyłem dziesięć bombardowań w ciągu trzydziestu sześciu godzin. Niewiele osób pozostało w mieście, większość je opuściła, żyliśmy w kryjówkach wydrążonych w marglowym wzniesieniu za miastem. W rzeczywistości były to tunele na wylot, bardzo bezpieczne. Wnosiliśmy tam nawet łóżka. Teraz Vigata się rozrosła, już nie jest taka jak kiedyś, gdy ograniczała się do garstki domów wokół portu i pasma zabudowań między podnóżem wzgórza a morzem. Na wzgórzu Piano Lanterna, które obecnie wygląda jak Nowy Jork ze swoimi wieżowcami, były cztery budowle po bokach drogi, która prowadziła na cmentarz, a następnie gubiła się wśród pól. Nieprzyjacielskie samoloty miały trzy cele: elektrownię, port z okrętami wojennymi i handlowymi, działa przeciwlotnicze i okrętowe rozstawione wokół wzgórza. Kiedy nadlatywali Anglicy, było o wiele lżej, niż gdy nadlatywali Amerykanie.

Montalbano niecierpliwił się, chciał, żeby Burruano przeszedł do sedna, do psa, ale nie miał odwagi przerwać mu rozważań.

– W jakim sensie było lżej? Przecież bomby były takie same.

Zamiast Burruana, który zamilkł, pogrążony w jakichś wspomnieniach, odpowiedział dyrektor.

– Anglicy byli... jak by to powiedzieć... bardziej lojalni. Kiedy zrzucali bomby, starali się trafiać jedynie w obiekty wojskowe, natomiast Amerykanie walili na chybił trafił, nie zważając na nic.

– Pod koniec czterdziestego drugiego roku – podjął Burruano – sytuacja jeszcze się pogorszyła. Brakowało wszystkiego, chleba, lekarstw, wody, odzieży. Wówczas pomyślałem, żeby na Boże Narodzenie urządzić szopkę, przed którą wszyscy moglibyśmy się modlić. Tylko to nam pozostało. Ale powinna to być jakaś szczególna szopka. Chciałem w ten sposób przynajmniej na kilka dni odciągnąć myśli mieszkańców Vigaty od zmartwień, których nie brakowało, i od strachu przed bombami. W każdej rodzinie był ktoś, kto walczył daleko od domu, w lodach Rosji albo w piekle Afryki. Staliśmy się wszyscy nerwowi, opryskliwi, wybuchowi, wystarczała błahostka, żeby rozgorzała kłótnia, mieliśmy zszarpane nerwy. W nocy nie mogliśmy zmrużyć oka od jazgotu artylerii przeciwlotniczej, eksplozji bomb, huku samolotów przelatujących nisko nad ziemią i od kanonady okrętów. A poza tym wszyscy przychodzili do mnie albo do proboszcza i prosili to o jedno, to o drugie, a ja mogłem tylko walić głową w mur. Wydawało mi się, że straciłem całą młodzieńczą siłę, czułem się wówczas tak stary jak teraz.

Zawiesił głos, żeby zaczerpnąć tchu. Ani Montalbano, ani dyrektor nie czuli się na siłach wypełnić tej pauzy.

– Krótko mówiąc, pogadałem z Ballassarem Chiarenzą, prawdziwym mistrzem terakoty, który zajmował się tym dla własnej przyjemności, ponieważ był kołodziejem, i to on wpadł na pomysł, żeby wykonać posągi naturalnej wielkości. Dzieciątko Jezus, Maryja, święty Józef, wół, osiołek, pastuszek z workiem na plecach, owca, pies i postać, która musi się znaleźć w każdym żłóbku, czyli przestraszony pasterz z rękami uniesionymi w geście zadziwienia. Chiarenza sam zrobił to wszystko, i to pięknie. Wówczas

pomyśleliśmy, żeby nie stawiać żłóbka w kościele, lecz pod łukiem zbombardowanego domu, jak gdyby Jezus rodził się w samym środku cierpień naszego ludu.

Włożył dłoń do kieszeni, wyciągnął z niej zdjęcie i podał komisarzowi. Żłóbek był piękny, Burruano miał rację. Była w nim kruchość, niepewność, a równocześnie ciepło otuchy, nadludzkiego spokoju.

– Jest wspaniały – pochwalił Montalbano, czując, że ogarnia go wzruszenie. Lecz tylko na chwilę, bo natura policjanta wzięła w nim górę i zaczął uważnie przyglądać się psu. Bez wątplenia był to dokładnie ten sam pies, którego znalazł w grocie.

Burruano schował fotografię z powrotem do kieszeni.

– Żłóbek dokonał cudu, wie pan? Przez kilka dni byliśmy dla siebie dobrzy.

– Co się stało z figurami?

To właśnie interesowało Montalbana. Starzec uśmiechnął się.

– Sprzedałem je na licytacji, wszystkie. Dostałem za nie tyle, żeby zapłacić Chiarenzy, który chciał tylko zwrotu kosztów, i udzielić zapomogi najbardziej potrzebującym. A było ich wielu.

– Kto kupił rzeźby?

– W tym cały problem. Już nie pamiętam. Miałem rachunki i notatki, ale przepadły, kiedy część ratusza spłonęła podczas lądowania Amerykanów.

– Czy w okresie, o którym pan mówi, otrzymał pan zawiadomienie o zniknięciu dwojga młodych ludzi?

Burruano uśmiechnął się, natomiast dyrektor wybuchnął niepoohamowanym śmiechem.

– Czy powiedziałem coś głupiego?

– Proszę mi wybaczyć, panie komisarzu, ale tak – odparł dyrektor.

– Proszę pana, w trzydziestym dziewiątym roku w Vigacie mieszkało czternaście tysięcy osób. Pamiętam dokładne dane – wyjaśnił Burruano. – Natomiast w czterdziestym drugim zostało nas osiem tysięcy. Ci, którzy tylko mogli wyjechać, wyjeżdżali, znajdowali sobie jakąś tymczasową kwaterę w głębi półwyspu, w jednej z małych miejscowości, na których nie zależało Amerykanom. Od maja do lipca czterdziestego trzeciego roku liczba mieszkańców spadła mniej więcej do czterech tysięcy, nie licząc żołnierzy włoskich i niemieckich, marynarzy. Pozostali rozproszyli się po wsiach, mieszkali w jaskiniach, oborach, w mysiej dziurze. I jak mielibyśmy się dowiedzieć o jakimś zniknięciu? Znikli wszyscy!

Roześmiali się ponownie. Montalbano podziękował im za wyjaśnienia.

Cóż, czegoś przecież udało mu się dowiedzieć. Kiedy tylko dyrektor i Burruano wyszli, wybuch wdzięczności w stosunku do nich zmienił się w niepoohamowany atak szczodrości, której – komisarz był tego pewny – prędzej czy później pożałuje. Wezwał do swojego biura Mimi Augella, obficie wyznał winy, jakie popełnił wobec przyjaciela i współpracownika, położył mu dłoń na ramieniu, przespacerował się z nim kilkakrotnie dookoła gabinetu, wyraził „bezwarunkowe zaufanie”, opowiedział obszernie o śledztwie, które prowadził, a które dotyczyło handlu bronią, wyjawiał, że wie o morderstwie Misuraki, poinformował, iż wystąpił do sędziego o pozwolenie na podsłuch telefonu Ingrassii.

– A jakie zadanie przewidujesz dla mnie? – spytał Augello, porwany entuzjazmem.

– Żadnego. Ty musisz tylko mnie słuchać – odparł Montalbano, nagle na powrót stając się sobą. – Bo jeśli zrobisz najdrobniejszy ruch z własnej inicjatywy, dostaniesz po dupie, daję słowo.

Zadzwoił telefon. Montalbano podniósł słuchawkę i usłyszał głos Catarelli, który pełnił funkcję recepcjonisty.

– Pan komisarz? Po drugiej stronie, tak jakby, doktor Jacomuzzi.

– Dawaj.

– To ja już łączę, komisarzu, z komisarzem – powiedział Catarella.

– Montalbano? Jako że przejeżdżałem tędy w drodze powrotnej z groty...

– Czyli gdzie jesteś?

– Jak to gdzie jestem? W pokoju sąsiadującym z twoim gabinetem.

Montalbano przeklął. Czy można być głupszym od Catarelli?

– Więc przyjdź tutaj.

Drzwi się otworzyły i wszedł Jacomuzzi, pobrudzony czerwonym piaskiem i pyłem, potargany i porozpinany.

– Dlaczego twój funkcjonariusz chciał, żebym rozmawiał z tobą tylko przez telefon?

– Jacomuzzi, kto jest bardziej zabawny, idiota czy ten, kto się z niego śmieje? Przecież wiesz, jaki jest Catarella! Trzeba było kopnąć go w dupę i wejść.

– Skończyłem badania groty. Kazałem przeczesać piasek: mówię ci, lepiej od poszukiwaczy złota w filmach amerykańskich. Nie znaleźliśmy nic, ale to nic. A skoro, jak powiedział Pasquano, rany miały otwór wejściowy i wyjściowy, oznacza to tylko jedno.

– Że oboje zostali zabici gdzie indziej.

– Właśnie. Gdyby zostali zamordowani w grocie, znaleźlibyśmy kule. Ach, jest jednak coś dziwnego. Piasek w grocie był zmieszany z odłamkami drobnutko zmiądzonych muszli, musiały być ich tysiące.

– Jezu! – wymamrotał Montalbano. Sen, koszmar, nagie ciało Livii, po

którym pełzały ślimaki. Co to wszystko mogło oznaczać? Uniósł dłoń do czoła, poczuł, że cały jest spocony.

– Źle się czujesz? – spytał przestraszony Jacomuzzi.

– To nic, zakręciło mi się w głowie, czuję się tylko zmęczony.

– Zawołaj Catarellę i każ sobie przynieść koniak z baru.

– Catarellę? Żartujesz? Kiedyś posłałem go po cappuccino, a wrócił z zakonnikiem.

Jacomuzzi położył na stole trzy monety.

– To niektóre z tych, co były w misce, pozostałe posłałem do laboratorium. Na nic ci się nie przydadzą, zachowaj je na pamiątkę.

14

Zdarzało się, że Montalbano nie widział Adeliny nawet przez kilka miesięcy. Co tydzień zostawiał na stole w kuchni pieniądze na zakupy, co miesiąc pensję. Jednak pomiędzy nimi ustalił się spontaniczny system wymiany wiadomości. Kiedy Adelina chciała więcej pieniędzy na zakupy, stawiała na stole glinianego chłopca – skarbonkę, którą kupił kiedyś na targu i którą trzymał dla ozdoby. Kiedy trzeba było uzupełnić zapas skarpetek lub majtek, kładła jedną parę na łóżku. Oczywiście system działał nie tylko w jednym kierunku; również Montalbano przekazywał jej tajemne sygnały, które kobieta odbierała bez trudu. Jakiś czas temu zorientował się, że kiedy jest spięty, zaniepokojony, nerwowy, Adelina odczytuje to ze sposobu, w jaki rano wyszedł z domu, i wówczas przygotowuje dla niego danie wyjątkowe, które podnosi go na duchu. Również tego dnia wkroczyła do akcji, dzięki czemu Montalbano znalazł gotowy sos z mątw, gęsty i czarny, taki jaki lubił najbardziej. Czy była tam również odrobina lebiodki? Długo wachał, zanim postawił danie na ogniu, lecz i tym razem dochodzenie nie przyniosło rezultatu. Kiedy skończył jeść, włożył slipki i postanowił przejść się brzegiem morza. Zrobiwszy zaledwie kilka kroków, poczuł się jednak zmęczony; rozbolały go łydki.

– Pierdolenie na stojąco i spacerowanie po piasku to już nie dla mnie.

Prawdę mówiąc, kiedyś kochał się na stojąco i okazało się to o wiele mniej męczące od marszu brzegiem morza, nawet po najtwardszym piasku, tym, który leży najbliżej wody. Spojrzał na zegarek i zdziwił się: jakie kilka kroków, spacerował już dwie godziny! Osunął się bezwładnie.

– Panie komisarzu! Panie komisarzu!

Głos dobiegał z oddali. Wstał, dysząc ciężko, i zaczął wpatrywać się w morze, przekonany, że ktoś woła go z łodzi albo z pontonu. Lecz po sam horyzont morze było puste.

– Panie komisarzu, jestem tutaj! Panie komisarzu!

Odwrócił się. Od szosy, której dość długi odcinek biegł wzdłuż plaży, nadjeżdżał Tortorella.

Kiedy pośpiesznie mył się i ubierał, Tortorella opowiadał o anonimowym telefonie, który odebrali w komisariacie.

– Kto odebrał? – spytał Montalbano.

Jeżeli to był Catarella, to nie wiadomo, co z tego zrozumiał i przekazał.

– Nie, panie komisarzu – powiedział z uśmiechem Tortorella, który odgadł myśli przełożonego. – On poszedł na chwilę do ubikacji i ja zastąpiłem go przy telefonie. Głos miał akcent z Palermo, wymawiał „i” zamiast „r”, lecz możliwe, że robił to celowo. Powiedział, że na „pastwisku” jest ścierwo pewnego skurwysyna w zielonym samochodzie.

– Kto tam pojechał?

– Fazio i Galluzzo, a ja popędziłem po pana. Nie wiem, czy dobrze zrobiłem, być może ten telefon to żart, kawał.

– Ale my, Sycylijczycy, przecież bardzo lubimy robić sobie kawały.

Do „pastwiska” dotarł o piątej. Tę porę Gege nazywał zmianą warty. Zmiana warty polegała na tym, że amatorzy bezpłatnej miłości, czyli kochankowie, cudzołożnicy, kawalerowie i panny, opuszczali to miejsce, spadali („we wszystkich tego słowa znaczeniach” – pomyślał Montalbano), żeby ustąpić miejsca trzodzie Gege – jasnowłosym dziwkom ze Wschodu, bułgarskim transwestytom, Nigeryjkom czarnym jak heban, brazylijskim

viados, marokańskim ciotom i całej tej procesji, narodom zjednoczonym w chuju, dupie i piździe. Zielony samochód miał otwarty bagażnik i był otoczony przez trzy wozy karabinierów. Samochód Fazia stał nieco dalej. Kiedy komisarz wysiadł, Galluzzo ruszył w jego kierunku.

– Spóźniliśmy się.

Pomiędzy nimi a żandarmerią istniało niepisane porozumienie. Ci, którzy zjawiali się na miejscu przestępstwa pierwsi, zaklepywali sobie sprawę. To pozwalało uniknąć konfliktów, kłótni, walki na łokcie i wzajemnej obrazy.

Również Fazio wydawał się niepokieszony.

– Oni byli pierwsi.

– No i co z tego? Co takiego straciliście? Nie płacą nam od każdego nieboszczyka, nie pracujemy na akord.

Dziwnym zbiegiem okoliczności samochód stał przy tych samych zaroślach, przy których przed rokiem zostały odnalezione pewne szacowne zwłoki ofiary zabójstwa, które bardzo pochłonęło Montalbana. Przywitał się z porucznikiem karabinierów, który pochodził z Bergamo i nazywał się Donizetti.

– Dostaliśmy anonimowy telefon – powiedział porucznik.

A zatem chcieli być całkiem pewni, że ciało zostanie znalezione. Komisarz spojrział na zwłoki skulone w bagażniku. Wyglądało na to, że strzelili tylko raz, w usta – kula poraniła wargi, wybiła zęby i wyszła karkiem, robiąc dziurę wielką jak pięść. Nie widział wcześniej tej twarzy.

– Słyszałem, że zna pan opiekuna tego burdelu pud gołym niebem – zagadnął porucznik z dozą pogardy.

– Tak, to mój przyjaciel – odparł Montalbano z wyraźnie polemicznym zamiarem.

– Czy wie pan, gdzie mogę go teraz znaleźć?

– Myślę, że w domu.

– Nie ma go tam.

– Przepraszam, ale dlaczego właśnie ode mnie chce się pan dowiedzieć, gdzie można go znaleźć?

– Ponieważ, jak sam pan powiedział, to pański przyjaciel.

– Ach, tak? Bo pan pewnie zawsze wie, gdzie są i co robią pańscy przyjaciele w Bergamo?

Z szosy bez przerwy nadjeżdżały samochody. Ich kierowcy, gdy już się znaleźli w alejkach „pastwiska”, dostrzegali samochody karabinierów, wrzucali wsteczny bieg i szybko ruszali w powrotną drogę. Dziwki ze Wschodu, brazylijscy *viados*, Nigeryjki i cała reszta przybywali na miejsce pracy, lecz widząc, że coś się święci, uciekali. Gege nie mógł liczyć na udany wieczór.

Porucznik znów podszedł do zielonego samochodu, a Montalbano odwrócił się na pięcie i bez pożegnania wszedł do służbowego wozu.

– Zostań tu razem z Galluzzem – rzucił do Fazia. – Patrzcie, co robią i co znajdują. Ja wracam do biura.

Zatrzymał się przed księgarnią Sarcuta, jedyną w Vigacie, która pozostała wierna swej specjalności – pozostałe dwie zamiast książek sprzedawały tornistry, zeszyty i długopisy. Przypomniał sobie, że skończył właśnie powieść Montalbana i nie ma już nic do czytania.

– Jest nowa książka o prokuratorze Falcone i o Borsellinie – poinformowała go pani Sarcuto, kiedy tylko stanął w progu.

Jeszcze nie przyjęła do wiadomości, że Montalbano nienawidzi książek o mafii, o jej zbrodniach i ofiarach. Nie rozumiała, nie mieściło jej się to w głowie, dlaczego ich nie kupuje, nie zagląda nawet na skrzydełka okładek.

Kupił książkę Vincenza Consolo, uhonorowaną jakiś czas temu ważną nagrodą literacką. Zdążył przejść kilka kroków, kiedy książka wysunęła mu się spod pachy i upadła na chodnik. Montalbano schylił się, żeby ją podnieść, i wsiadł do samochodu.

W komisariacie Catarella powiedział mu, że nic nowego się nie wydarzyło.

Montalbano miał manię podpisywania każdej kupowanej książki. Wyciągnął rękę, żeby wziąć jeden z leżących na biurku długopisów, i jego wzrok padł na pozostawione przez Jacomuzziego monety. Pierwsza, miedziana, z 1934 roku, po jednej stronie miała wybity profil króla i napis: „Wiktor Emanuel III Król Włoch”, po drugiej – kłos pszenicy z oznaczeniem „C. 5” – centymów pięć. Druga moneta była również miedziana, nieco większa; po jednej stronie widniało to samo królewskie oblicze z tym samym napisem, po drugiej, z datą 1936 – pszczoła siedząca na kwiecie oraz litera „C” i liczba „10”, centymów dziesięć. Trzecia była metalowa, z lekkiego stopu, i po jednej stronie miała nieodzowny wizerunek króla z podpisem, po drugiej zaś – orła z rozłożonymi skrzydłami, za którym widniał faszystowski symbol różgi. Na tej drugiej stronie były cztery napisy: „L. 1”, co oznaczało jeden lir, „ITALIA”, co oznaczało Italia, „1942”, czyli rok emisji, i „XX”, co oznaczało dwudziesty rok ery faszyzmu. I właśnie przyglądając się tej ostatniej monecie, Montalbano przypomniał sobie to, co zobaczył, kiedy schylił się po książkę, która upadła mu przed księgarnią. Zobaczył wówczas wystawę sąsiedniego sklepu, witrynę z wyłożonymi starymi monetami.

Wstał, powiedział Catarelli, że wychodzi i wróci najpóźniej za pół godziny, i udał się pieszo w kierunku sklepu. Sklep nazywał się „Przedmioty” i prowadził sprzedaż właśnie przedmiotów: róż pustyni, znaczków, lichtarzy, pierścionków, broszek, monet, kamieni. Kiedy wszedł, czysta i ładna dziewczynka powitała go z uśmiechem. Zmieszany tym, że musi ją rozczarować, komisarz wytłumaczył, że nie chce niczego kupić, tylko

zobaczył na wystawie stare monety i chciałby się dowiedzieć, czy w sklepie albo w Vigacie jest ktoś, kto zajmuje się numizmatyką.

– Pewnie, że jest – odpowiedziała dziewczynka i ślicznie się uśmiechnęła.
– Mój dziadek.

– Gdzie mógłbym go znaleźć i poprosić o małą fatygę?

– Wcale nie musi pan prosić i szukać, będzie zadowolony. Jest tu, na zapleczu. Proszę poczekać, to go zawołam.

Nie zdążył nawet obejrzeć dziewiętnastowiecznego obrzyna, kiedy dziewczynka znów się zjawiała.

– Proszę wejść.

Zaplecze sklepiku było cudownym składem gramofonów, prehistorycznych maszyn do szycia, przycisków do papieru, obrazów, rycin, nocników i fajek. Wszystkie ściany pomieszczenia zajmowały półki biblioteczne, na których w nieładzie leżały inkunabuły, tomy w pergaminowych okładkach, żyrandole, parasole, szapoklaki. Na środku stało biurko, a za nim, w świetle secesyjnej lampy, siedział starzec. Trzymał pincetą znaczek i oglądał go przez szkło powiększające.

– Co jest? – spytał nieuprzejmie, nie unosząc wzroku.

Montalbano wyciągnął w jego kierunku trzy monety. Starzec oderwał na chwilę wzrok od znaczka i spojrzał na nie w roztargnieniu.

– Są nic niewarte.

Spośród starców, których komisarz poznał w trakcie śledztwa dotyczącego ciała w grocie, ten był najbardziej zgryźliwy.

„Należałoby wszystkich zgromadzić w jednym przytułku – pomyślał komisarz. – Byłoby mi łatwiej ich przesłuchiwać”.

– Wiem, że są nic niewarte.

– A więc czego pan chce?

– Chcę wiedzieć, kiedy wyszły z obiegu.

– Niech pan wyteży mózgownicę.

– Wtedy, kiedy została proklamowana republika? – zaryzykował niepewny swego komisarz.

Czuł się jak student, który nie przygotował się do egzaminu. Starzec zaśmiał się, jego śmiech zabrzmiał jak szcęk puszek.

– Pomyliłem się?

– I to grubo. Tu u nas Amerykanie wylądowali w nocy z dziewiątego na dziesiątego lipca czterdziestego trzeciego roku. W październiku tego roku te monety wyszły z użycia. Zostały zastąpione amlirami, które kazał emitować Amgot, aliancka administracja obszarów okupowanych. A jako że te banknoty istniały w nominałach jeden, pięć i dziesięć lirów, centymy wyszły z obiegu.

Kiedy Fazio i Galluzzo wrócili, było już ciemno i komisarz miał do nich pretensję.

– No, nieźle! Jakoś się nie spieszyliście!

– My?! – obruszył się Fazio. – To pan nie wie, jaki jest porucznik? Nie tknął zwłok, dopóki nie przyjechali sędzia i doktor Pasquano. A tym to już w ogóle się nie spieszyło!

– No i?

– To dzisiejszy trup, całkiem świeży. Pasquano powiedział, że od morderstwa do telefonu nie minęła godzina. Denat miał w kieszeni dowód osobisty. Nazywał się Pietro Gullo, lat czterdzieści dwa, oczy niebieskie, włosy blond, cera różowa, urodzony w Merfi, zamieszkały w Feli, ulica Matteottiego trzydzieści dwa, żonaty, znaków szczególnych brak.

– Zacznij pracować w urzędzie stanu cywilnego.

Fazio z godnością pominął zaczepkę i ciągnął dalej:

– Pojechałem do Montelusy i sprawdziłem w archiwum. Ten Gullo miał nienadzwyczajną młodość: dwie kradzieże, jedna bójka. Potem poszedł po rozum do głowy, przynajmniej tak się wydaje. Handlował zbożem.

– Jestem naprawdę wdzięczny, że zechciał mnie pan przyjąć od razu – powiedział Montalbano do dyrektora, kiedy Burgio otworzył mu drzwi.

– Co też pan mówi, to dla mnie przyjemność. Wpuścił go do środka, wprowadził do salonu, poprosił, żeby usiadł, i zawołał żonę.

– Angelina!

Pojawiła się drobna staruszka, zaciekawiona niespodziewaną wizytą, czysta, zadbana, za grubymi soczewkami okularów lśniły żywe, uważne oczy.

„Przytułek!” – westchnął Montalbano.

– Niech pan pozwoli przedstawić sobie moją żonę, Angelinę.

Montalbano pokłonił się szarmancko, szczerze szanował starsze kobiety, które również w domu dbały o wygląd.

– Proszę mi wybaczyć, że niepokoję w porze kolacji.

– Ależ skąd! Czy ma pan trochę czasu, komisarzu?

– Owszem.

– Niech pan zostanie z nami na kolacji. Mamy potrawy dostosowane do starych żołądków, musimy jeść lekko: karczochy i barweny z oliwą i cytryną.

– Przecież to ucza.

Pani domu wyszła uszczęśliwiona.

– Słucham pana – powiedział dyrektor Burgio.

– Udało mi się ustalić, kiedy zostało popełnione podwójne morderstwo

w grocie.

– Ach! A kiedy to mianowicie się wydarzyło?

– Na pewno pomiędzy styczniem a październikiem czterdziestego trzeciego roku.

– Jak pan do tego doszedł?

– To proste. Pies z terakoty, jak nam powiedział pan Burruano, został sprzedany po Bożym Narodzeniu czterdziestego drugiego, a więc prawdopodobnie po Trzech Królach następnego roku; monety znalezione w misce wyszły z obiegu w październiku tegoż roku.

Zrobił przerwę.

– A to oznacza tylko jedno – dodał.

Ale nie powiedział co. Czekał cierpliwie, zanim Burgio zebrał się w sobie, wstał, zrobił kilka kroków po pokoju.

– Zrozumiałem, komisarzu – odezwał się dyrektor. – Chce mi pan powiedzieć, że w tym czasie grota należała do Rizzitana.

– Dokładnie to. Już wtedy, jak sam mi pan powiedział, wejście do jaskini było zasłonięte głazem, ponieważ rodzina Rizzitano trzymała tam towar, który sprzedawała na czarnym rynku. Musiała zatem wiedzieć o istnieniu drugiej groty, tej, do której wniesiono ciała.

– Dlaczego pan mówi, że wniesiono?

– Dlatego, że zostali zamordowani gdzie indziej, to pewne.

– Ale jaki to ma sens? Po co ktoś miałby ich tam umieszczać, upozowanych, jak gdyby spali, na dywanie, z czarką z pieniędzmi i psem?

– Właśnie nad tym się zastanawiam. Jediną osobą, która może nam coś powiedzieć, jest być może Lillo Rizzitano, pański przyjaciel.

Weszła pani Angelina.

– Kolacja gotowa.

Liście i czubki karczochów, tych sycylijskich, długich i gładkich, o bieli ledwie zasnutej zielenią, były ugotowane w sam raz; nabrały delikatności i kruchości, którą Montalbano w duchu określił jako wstrząsającą. Za każdym kęsem czuł, że żołądek drży mu w rozkosznych płasach, zupełnie jak fakirom, których pokazywano czasami w telewizji.

– I co pan o tym sądzi? – spytała pani Angelina.

– Zmysłowe – powiedział Montalbano. I widząc zdziwienie dwojga starszków, poczerwieniał i zaczął się tłumaczyć. – Proszę mi wybaczyć. Czasami mam kłopoty z właściwym doborem przymiotników.

Barweny, ugotowane i przyprawione oliwą i cytryną, były równie lekkie jak karczochy. Dopiero przy owocach dyrektor powrócił do kwestii, którą postawił Montalbano, lecz najpierw podsumował problem reformy szkolnictwa, którą minister nowego rządu postanowił wprowadzić w życie, likwidując między innymi licea.

– Liceum istniało już w carskiej Rosji – powiedział dyrektor – choć nazywało się po rosyjsku. U nas licea powołał do życia Gentile, kiedy przeprowadził swoją reformę, która idealistycznie stawiała na pierwszym miejscu przedmioty humanistyczne. Zatem leninowcy, którzy wiadomo jakimi byli komunistami, nie mieli odwagi zlikwidować liceum. Tylko takiemu karierowiczowi, parweniuszowi, półanalfabecie i smarkaczowi jak ten minister mogło przyjść do głowy coś podobnego. Jak on się nazywa, Psujella?

– Nie, Vastella – powiedziała pani Angelina.

Tak naprawdę nazywał się jeszcze inaczej, ale komisarz nie zamierzał ich poprawiać.

– Z Lillem byliśmy kolegami we wszystkim, tylko nie w nauce, ponieważ

on był wyżej. Kiedy ja chodziłem do trzeciej klasy liceum, on robił dyplom. W noc lądowania aliantów dom Lilla, który stał u stóp Baraniej Góry, został zburzony. Z tego, co udało mi się dowiedzieć później, kiedy minęła już zawierucha, tamtej nocy Lillo był sam w willi i został poważnie ranny. Pewien wieśniak widział, jak włoscy żołnierze wnosili go na ciężarówkę, bardzo krwawił. To jest ostatnia wiadomość o Lillu, jaką posiadam. Od tej pory nie miałem o nim żadnych wiadomości, a przecież próbowałem się czegoś dowiedzieć.

– Czy to możliwe, że nie przeżył nikt z całej rodziny?

– Nie wiem.

Dyrektor zauważył, że jego małżonka błądzi gdzieś myślami, miała zamknięte oczy, była nieobecna.

– Angelina! – zawołał dyrektor.

Starsza pani drgnęła i uśmiechnęła się do Montalbana.

– Musi mi pan wybaczyć. Mój mąż mówi, że zawsze byłem fantastyczną kobietą, ale to nie pochwała, to ma tylko znaczyć, że czasami daję się ponieść fantazji.

Po kolacji u państwa Burgio komisarz wrócił do domu jeszcze przed dziesiątą, za wcześnie, żeby pójść spać. W telewizji dyskutowano to o mafii, to o włoskiej polityce zagranicznej, to znów o sytuacji gospodarczej, debatowano o warunkach panujących w szpitalu psychiatrycznym w Montelusie i o wolności przepływu informacji. Nadawano reportaże o przestępczości wśród nieletnich mieszkańców Moskwy, o fokach i o uprawie tytoniu, emitowano film o gangsterach działających w Chicago w latach trzydziestych, a także codzienny program publicystyczny, w którym dawny krytyk sztuki, obecnie poseł i komentator polityczny, pomstował na prokuratorów, polityków lewicowych i wszystkich innych, którzy głosili poglądy odmienne od jego własnych; kreował się na małego Saint-Justa, choć w rzeczywistości należał do rzeszy tapicerów, pedikiurzystów, prestidigitatorów i striptizerów, którzy coraz częściej pojawiali się na małym ekranie. Montalbano wyłączył telewizor, zaświecił zewnętrzną lampę i usiadł na werandzie z pismem, które prenumerował. Ładnie wydane, z ciekawymi tekstami, było redagowane przez grupę młodych ekologów z Sycylii. Spojrzał na spis treści i nie mogąc się zdecydować na konkretny artykuł, zaczął przeglądać fotografie, które miały niekiedy wymiar symbolicznego przesłania.

Zaskoczył go dzwonek do drzwi. Najpierw komisarz pomyślał, że przecież nikogo się nie spodziewa, ale już po chwili przypomniał sobie, że po południu dzwoniła do niego Anna. Kiedy spytała, czy może go odwiedzić, nie umiał jej odmówić. Miał poczucie winy wobec tej dziewczyny, którą – jak sam był gotów przyznać – wykorzystał niegodnie, aby uwolnić Ingrid od

prześladowań teścia.

Anna pocałowała go w policzek i wręczyła zawiniątko.

– Przyniosłam ci *petrafernula*.

Petrafernula, „diabelskie kamienie”, były to już niemal zapomniane ciastka, które Montalbano bardzo lubił, a które cukiernicy, nie wiedzieć czemu, przestali wypiekać.

– Pojechałam służbowo do Mittiki, zobaczyłam je na wystawie i kupiłam dla ciebie. Uważaj na zęby.

Ciastka miały tę specyficzną cechę, że im były twardsze, tym lepiej smakowały.

– Co robiłeś?

– Nic, przeglądałem pismo. Chodźmy na zewnątrz.

Usiedli na ławce. Montalbano powrócił do przeglądania zdjęć, Anna zaś oparła głowę na dłoniach i zaczęła wpatrywać się w morze.

– Jak tu pięknie!

– Owszem.

– Słyszeć tylko szum fal.

– Owszem.

– Wolisz, żebym przestała mówić?

– Nie.

Anna zamilkła. Po chwili znowu się odezwała.

– Wejdę do środka i pooglądam telewizję. Trochę mi zimno.

– Mhm.

Komisarz wolał jej nie ośmielać. Anna wyraźnie chciała oddać się tej samej przyjemności co zwykle – udawać, że jest jego kobietą, że spędza z nim jeden z wieczorów, jakie wypełniają całe ich życie. Na ostatniej stronie

pisma zobaczył zdjęcie wnętrza grotty Fragapane, która w rzeczywistości była nekropolią, mieszcząc w sobie groby chrześcijańskie wydrążone w starych zbiornikach wodnych. Fotografia ilustrowała recenzję książki, która właśnie się ukazała, niejakiego Alcide Maraventano, zatytułowanej *Rytuały pogrzebowe w regionie Montelusy*. Ta praca źródłowa – jak twierdził recenzent – wypełniała lukę w dotychczasowym stanie wiedzy i miała wielką wartość naukową ze względu na rozległość badań, obejmujących okres od prehistorii do epoki bizantyńskiej.

Montalbano długo zastanawiał się nad tym, co przed chwilą przeczytał. Myśl, że stągiew, czarka z pieniędzmi i pies stanowiły część obrządku grzebalnego, nie przyszła mu nawet do głowy. I pewnie był to błąd, prawdopodobnie właśnie od tego należało zacząć śledztwo. Ogarnęła go niepohamowana gorączka działania. Wszedł do domu, wyjął z gniazdka wtyczkę od aparatu telefonicznego i wziął go do ręki.

– Co robisz? – spytała Anna, która oglądała właśnie jakiś film gangsterski.

– Idę do sypialni, muszę zadzwonić do kilku osób, nie chcę ci przeszkadzać.

Wybrał numer Retelibery i poprosił do telefonu swojego przyjaciela, Nicoló Zito.

– Do rzeczy, Montalbano, za kilka sekund będę na wizji.

– Czy znasz niejakiego Maraventana, który napisał...

– Alcide? Tak, znam. Czego od niego chcesz?

– Chcę z nim porozmawiać. Masz jego numer telefonu?

– On nie ma telefonu. Jesteś w domu? Spróbuję go znaleźć i dam ci znać.

– Muszę z nim porozmawiać najpóźniej jutro.

– W ciągu godziny zadzwonię do ciebie i powiem, co masz robić.

Zgasił lampkę przy łóżku, w ciemności lepiej mu się rozmyślało.

Przypomnił sobie widok groty w kształcie, w jakim ją ujrzał, kiedy wszedł do niej po raz pierwszy. Jeśli wyeliminować z obrazka dwoje nieboszczyków ułożonych na dywanie, pozostawały czarka, stągiew i pies z terakoty. Kreśląc między tymi trzema przedmiotami linię prostą, otrzymywało się trójkąt równoboczny, odwrócony wierzchołkiem do wejścia. W środku trójkąta były dwa ciała. Czy miało to jakieś znaczenie? Należało może przeanalizować kierunek trójkąta?

Rozważając, rozmyślając, fantazjując, zapadł w drzemkę. Po jakimś czasie, którego nie umiał obliczyć, ze snu wyrwał go dzwonek telefonu. Odpowiedział zaspanym głosem.

– Spałeś?

– Drzemałem.

– A ja tu się za ciebie męczę. Posłuchaj, Alcide czeka na ciebie jutro po południu, o wpół do szóstej. Mieszka w Gallotcie.

Gallotta leżała o parę kilometrów od Montelusy, liczyła zaledwie kilka domów i słynęła niegdyś z tego, że była niedostępna zimą, kiedy opady przybierały na sile.

– Podaj mi adres.

– Jaki adres?! Jadąc z Montelusy, pierwszy dom na lewo. Duża rozpadająca się willa, która rozbudziłaby wyobraźnię reżysera horrorów. Nie możesz zabłądzić.

Zaledwie odłożył słuchawkę, natychmiast pogrążył się we śnie. Obudził się nagle, ponieważ coś ruszało się na jego piersi. To była Anna, o której całkiem zapomniał, a która leżała obok niego na łóżku i rozpiniała mu koszulę. Do każdego fragmentu ciała, jaki udało jej się obnażyć, przywierała na dłuższą chwilę wargami. Kiedy dotarła do pępka, uniosła głowę, wsunęła

dłoń pod koszulę Montalbana, zaczęła mu pieścić klatkę piersiową i wpiła wargi w jego usta. Ponieważ nie reagował na ten żarliwy pocałunek, przemieściła niżej dłoń, którą dotąd trzymała na piersi, i tam kontynuowała swoje pieszczoty.

Postanowił się odezwać.

– Widzisz, Anno? To nie to. Nic się nie dzieje.

Zeskoczyła z łóżka, pobiegła do łazienki i zamknęła się od środka. Montalbano nie ruszył się nawet w chwili, kiedy usłyszał jej szloch – był to płacz małej dziewczynki, dziecka, któremu odmówiono cukierka albo zabawki. Zobaczył ją, kompletnie ubraną, w prześwicie otwartych drzwi łazienki.

– Najgorszy bandzior ma więcej serca niż ty – powiedziała i poszła sobie.

Montalbanowi odechciało się spać. O czwartej nad ranem wciąż jeszcze układał pasjans, który w żaden sposób nie chciał mu wyjść.

Do pracy przyszedł nasrożony, strapiony; cała ta sprawa z Anną ciążyła mu, miał wyrzuty, że potraktował ją w taki sposób. Co więcej, o świcie naszły go wątpliwości: gdyby na miejscu Anny znalazła się Ingrid, czy na pewno zachowałyby się w ten sam sposób?

– Muszę z tobą natychmiast porozmawiać. – W drzwiach stanął Mimi Augello, mocno poruszony.

– Czego chcesz?

– Poinformować cię o rozwoju dochodzenia.

– Jakiego dochodzenia?

– Dobra, rozumiem, wpadnę później.

– Nie, zostaniesz tutaj i opowiesz mi, o jakie pieprzone dochodzenie ci chodzi.

- Jak to?! W sprawie handlu bronią!
- I pewnie ja kazałem ci się tym zająć?
- A nie? Mówiłeś mi o tej sprawie, pamiętasz? Wydawało mi się to oczywiste.
- Mimi, oczywiste jest tylko jedno, a mianowicie to, że z ciebie wielki skurwysyn. Nie obrażając twojej matki, ma się rozumieć.
- Zróbmy w ten sposób: ja złożę ci raport z postępów śledztwa, a ty zdecydujesz, czy mam kontynuować.
- No więc składaj ten swój raport.
- Po pierwsze, pomyślałem, że Ingrassii nie wolno pozostawić bez opieki, więc wyznaczyłem dwóch agentów, żeby chodzili za nim w dzień i w nocy. Nie może nawet pójść do kibla, żeby tego nie wiedział.
- Naszych? Przydzieliliś dwóch naszych, żeby go pilnowali?! Nie wiesz, że on zna nawet numer majtek naszych agentów?
- Nie jestem taki głupi. Nie są nasi, to znaczy nie są z Vigaty. To agenci z Ragony. Wyznaczyłem ich kwestor, do którego zwróciłem się o pomoc. Montalbano popatrzył na niego z podziwem.
- Zwróciłeś się do kwestora? Brawo, Mimi, nieźle sobie dajesz radę!
- Słyszając ton tej wypowiedzi, Augello nie odpowiedział; wolał kontynuować raport.
- Był też podsłuch telefoniczny, jedna z rozmów może mieć znaczenie. W moim pokoju jest zapis, pójdę po niego.
- Znasz go na pamięć?
- Tak. Ale ty, słuchając, być może zauważysz...
- Mimi, ty na pewno wykryłeś już wszystko, co było do wykrycia, więc nie każ mi tracić czasu. Mów.

– A więc Ingrassia dzwoni z supermarketu do Katanii, do firmy Brancato. Prosi samego Brancata, który podchodzi do telefonu. Ingrassia wówczas skarży się na niedogodności związane z ostatnią dostawą, mówi, że nie można przysyłać ciężarówki z dużym wyprzedzeniem, że to przysporzyło mu wiele kłopotów. Prosi o spotkanie, żeby przedyskutować inny, bardziej niezawodny system wysyłek. I tu pada dość zadziwiająca odpowiedź Brancata. Facet podnosi głos, wkurwia się, pyta Ingrassię, jak śmie do niego dzwonić. Tamten, jękając się, prosi o wyjaśnienia. I Brancat ich udziela, mówi mu, że jest niewyplącalny, że banki radzą nie utrzymywać już z nim kontaktu.

– A co na to Ingrassia?

– Nic. Nawet nie mruknął. Bez pożegnania odłożył słuchawkę.

– Czy domyślasz się, co może oznaczać ten telefon?

– Pewnie. Że Ingrassia prosił o pomoc, a ci się na niego wypięli.

– Pilnuj Ingrassii.

– Już to robię, mówiłem przecież.

Milczeli przez chwilę.

– No więc jak? Mam w dalszym ciągu prowadzić dochodzenie?

Montalbano nie odpowiedział.

– Ale jesteś uprzejmy! – skomentował Augello.

– Salvo? Jesteś sam w biurze? Czy mogę mówić swobodnie?

– Tak. Skąd dzwonicz?

– Z domu, leżę w łóżku, mam podwyższoną temperaturę.

– Przykro mi.

– A nie powinno. To gorączka dojrzewania.

– Słucham? Czy możesz to wytłumaczyć?

– To gorączka, którą miewają nastolatki. Trzyma ich dwa albo trzy dni, dochodzi do trzydziestu dziewięciu, czterdziestu, lecz nie ma co robić paniki, to naturalne, to gorączka dojrzewania. Kiedy mija, okazuje się, że dzieciaki są wyższe o kilka centymetrów. Na pewno i ja, kiedy gorączka już minie, będę większa. Na umyśle, nie na ciele. Chcę ci powiedzieć, że jako kobieta nigdy jeszcze nie doznałam takiego upokorzenia.

– Anno...

– Daj mi skończyć. Właśnie tak, upokorzenia. Jesteś fałszywy, jesteś zły, Salvo. A ja na to nie zasłużyłam.

– Pomyśl, Anno. To, co wydarzyło się dzisiaj w nocy, wyszło ci tylko na dobre...

Anna odłożyła słuchawkę. Choć dawał jej do zrozumienia na tysiąc sposobów, że między nimi nigdy do niczego nie dojdzie, teraz, wiedząc, że dziewczyna cierpi jak zbity pies, poczuł się czymś o wiele gorszym od świni; mięsem świni przynajmniej można się pożywić.

Willę przy wjeździe do Gallotty znalazł natychmiast, lecz wydało mu się niemożliwe, żeby ktoś mieszkał w takiej ruderze. Wyraźnie było widać zarwany środek dachu, na trzecim piętrze musiało padać do środka. Wystarczał niewielki podmuch, żeby poruszyć okiennicami, które nie wiadomo jak jeszcze trzymały się muru. Ściana zewnętrzna, w górnej części frontu, ukazywała rozpadliny, w których mieściła się pięść. W lepszym stanie były chyba drugie i pierwsze piętro oraz parter. Tynk odpadł już lata temu, a ze zdezelowanych okiennic – które krzywo, bo krzywo, ale przynajmniej się zamykały – schodziła farba. Uchylona do połowy stalowa furтка, przekrzywiona na zewnątrz, pozostawała w tej pozycji pewnie od niepamiętnych czasów. Na gliniastym terenie wszędzie rosły chwasty. Ogród

stanowił bezkształtne skupisko poskręcanych drzew i gęstych krzewów, był zbitym gąszczem.

Poszedł wyłożoną rozchybotanymi kamieniami alejką i zatrzymał się przed wyblakłymi drzwiami. Zapadał już zmrok, zmiana czasu z letniego na zimowy w rzeczywistości skracała dzień. Zadzwoił. A raczej nacisnął dzwonek, ponieważ nie usłyszał żadnego dźwięku, nawet odległego. Spróbował jeszcze raz, aż zrozumiał, że dzwonek nie działa już od czasów odkrycia prądu. Zastukał kołatką w kształcie końskiej głowy i wreszcie, po trzecim uderzeniu, dobiegło go szuranie. Drzwi się otworzyły, lecz zamiast szczęki klamki i zamka rozległ się przeciągły lament czyścicowej duszy.

– Były otwarte. Wystarczyło popchnąć, wejść i zawołać.

Gospodarz wyglądał jak kościotrup. Montalbano nigdy w życiu nie widział tak chudego człowieka. A raczej widział, tyle że na łożu śmierci, wyschniętego, wycieńczonego chorobą. Ten natomiast stał, choć zgięty w połowie, i wydawał się żywy. Miał na sobie księżowską sutannę, która kiedyś była czarna, a teraz wydawała się prawie zielona; koloratka, niegdyś biała, stała się ciemnoszara. Na nogach miał ciężkie buty, jakie nosili kiedyś rolnicy, a jakich już nikt nie szył. Był całkiem łysy, jego twarz wyglądała jak trupia czaszka, na którą ktoś dla żartów nałożył złote okulary. Za grubymi szklami błędziło spojrzenie. Montalbano pomyślał, że tamtych dwoje w jaskini miało więcej ciała niż ten ksiądz. Bez dwóch zdań – był bardzo stary.

Ceremonialnie zaprosił komisarza do środka, wprowadził go do wielkiego salonu, dosłownie wyłożonego książkami, i to zalegającymi nie tylko na regałach, lecz również na podłodze, gdzie tworzyły stosy, które miejscami sięgały sufitu i utrzymywały równowagę za sprawą nieprawdopodobnej ekwilibrystyki. Okno nie wpuszczało światła, bo książki spiętrzone na parapetach zasłaniały szyby. Z mebli było tam tylko biurko, krzesło i fotel.

Montalbanowi wydało się, że blat biurka oświetla prawdziwa lampa naftowa. Stary ksiądz zrzucił książki z fotela i poprosił, żeby Montalbano usiadł.

– Choć nie mam najmniejszego pojęcia, w jaki sposób mogę być panu pomocny, proszę mówić.

– Jak księdzu zapewne mówiono, jestem komisarzem policji...

– Nie, nikt mi niczego nie mówił, a ja o nic nie pytałem. Wczoraj wieczorem, późno, przyjechał taki jeden z miasta i oznajmił, że ktoś z Vigaty chce się ze mną zobaczyć, a ja mu powiedziałem, żeby przyszedł wpół do szóstej. Jeśli pan jest komisarzem, źle pan trafił, traci pan czas.

– Dlaczego miałbym tracić czas?

– Bo ja od co najmniej trzydziestu lat nie wychodzę z tego domu. Po co miałbym wychodzić? Stare twarze znikły, nowe mnie nie przekonują. Zakupy przynoszą mi codziennie, a zresztą piję tylko mleko i raz w tygodniu jem rosół.

– Na pewno wie ksiądz z telewizji...

Ledwie zaczął zdanie, natychmiast je urwał. Słowo „telewizja” zabrzmiało mu fałszywie.

– W tym domu nie ma prądu.

– Dobrze więc, czytał ksiądz na pewno w gazecie...

– Nie czytam gazet.

Dlaczego zaczynał od złej strony? Nabrał powietrza i jednym tchem wyrzucił z siebie wszystko – od handlu bronią do odkrycia zwłok w jaskini.

– Proszę poczekać, zapalę światło, to nam się będzie lepiej rozmawiało.

Przeszukał papiery na stole, znalazł między nimi pudełko zapalek i drżącymi dłońmi zapalił jedną. Montalbano przeniknął dreszcz.

„Jeżeli upuści – pomyślał – spłonimy w jednej chwili”.

Tymczasem operacja się udała, aczkolwiek z fatalnym skutkiem, ponieważ lampa oświetliła bladym płomieniem środek stołu, pograżając w głębokiej ciemności stronę, po której siedział starzec. Montalbano patrzył ze zdumieniem, jak ów wyciąga rękę i bierze niewielką butelkę z dziwnym korkiem. Na stole stały jeszcze trzy podobne, dwie puste, a jedna wypełniona białą cieczą. Nie były to zwykłe butelki, lecz do karmienia niemowląt, ze smoczkami. Komisarz poczuł się bezsensownie poirytowany, kiedy starzec zaczął ssać.

– Proszę wybaczyć, ale nie mam zębów.

– To dlaczego nie pije ksiądz mleka z kubka, z filiżanki, z jakiejś szklanki?

– Bo tak mi bardziej smakuje. To tak, jak gdybym palił fajkę.

Montalbano postanowił ulotnić się jak najszybciej. Wstał, wyciągnął z kieszeni dwie fotografie, które wziął od Jacomuzziego, i podał księdzu.

– Czy to może być rytuał pogrzebowy?

Starzec spojrzał na zdjęcia, ożywiając się i pomrukując.

– Co było w czarce?

– Monety z lat czterdziestych.

– A w stągwi?

– Nic... nie było śladu... musiała zawierać samą wodę.

Starzec siedział przez dłuższą chwilę, w zamyśleniu ssąc mleko. Montalbano usiadł.

– To nie ma sensu – powiedział ksiądz, odkładając fotografie na stół.

16

Montalbano był u kresu wytrzymałości. Pod lawiną pytań, jakimi zasypywał go ksiądz, zrobił mu się zamęt w głowie, a na dodatek za każdym razem, kiedy nie umiał udzielić odpowiedzi, Alcide Maraventano wydawał z siebie jęk i na znak sprzeciwu jeszcze głośniejsze siorbał mleko. Właśnie przypiął się do drugiej butelki ze smoczkiem.

W którą stronę były skierowane głowy nieboszczyków?

Z czego ulepiono stągiew? Z najzwyczajniejszej gliny czy z jakiegoś innego surowca?

Ile monet leżało w czarce?

W jakiej odległości od zwłok, dokładnie, znajdowały się stągiew, czarka i pies z terakoty?

Przesłuchanie nareszcie się skończyło.

– To nie ma sensu.

Podsumowanie przesłuchania w pełni potwierdziło to, co ksiądz orzekł na samym początku. Z nieskrywaną ulgą komisarz uznał, że może wstać, pożegnać się i odejść.

– Proszę zaczekać, co się panu tak spieszy?

Montalbano posłusznie usiadł.

– To nie jest rytuał pogrzebowy, być może to coś innego.

W jednej chwili komisarz otrząsnął się ze znużenia i rezygnacji, w pełni odzyskał jasność umysłu: głowa Maraventana pracowała.

– Niech ksiądz mówi, będę wdzięczny za każdą opinię.

– Czytał pan Umberta Eco?

Montalbano zaczął się pocić.

„Jezu, teraz mnie przeegzaminuje z literatury” – pomyślał i wymamrotał:

– Czytałem jego pierwszą powieść i dwa tomy *Diariusza najmniejszego*, który wydaje mi się...

– Nie, ja nie czytam powieści. Miałem na myśli *Traktat semiotyki ogólnej*, kilka fragmentów, które mogą okazać się nam przydatne.

– Bardzo mi przykro, nie czytałem.

– *I Semeiotike* Julii Kristevej też pan pewnie nie czytał?

– Nie, i nie mam najmniejszego zamiaru się do tego wziąć – odparł Montalbano, który zaczynał się wkurzać, ponieważ nabrał podejrzeń, że starzec robi go w konia.

– No dobrze – poddał się Alcide Maraventano. – Więc przytoczę panu bardzo prymitywny przykład.

– Czyli na moim poziomie – mruknął Montalbano pod nosem.

– A więc jeśli pan, jako komisarz, znajdzie zwłoki człowieka, którego zastrzelono i któremu włożono kamień do ust, to co pan pomyśli?

– Wie ksiądz – powiedział Montalbano, gotowy na rewanż – to dawne zwyczaje, teraz mordują, nie udzielając wyjaśnień.

– Aha. Więc dla pana ten kamień w ustach to wyjaśnienie.

– Oczywiście.

– A co oznacza?

– To, że zamordowany za dużo mówił, powiedział coś, czego nie powinien był powiedzieć, sypnął kogoś.

– No właśnie. A więc zrozumiał pan to znaczenie, bo znał pan kod języka, w tym przypadku metaforycznego. Lecz gdyby pan nie był wtajemniczony

w ten kod, to co by pan z tego zrozumiał? Nic. Dla pana ten człowiek byłby biednym nieboszczykiem, którego nie dość, że zabili, to jeszcze nie-wia-domo-dla-cze-go włożyli mu kamień w usta.

– Zaczynam rozumieć – powiedział Montalbano.

– A więc wracając do naszej sprawy: ktoś tam zabija dwoje młodych ludzi z powodów, których nie znamy. Może pozbyć się ciał na wiele sposobów, wrzucić do morza, zakopać w ziemi, w piasku. Ale nie – wnosi je do groty, a na dodatek stawia obok nich miskę, stągiew i psa z terakoty. Co on zrobił?

– Pozostawił wiadomość, komunikat – odrzekł półgłosem Montalbano.

– Słusznie, to jest wiadomość, której jednak pan nie może odczytać, ponieważ nie zna pan tego języka – podsumował ksiądz.

– Pomyślmy – powiedział Montalbano. – Tak czy inaczej, wiadomość musiała być do kogoś skierowana. Na pewno nie do nas, którzy zastanawiamy się nad tym po upływie pół wieku od zabójstwa.

– A dlaczegóż by nie?

Montalbano pogrążył się w myślach, następnie wstał.

– Idę, nie chcę zabierać księdzu czasu. To, co mi ksiądz powiedział, jest dla mnie niezwykle cenne.

– Chciałbym przydać się panu jeszcze bardziej.

– W jaki sposób?

– Przed chwilą powiedział mi pan, że teraz mordują, nie udzielając wyjaśnień. Wyjaśnienia zawsze istnieją i zawsze można ich udzielić, w przeciwnym razie nie wykonywałby pan swojego zawodu. Tyle że języków jest coraz więcej i coraz bardziej się od siebie różnią.

– Dziękuję – powiedział Montalbano.

Zjedli sardele na kwaśno, które pani Elisa, żona kwestora, potrafiła

przyrządzać ze znanstwem i maestrią, albowiem sekret polegał na laboratoryjnym wręcz przestrzeganiu czasu, przez jaki ryńienka miała pozostawać w piekarniku. Następnie, po kolacji, pani domu wycofała się do salonu, żeby oglądać telewizję, lecz nie omieszkała przedtem postawić na biurku w gabinecie męża butelki chivas, butelki likieru i dwóch kieliszków.

Podczas posiłku Montalbano z entuzjazmem rozprawiał o Alcide Maraventano, o jego szczególnym sposobie życia, o jego kulturze i inteligencji, lecz kwestor zainteresował się tym jedynie pobieżnie, powodowany głównie uprzejmością w stosunku do gościa.

– Proszę posłuchać, komisarzu – zaczął, kiedy tylko zostali sami. – Doskonale rozumiem stan ekscytacji, w jaki może pana wprowadzać odnalezienie nieboszczyków w grocie. Proszę pozwolić: znam pana zbyt dobrze, żeby nie przewidzieć, że ta sprawa wciągnie pana po uszy z powodu niewytłumaczalnych wątków, które co chwila odsłania, jak również dlatego, że w gruncie rzeczy, gdyby nawet znalazł pan rozwiązanie, okazałoby się ono absolutnie niepotrzebne. Ta zbyteczność byłaby dla pana nader przyjemna i, proszę wybaczyć, niemal kongenialna.

– Jak to niepotrzebne?

– Niepotrzebne, niepotrzebne, proszę to przyznać. Minęło już ponad pięćdziesiąt lat, więc morderca, albo mordercy, jeśli czas okazał się dla nich łaskawy i jeszcze nie umarli, w najlepszym wypadku są ponad siedemdziesięcioletnimi staruszkami. Zgoda?

– Zgoda – przyznał niechętnie Montalbano.

– A zatem... proszę mi wybaczyć, ponieważ wyrażenie, którego zamierzam użyć, nie jest właściwe mojemu sposobowi wysławiania... pan nie prowadzi dochodzenia, pan się umysłowo brandzluje.

Montalbano przełknął te słowa, nie znajdując ani sił, ani argumentów, żeby

odparować.

– I mógłbym nawet pozwolić panu na to ćwiczenie, gdybym się nie obawiał, że poświęci mi pan najlepsze ze swoich szarych komórek, zaniehbując dochodzenia znacznie większej wagi i szerszego zasięgu.

– Co to, to nie! To nieprawda! – nie wytrzymał Montalbano.

– A jednak. Proszę nie traktować moich słów jako upomnienia, rozmawiamy przecież u mnie w domu, jak przyjaciele. Dlaczego tak delikatną sprawę jak handel bronią powierzył pan swojemu zastępcy, który, owszem, jest znakomitym funkcjonariuszem, ale na pewno daleko mu do pańskiego poziomu.

– Niczego mi nie powierzałem! To on sam...

– Mówi pan jak dziecko, komisarzu. Zrzuca pan na jego barki wielką część dochodzenia. Ponieważ pan doskonale wie, że sam nie może poświęcić mi się w pełni, skoro trzy czwarte pańskiego mózgu jest zaangażowane w inną sprawę. Proszę mi powiedzieć uczciwie, czy się mylę.

– Nie myli się pan – odparł uczciwie Montalbano po chwili milczenia.

– A więc zakończmy ten wątek. Porozmawiajmy teraz o czymś innym. Dlaczego, u diabła, nie chce pan, żebym zgłosił go do awansu?

– Pan ma ochotę się nade mną znęcać.

Od kwestora wyszedł zadowolony, zarówno z powodu sardeli na kwaśno, jak i dlatego, że udało mu się uzyskać zwłokę w sprawie awansu. Powody, które wysunął, nie trzymały się kupy, lecz przełożony uprzejmie udał, że mu wierzy: czy Montalbano mógł powiedzieć, że sama myśl o przeprowadzce, o zmianie przyzwyczajzeń przyprawiała go o gorączkę?

Było jeszcze wcześniej, miał dwie godziny do spotkania z Gege. Zajrzał do Retelibery, chciał dowiedzieć się czegoś więcej o Alcide Maraventano.

– Czy to nie nadzwyczajny człowiek? – zagadnął Nicoló Zito. – Ssał mleko z butelki?

– No pewnie.

– Zwróć uwagę, że on tylko udaje, to takie jego przedstawienie.

– Co ty mówisz? Przecież on nie ma zębów!

– To nie wiesz, że już dawno temu wymyślono sztuczną szczękę? On ją ma i pracuje nią doskonale. Mówią, że kiedy nikt go nie widzi, potrafi pochłonać ćwiartkę cielaka albo pieczone jagnię.

– No to dlaczego to robi?

– Ponieważ jest urodzonym aktorem. A raczej komediantem.

– Czy tylko udaje księdza?

– Nie całkiem. Kiedyś nim był.

– Ale to, co mówi, to prawda czy nie?

– Możesz być spokojny, ma niebywałą wiedzę i kiedy coś mówi, jest bardziej wiarygodny od ewangelii. Czy wiesz, że jakieś dziesięć lat temu strzelał do człowieka?

– Co ty?

– Owszem. Którejś nocy zakradł się do niego na parter jakiś złodziejaszek. Potrącił stertę książek, która runęła z potwornym hukiem. Maraventano obudził się, zszedł na dół i wypalił do intruza z karabinu wielkiego jak armata. Strzał poderwał z łóżek pół miasteczka. W rezultacie złodziej został ranny w nogę, około dziesięciu książek uległo zniszczeniu, a jemu od odrzutu strzelby pękł obojczyk. Jednak złodziej twierdził, że nie wszedł do domu z zamiarem kradzieży, lecz na zaproszenie księdza, który w pewnej chwili, bez żadnej zrozumiałej przyczyny, strzelił do niego. I ja mu wierzę.

– Komu?

– Tak zwanemu złodziejowi.

– Dlaczego więc miałyby do niego strzelać?

– A kto wie, co siedzi w głowie Alcide Maraventano? Może chciał sprawdzić, czy strzelba wciąż działa. Albo miał ochotę urządzić sobie widowisko, co jest jeszcze bardziej prawdopodobne.

– Posłuchaj, coś mi się przypomniało... Czy masz *Traktat semiotyki ogólnej* Umberta Eco?

– Ja?! Zwariowałeś?

W drodze po samochód, który zostawił na parkingu Retelibery, przemókł do suchej nitki. Zaczęło padać nagle, deszczyk był drobniutki, lecz gęsty. Kiedy Montalbano dotarł do domu, miał jeszcze trochę czasu do spotkania. Przebrał się, usiadł przed telewizorem, ale natychmiast wstał, podszedł do biurka i wziął pocztówkę, którą otrzymał rano.

Livia donosiła na niej, że – tak jak mu to zapowiedziała przez telefon – pojechała na dziesięć dni do swojej kuzynki do Mediolanu. Kartkę, na której widniała – jakżeby inaczej – katedra, przecinała połyskliwa smuga. Montalbano musnął ją czubkiem palca wskazującego: była świeża, nieco lepka. Ogarnął wzrokiem biurko. Duży brunatny ślimak sunął właśnie po okładce książki Vincenza Consolo. Montalbano nie wahał się, zbyt mocno odczuwał wstręt po niedawnym śnie, który głęboko zapadł mu w pamięć: chwycił przeczytaną już książkę Montalbana i trzasnął nią z całej siły w książkę Consolo. Ślimak został zmiażdżony z dźwiękiem, który przyprawił komisarza o mdłości. Następnie wrzucił obie książki do kosza na śmieci i postanowił, że odkupi je sobie nazajutrz.

Gege jeszcze nie przyjechał, ale komisarz wiedział, że nie będzie musiał długo czekać – przyjaciel prawie nigdy się nie spóźniał. Deszcz ustał;

musiała to być prawdziwa ulewa, bo na plaży utworzyły się rozległe kałuże. Piasek wydzieliał mocny zapach przemokłego drewna. Montalbano zapalił papierosa. I właśnie wtedy, w nikłym świetle księżyca, zobaczył ciemny kontur samochodu, nadjeżdżającego bardzo powoli, z wyłączonymi światłami, z przeciwnego kierunku niż ten, z którego sam przybył i z którego oczekiwał przyjazdu Gege. Zaniepokoił się, otworzył schowek w tablicy rozdzielczej, wyjął pistolet, załadował, przymknął okienko, gotowy wyskoczyć w każdej chwili. Kiedy samochód zbliżył się na odległość strzału, nagle włączył reflektory. Bez wątplenia był to samochód Gege, lecz za kierownicą mógł przecież siedzieć ktoś inny.

– Zgaś światła! – usłyszał krzyk z drugiego samochodu.

Był to na pewno głos Gege i komisarz spełnił jego życzenie. Rozmawiali, siedząc w swoich samochodach, zaparkowanych jeden naprzeciw drugiego.

– Co ty, kurwa, robisz?! Niewiele brakowało, bym do ciebie strzelił – rzucił wściekle Montalbano.

– Chciałem zobaczyć, czy cię śledzili.

– Kto miałby mnie śledzić?

– Już ci mówię. Przyjechałem pół godziny przed czasem i schowałem się za skałą przy Punta Rossa.

– Chodź tutaj – powiedział komisarz.

Gege wysiadł, wślizgnął się do samochodu Montalbana, prawie przywarł do przyjaciela.

– Zimno ci?

– Nie, ale i tak szcękam zębami.

Zalatywał strachem, przerażeniem. Montalbano wiedział z doświadczenia, że strach ma własną woń, kwaśną, barwy zielonożółtej.

– Czy wiesz, kim jest tamten nieboszczyk?

– Gege, wielu ludzi się dziś morduje. O kim mówisz?

– O Pietrze Gullo mówię, o tym, którego zwłoki przywieźli na „pastwisko”.

– Był twoim klientem?

– Klientem? Jeżeli już, to raczej ja byłem jego klientem. To był człowiek Tana, inkasent. To on mi powiedział, że Tano chce się z tobą spotkać.

– Dlaczego się dziwisz, Gege? To normalna historia: zwycięzca zgarnia wszystko, ten system działa również w polityce. Ktoś ma przejąć sprawy należące do Tana, zatem likwidują wszystkich jego ludzi. Ty nie byłeś ani współnikiem, ani podwładnym Tana, więc czego się boisz?

– Nie – powiedział zdecydowanie Gege – sprawy wcale nie mają się tak, jak mówisz. Dowiedziałem się o tym, kiedy byłem w Trapani.

– A jak się mają?

– Mówią, że była umowa.

– Umowa?

– Owszem. Umowa pomiędzy tobą a Tanem. Mówią, że strzelanina to było udawanie, zgrywa, przedstawienie. I są przekonani, że to ja pomogłem je zorganizować, wraz z Pietrem Gullo i jeszcze jedną osobą, która ma zginąć w najbliższym czasie.

Montalbano przypomniał sobie telefon, który otrzymał po konferencji prasowej; jakiś anonimowy głos nazwał go wtedy pierdolonym komediantem.

– Obrazili się – ciągnął Gege. – Nie mogą znieść, że ty i Tano zagraliście im na nosie, że przez was wyszli na idiotów. To gryzie ich bardziej niż utrata broni. A teraz możesz mi powiedzieć, co mam robić?

– Jesteś pewny, że mają pretensję również do ciebie?

– Jak amen w pacierzu. Dlaczego przywieźli Gulla na „pastwisko”, które

należy do mnie? Przecież to jasne!

Komisarz pomyślał o Alcide Maraventano i jego małym wykładzie o kodach.

Czy to skutek lekkiego zagęszczenia mroku, czy za sprawą błysku, który w ułamku sekundy wyłapał kątem oka, na chwilę przedtem, zanim padła seria z karabinu, ciało Montalbana posłuchało serii impulsów wysłanych przez mózg: pochylił się, lewą ręką otworzył drzwiczki i wyskoczył z samochodu, podczas gdy wokół niego świstały kule, rozpryskiwały się szyby, pękały blachy, króciutkie błyski rozświetlały mrok. Następnie zastygł w bezruchu, wciśnięty pomiędzy swoje auto a samochód Gege, i dopiero po chwili się zorientował, że trzyma pistolet. Kiedy przyjaciel wszedł do jego wozu, komisarz położył broń na tablicy rozdzielczej: musiał ją chwycić odruchowo. Wreszcie jazgot ucichł i zapadła ołowiana cisza, nic nawet nie drgnęło, słychać było jedynie szum wzburzonego morza. Wreszcie, z odległości około dwudziestu metrów, z miejsca, gdzie plaża przechodziła w margłową wydmę, rozległ się głos.

– Wszystko w porządku?

– W porządku – odezwał się inny, bardzo blisko.

– Sprawdź, czy obaj nie żyją, i jedziemy.

Montalbano próbował sobie wyobrazić, co tamten musi zrobić, by upewnić się, że on i Gege nie żyją: szu, szu, słychać było kroki zbliżające się po mokrym piasku. Mężczyzna musiał właśnie dojść do samochodu, za chwilę pochylił się, żeby zajrzeć do środka.

Montalbano poderwał się i strzelił. Tylko raz. Usłyszał szelest ciała osuwającego się na ziemię, dyszenie, rżenie – i to wszystko.

– Giugiu, wszystko w porządku? – spytał głos z oddali.

Nie wsiadając do samochodu, komisarz wsunął rękę przez otwarte okno

i zastygł z dłonią na włączniku reflektorów. Nie słyszał żadnego odgłosu. Postanowił zdać się na łut szczęścia i zaczął liczyć w myślach. Kiedy doszedł do pięćdziesięciu, zapalił światła i wyprostował się. W jasnej smudze, o dziesięć metrów od niego, zmaterializował się człowiek z karabinem maszynowym i natychmiast stanął jak wryty. Montalbano strzelił, mężczyzna bez namysłu odpowiedział serią na oślep. Komisarz poczuł uderzenie, jak gdyby ktoś walnął go potężnie pięścią w lewy bok, zatoczył się, oparł lewą dłonią o samochód i oddał trzy strzały jeden za drugim. Oświetlony mężczyzna wykonał dziwny skok, odwrócił się i zaczął uciekać, a Montalbano widział, jak białe światło reflektorów staje się żółte, zaczęły mu ciążyć powieki, zakręciło się w głowie. Usiadł na piasku, ponieważ czuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa, plecami oparł się o samochód.

Spodziewał się, że będzie bolało, lecz ból okazał się tak silny, że Montalbano zaczął się skarżyć i płakać jak dziecko.

Kiedy się obudził, natychmiast zrozumiał, że jest w szpitalu, i przypomniał sobie dokładnie całe zdarzenie: spotkanie z Gege, przerwana rozmowa, strzelaninę. Od chwili gdy znalazł się między samochodami, leżąc na mokrym piasku, z nieznośnym bólem w boku, pamięć go zawodziła. Ale niecałkowicie – pamiętał na przykład przerażoną twarz Mimi Augella i jego łamiący się głos.

– Jak się czujesz? Jak się czujesz? Zaraz przyjedzie karetka, nic ci nie jest, leż spokojnie.

Skąd się tu wziął Mimi?

Pamiętał również, że w szpitalu ktoś w białym fartuchu mówił:

– Stracił za dużo krwi.

Potem już nic. Spróbował się rozejrzeć: pokój był biały i czysty, przez wielkie okno przenikało słońce. Nie mógł się poruszać, do ramion miał przymocowane kroplówki, lecz bok go nie bolał, sprawiał raczej wrażenie martwego fragmentu ciała. Montalbano spróbował poruszyć nogami, ale mu się to nie udało. Powoli zapadał w sen.

Ponownie obudził się chyba pod wieczór, ponieważ światło było już przyćmione. Natychmiast zamknął oczy, kiedy zobaczył, że nie jest sam; nie miał ochoty na pogawędki. Jednakże po chwili, powodowany ciekawością, uchylił powieki, lecz nie więcej, niż było to konieczne, żeby rozróżnić postaci. Na metalowym krześle przy łóżku siedziała Livia, za nią stała Anna. Po drugiej stronie łóżka dostrzegł Ingrid. Livia miała oczy mokre od łez,

Anna bez przerwy płakała, a Ingrid była blada, z twarzą ściągniętą w bolesnym grymasie.

„Jezu!” – przeraził się Montalbano.

Zacisnął powieki i uciekł w sen.

O wpół do siódmej – nazajutrz, jak sądził, po strzelaninie – dwie pielęgniarki wymyły go i zmieniły mu piżamę. O siódmej przyszedł ordynator w towarzystwie pięciu asystentów w białych fartuchach. Przeczytał kartę choroby, odkrył prześcieradło i zaczął badać ranny bok.

– Chyba wszystko idzie dobrze – orzekł. – Operacja udała się znakomicie.

Operacja? O jakiej operacji on mówi? Ach, może o usunięciu pocisku, który go zranił. Tylko że pocisk z karabinu maszynowego raczej nie zostaje w środku, na ogół przechodzi na wylot. Miał ochotę zadawać pytania, prosić o wyjaśnienia, ale słowa nie przechodziły mu przez gardło. Na szczęście ordynator zauważył jego spojrzenie, zrozumiał pytania, które wypowiedziały oczy komisarza.

– Musieliśmy pana natychmiast operować. Pocisk przeszył jelito.

Jelito? A czego szukało jelito w jego biodrze? Jelito nie ma nic wspólnego z biodrami, powinno znajdować się w brzuchu. A jeśli znajduje się w brzuchu, to oznacza, że – i wzdrygnął się tak mocno, że nie uszło to uwagi lekarzy – od dziś do końca życia będzie się odżywiał wyłącznie papką.

– ...papki? – Wreszcie zdołał wydobyć z siebie głos. Ta przerażająca perspektywa przywróciła sprawność jego strunom głosowym.

– Co powiedział? – spytał ordynator asystentów.

– Chyba powiedział „klapki” – podsunął jeden z nich.

– Nie, nie, powiedział „żabki” – wtrącił inny.

Wyszli, sprzecząc się o to słowo.

O wpół do dziewiątej drzwi się otworzyły i pojawił się w nich Catarella.

– Komisarzu, no i jak się pan czuje?

Gdyby nawet Montalbano chciał z kimkolwiek pogadać, to rozmowa z Catarellą, tak czy inaczej, wydawała mu się czymś absolutnie zbytecznym. Nie odpowiedział, tylko poruszył głową na znak, że ma się lepiej.

– Wartuję tutaj, żeby trzymać wartę przy panu. Ten szpital jest jak lotnisko – jedni wchodzą, drudzy wychodzą, jedni przybywają, inni wyjeżdżają. Mogłoby się zdarzyć, że wszedłby ktoś powodowany złymi zamiarami i chciałby dokończyć rozpoczętego dzieła. Rozumie pan?

Montalbano zrozumiał doskonale.

– Wie pan, komisarzu, że dałem moją krew do transfuzji?

I wrócił na wartę, żeby dalej wartować.

Montalbano pomyślał z goryczą, że czekają go ponure lata z krwią Catarelli w żyłach i kaszką manną w brzuchu.

Pierwsze z długiej serii pocałunków, jakie czekały go tego dnia, otrzymał od Fazia.

– Słyszałem, komisarzu, że strzela pan jak Pan Bóg przykazał. Jednego trafił pan w szyję, i to pierwszym strzałem, drugiego pan ranił.

– Zraniłem również drugiego?

– Owszem, nie wiemy w co, ale ranić pan ranił. Doktor Jacomuzzi zauważył o dziesięć metrów od samochodu czerwoną kałużę, to była krew.

– Zidentyfikowaliście nieboszczyka?

– Pewnie.

Wyjął z kieszeni karteczkę i przeczytał:

– Munafó Gerlando, urodzony w Montelusie szóstego września tysiąc

dziewięćset siedemdziesiątego roku, kawaler, zamieszkały w Montelusie przy via Crispi czterdzieści trzy, znaków szczególnych brak.

„Predyspozycje do pracy w urzędzie stanu cywilnego nie opuszczają go nawet na chwilę” – pomyślał Montalbano.

– A jakie miał stosunki z wymiarem sprawiedliwości?

– Nic a nic, komisarzu. Nienotowany.

Fazio włożył karteczkę do kieszeni.

– Za takie rzeczy płacą im co najmniej pół miliona.

Zamilkł, widocznie zrozumiał, że strzelił gafę.

Montalbano postanowił wybawić go z opresji.

– Gege zginął na miejscu?

– Nie cierpiał. Seria urwała mu pół głowy.

Weszli pozostali. I komisarz natychmiast utonął w uściskach i pocałunkach.

Z Montelusy przyjechali Jacomuzzi i doktor Pasquano.

– Wszystkie gazety piszą o tobie – powiedział Jacomuzzi ze wzruszeniem, ale i nie bez zawiści.

– Jest mi naprawdę przykro, że nie mogłem wykonać na panu autopsji – powiedział Pasquano. – Ciekawe, jak pan wygląda od środka.

– To ja pierwszy przybyłem na miejsce – powiedział Mimi Augello – a kiedy zobaczyłem, w jakim jesteś stanie i w jakiej scenerii, prawie narobiłem w gacie ze strachu.

– Skąd się dowiedziałeś?

– Otrzymaliśmy anonimowy telefon, że była strzelanina u podnóża Scala dei Turchi. Dyżurował wtedy Galluzzo, który natychmiast do mnie

zadzwoił. I powiedział mi coś, o czym nie miałem pojęcia. Mianowicie to, że w miejscu, w którym doszło do strzelaniny, zazwyczaj spotykałeś się z Gege.

– To on o tym wiedział?

– Chyba wszyscy o tym wiedzieli! Pół miasta o tym wiedziało! A więc nawet się nie ubrałem, wyszedłem, jak stałem, w pizamie...

Montalbano uniósł rękę i przerwał mu.

– To ty śpisz w pizamie?

– Tak – odparł zdziwiony Augello. – A co?

– Nic. Mów dalej.

– Kiedy jechałem na miejsce, zadzwoniłem z komórki na pogotowie. I dobrze się stało, bo straciłeś dużo krwi.

– Dziękuję – powiedział z wdzięcznością Montalbano.

– Jakie dziękuję?! Nie zrobiłbyś dla mnie tego samego?

Po krótkim rachunku sumienia Montalbano postanowił nie odpowiadać.

– Aha, muszę ci jeszcze powiedzieć pewną ciekawostkę – dodał Augello. – Pierwszą rzeczą, o jaką mnie poprosiłeś, kiedy jeszcze leżałeś na piasku i jęczałeś, to żebym zjął z ciebie ślimaki. Miałeś halucynacje, więc obiecałem, że zdejmę, ale nie było tam żadnych ślimaków.

Weszła Livia, wzięła go mocno w ramiona, wybuchnęła płaczem i położyła się przy nim na łóżku tak blisko, jak to tylko było możliwe.

– Zostań tak – powiedział Montalbano.

Kiedy trzymała głowę na jego piersi, czuł przyjemny zapach jej włosów.

– Skąd się dowiedziałas?

– Z radia. A raczej to moja kuzynka usłyszała wiadomość. Ładne

przebudzenie, nie ma co.

– I co zrobiłaś?

– Przede wszystkim zadzwoniłam do Alitalii i zarezerwowałam bilet do Palermo. Potem zadzwoniłam do twojego biura w Vigacie. Rozmawiałam z Augellem, który był bardzo uprzejmy, dodał mi otuchy, zaproponował, że przyjedzie po mnie na lotnisko. Jadąc z nim samochodem, poznałam cały przebieg wypadków.

– Livio, co mi jest?

– Nic ci nie jest, zważywszy na to, co mogło się stać.

– Jestem na zawsze zgubiony?

– Co ty mówisz?

– Będę do końca życia na diecie?

– Ale wiąże mi pan ręce – powiedział kwesor z uśmiechem.

– Dlaczego?

– Dlatego, że zachowuje się pan jak szeryf – albo, jeśli pan woli, jak nocny mściciel – i pcha się na wszystkie kanały telewizyjne i na pierwsze strony gazet.

– To nie moja wina.

– Nie, nie pańska, lecz to również nie będzie moja wina, jeśli będę musiał pana w końcu awansować. Powinien pan teraz siedzieć cicho. Na szczęście przez jakieś dwadzieścia dni nie będzie pan mógł się stąd ruszyć.

– Aż tyle?!

– A propos, w Montelusie jest wiceminister Licalzi. Przyjechał tu, żeby, jak sam mówi, uwrażliwić opinię publiczną na walkę z mafią, i zgłosił zamiar złożenia panu wizyty dziś po południu.

– Nie chcę go tutaj! – krzyknął poruszony Montalbano.

Licalzi nieraz się pożywił przy mafijnym korycie, a teraz, wciąż za zgodą mafii, znów piął się na szczyt.

Właśnie w tej chwili wszedł ordynator. Nasrożył się, widząc w pokoju sześć osób.

– Nie miejcie żalu, ale proszę, żebyście go zostawili w spokoju, musi wypocząć.

Zaczęli się żegnać, a ordynator powiedział głośno do pielęgniarki:

– I dzisiaj już żadnych wizyt!

– Wiceminister wyjeżdża o piątej po południu – szepnął kwestor do Montalbana. – Niestety, biorąc pod uwagę polecenie ordynatora, nie będzie mógł pana odwiedzić.

Uśmiechnęli się do siebie.

Po kilku dniach odłączyli go od kroplówki i na szafce przy łóżku zainstalowali mu telefon. Jeszcze tego samego rana przyszedł Nicoló Zito, który wyglądał jak Święty Mikołaj.

– Przyniosłem ci telewizor, wideo i kasetę. A także gazety, które o tobie pisały.

– Co jest na kasecie?

– Nagrałem i zmontowałem wszystkie te idiotyzmy, które o tobie wygadywałem. Nie oszczędziłem ci też tego, co mówili o wydarzeniu dziennikarze Telegaty i innych telewizji.

– Halo, Salvo? To ja, Mimi. Jak się dzisiaj czujesz?

– Dziękuję, lepiej.

– Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że zamordowali naszego przyjaciela Ingrassię.

– Spodziewałem się tego. Kiedy to się stało?

– Dziś rano. Zastrzelili go, kiedy jechał samochodem do miasta. Dwóch facetów na potężnym motocyklu. Agent, który śledził Ingrassię, próbował udzielić mu pomocy, ale niewiele mógł zdziałać. Posłuchaj, Salvo, jutro rano wpadnę do ciebie. Musisz mi zrelacjonować, oficjalnie, wszystkie szczegóły strzelaniny.

Nie tyle z ciekawości, ile dla zabicia czasu poprosił Livię, żeby włączyła kasetę. W Televigacie szwagier Galluzza oddawał się fantazjom godnym scenarzysty *Poszukiwaczy zaginionej arki*. Według niego strzelanina była bezpośrednią konsekwencją odnalezienia w grocie dwóch zmumifikowanych zwłok. Jaka potworna i nieodgadniona tajemnica kryła się za tą dawną zbrodnią? Dziennikarz nie wstydził się przypomnieć mimochodem smutnego końca, jaki spotkał odkrywców egipskich grobowców, i powiązać tego z zamachem na komisarza.

Montalbano wybuchnął śmiechem, aż zakłuło go w boku.

Następnie pojawiła się twarz Pippa Ragonese, komentatora politycznego tej samej sieci, byłego komunisty, byłego chadeka, obecnie eksponowanego działacza partii odnowy. Bez ogródek Ragonese zadał pytanie: co robił komisarz Montalbano w towarzystwie alfonsa i handlarza narkotyków, z którym, jak głosiły pogłoski, łączyła go przyjaźń? Czy takie spotkania były zgodne z ładem moralnym, który powinien obowiązywać każdego funkcjonariusza państwowego? Czasy się zmieniły, podsumował surowo komentator, dzięki nowemu rządowi kraj oddycha nowym powietrzem i wszyscy muszą dotrzymać kroku przemianom. Dawne zachowania, stare zmowy muszą się skończyć raz na zawsze.

Z wściekłości Montalbana znowu zakłuło w boku, aż jęknął. Livia zerwała się i wyłączyła telewizor.

– I ty się przejmujesz słowami tego fiuta?

Pół godziny musiał prosić i błagać Livię, zanim uległa i włączyła telewizor. Komentarz Nicoló Zito był przyjazny, pełen wzburzenia, lecz racjonalny. Przyjazny dla przyjaciela, komisarza, któremu dziennikarz szczerze życzył powrotu do zdrowia, pełen wzburzenia, ponieważ mimo obietnic władzy mafia miała na wyspie pełną swobodę działania, racjonalny, gdyż powiązał aresztowanie Tana z odkryciem broni. Autorem tych dwóch potężnych ciosów wymierzonych w zorganizowaną przestępczość był Montalbano. Tym samym okazał się niebezpiecznym przeciwnikiem, którego należało usunąć za wszelką cenę. Zito wyśmiewał hipotezę, jakoby pułapka była zemstą dwojga sprofanowanych nieboszczyków: jakimi pieniędzmi mieliby opłacić zbrodniarzy – pytał – może przedawnionymi monetami, które znajdowały się w misie?

Potem znowu pojawił się dziennikarz Televigaty, który przeprowadził wywiad z Alcide Maraventano, nazwanym przy okazji specjalistą od okultyzmu. Były ksiądz miał na sobie sutannę połataną kawałkami materiału w różnych kolorach i ssał mleko przez smoczek. Na natarczywe pytania, które miały go skłonić do poświadczenia możliwych związków między zasadzką na komisarza a tak zwaną profanacją, z maestrią doświadczonego aktora odpowiedział zarazem twierdząco i przecząco, pozostawiając wszystkich w mglistej niepewności. Kasetą przygotowana przez Zita zakończyła się czołówką komentarza politycznego Ragonese. Tyle że po niej pojawił się nieznany dziennikarz i powiedział, że tego wieczoru jego kolega nie może stawić się w studio, ponieważ padł ofiarą brutalnego napadu. Nieznani bandyci pobili go i okradli minionej nocy, kiedy wracał do domu, wypełniwszy swoje obowiązki w Televigacie. Dziennikarz gwałtownie oskarżał siły porządkowe, które nie były już w stanie gwarantować obywatelom bezpieczeństwa.

– Dlaczego Zito chciał ci pokazać ten fragment, który cię nie dotyczy? – spytała naiwnie Livia, która pochodziła z Pomocy i pewnych podtekstów nie rozumiała.

Przesłuchiwał go Augello, a Tortorella protokołował. Komisarz powiedział, że chodził z Gege do szkoły, że przyjaźnił się z nim już od dzieciństwa i że ich przyjaźń przetrwała, nawet gdy znaleźli się po przeciwnych stronach barykady. Kazał zaprotokołować, że tego wieczoru Gege poprosił go o spotkanie, lecz zdołali zamienić tylko kilka słów, ledwie zdążyli się przywitać.

– Zaczął mówić o handlu bronią. Powiedział, że wpadło mu w ucho coś, co mogło mnie zainteresować. Ale nie miał już czasu mi tego wyjawić.

Augello udał, że mu wierzy, i Montalbano mógł zrelacjonować szczegółowo kolejne etapy strzelaniny.

– A teraz mów ty – powiedział do Mimi.

– Najpierw podpisz protokół – odparł Augello.

Montalbano podpisał, Tortorella się z nim pożegnał i wrócił do biura. Według Augella nie było dużo do opowiadania: samochód Ingrassii został wyprzedzony przez motocykl, człowiek na tylnym siedzeniu odwrócił się, otworzył ogień i po sprawie. Samochód wjechał do rowu.

– Chcieli uciąć suchą gałąź – skomentował Montalbano. I zaraz spytał z nutą melancholii, ponieważ czuł się niejako odsunięty od sprawy: – Co zamierzacie robić?

– Ludzie z Katanii, których powiadomiłem, obiecali, że nie będą spuszczać Brancata z oczu.

– Miejmy nadzieję – powiedział Montalbano.

Augello nie rozumiał, że powiadamiając kolegów z Katanii, podpisał

wyroku śmierci na Brancata.

– Kto to był? – spytał suchym tonem Montalbano po chwili milczenia.

– Niby kto?

– Popatrz.

Posługując się pilotem, pokazał mu fragment z informacją o napadzie na Ragonese. Mimi doskonale odegrał rolę kogoś, kogo niesłusznie się czepiają.

– Mnie o to pytasz? A poza tym to nie nasza sprawa, Ragonese mieszka w Montelusie.

– Niewiniątko, Mimi! Masz, possij paluszka!

I wyciągnął do niego mały palec jak do dziecka.

18

Po upływie tygodnia wizyty, uściski, telefony i gratulacje ustąpiły miejsca poczuciu osamotnienia i nudzie. Namówił Livię, żeby wróciła do swojej mediolańskiej kuzynki; nie było potrzeby, by marnowała urlop. Planowaną podróż do Kairu należało narazić odłożyć. Uzgodnili, że Livia przyjedzie, kiedy tylko komisarz wyjdzie ze szpitala, i dopiero wówczas postanowi, jak i gdzie spadzi pozostałe dwa tygodnie urlopu.

Szum wokół Montalbana i tego, co mu się przydarzyło, z czasem stawał się coraz dalszym echem, aż wreszcie całkiem ucichł. Jednak dzień w dzień Augello albo Fazio przychodzili, żeby dotrzymać mu towarzystwa. Nie siedzieli u niego długo, przekazywali tylko nowiny i opowiadali o postępach niektórych dochodzeń.

Co dzień rano, otwierając oczy, Montalbano obiecywał sobie, że porozmyśla, zastanowi się nad śmiercią ludzi z groty – nie wiadomo, kiedy znów przydarzy mu się taka sposobność, żeby poleżeć w spokoju i bez żadnych przeszkód oddać się logicznemu rozumowaniu, które mogłoby go jakoś oświecić czy natchnąć. Trzeba wykorzystać tę sytuację – myślał w duchu i puszczał się pamięcią w podróż po bezdrożach tej sprawy z taką samą energią, z jaką koń zrywa się do galopu. Ale po jakimś czasie czuł, że z galopu przechodzi w stęp, zaczyna ciężko człapać, aż w końcu stopniowo cały mózg i ciało ogarniało dziwne odrętwienie.

– To skutki ran – mówił do siebie.

Siadał w fotelu, brał gazetę albo tygodnik, lecz wystarczyło, że trafił na trochę dłuższy artykuł, a już się męczył, powieki zaczynały mu opadać, czuł, że się poci, i zapadał w sen.

Brygadier Fassio mówił że dziś wracacie do domu. Przyjmijcie wyrazy radości. Brygadier mówił że mam Was tszumać na diecie. Adelina.

Bilecik od gospodyni leżał na stole kuchennym i Montalbano natychmiast postanowił sprawdzić, co rozumiała przez słowo „dieta”: dwa świeżutkie dorsze, gotowe, żeby przyprawić je samą oliwą i cytryną. Odłączył wtyczkę telefonu; pragnął znów się zadomowić i nie chciał, by mu w tym przeszkadzano. Czekala na niego obfita korespondencja, lecz nie przeczytał ani jednego listu, ani jednej kartki. Zjadł i położył się.

Przed snem zadał sobie pytanie: skoro lekarze go zapewnili, że w pełni powróci do zdrowia, dlaczego czuł, że gardło zaciska mu smutek?

Przez pierwsze dziesięć minut prowadził ostrożnie, bardziej uważając na reakcje swojego biodra niż na to, co się działo na drodze. Następnie, widząc, że dobrze znosi wstrząsy, przyspieszył, wyjechał z Vigaty drogą prowadzącą do Montelusy, na skrzyżowaniu w Montaperto skręcił w lewo, pokonał kilka kilometrów, po czym dróżką z ubitej ziemi dotarł do niewielkiego placu, na którym wznosił się wiejski dom. Wysiadł z samochodu. Marianna, siostra Gege, która była ich wychowawczynią w szkole podstawowej, siedziała na wiklinowym krześle przy drzwiach i naprawiała koszyk. Kiedy zobaczyła komisarza, natychmiast pobiegła mu naprzeciw.

– Salvo, wiedziałam, że tu przyjedziesz.

– To pierwsza wizyta, jaką składam po wyjściu ze szpitala – oznajmił i ogarnął ją ramieniem.

Marianna rozplakała się, cicho, bezgłośnie, samymi łzami, i również jemu zaszkliły się oczy.

– Weź sobie krzesło – powiedziała.

Montalbano usiadł tuż przy Mariannie, która wzięła go za rękę i zaczęła głaskać mu dłoń.

– Cierpiał?

– Nie. Już podczas strzelaniny zorientowałem się, że Gege zginął na miejscu. Potem potwierdzili to lekarze. Myślę, że nawet nie zdążył zrozumieć, co się dzieje.

– To prawda, że zastrześliłeś tego, który strzelał do Gege?

– Tak.

– Bez względu na to, gdzie Gege jest, będzie z tego zadowolony.

Westchnęła, ujęła mocniej dłoń komisarza.

– Gege poszedłby za tobą w ogień.

Meu amigo de alma – Montalbanowi przypomniał się pewien tytuł.

– Ja za nim też – powiedział.

– Pamiętasz, jaki był z niego nicpoń?

Nicpoń, urwis, leń patentowany. Marianna wyraźnie nie miała na myśli ostatnich lat, jego trudnych związków z prawem, lecz te dawne czasy, kiedy jej młodszy brat był mały i krnąbrny.

Montalbano uśmiechnął się.

– Pamiętasz, jak wrzucił petardę do miedzianego kotła, a człowiek, który go naprawiał, zemdlał od huków?

– A jak wylał atrament z kałamarza do torebki nauczycielki, pani Longo?

Około dwóch godzin rozmawiali o Gege i jego wyczynach, zatrzymując się tylko na epizodach, które sięgały co najwyżej czasu dojrzenia.

– Zrobiło się późno, już pójdę – powiedział Montalbano.

– Zaprosiłabym cię, żebyś został ze mną na obiedzie, ale mam same ciężkostrawne rzeczy.

– Co przygotowałaś?

– *Attuppateddri* z sosem.

Attuppateddri, czyli mieszkańcy małych jasnobrązowych muszli, zapadając w letarg, wydzielają śluz, który twardnieje, staje się białą błoną i zamyka, wręcz barykaduje, wejście do muszli. Na samą myśl o nich Montalbana zemdliło i miał ochotę odmówić. Lecz jak długo jeszcze będzie go prześladować ta obsesja? Przeprowadził chłodną kalkulację i postanowił przyjąć zaproszenie, żeby rzucić wyzwanie jednocześnie żołądkowi i psychice. Siedząc nad talerzem, z którego unosił się delikatny zapach barwy ochry, musiał się zmusić do jedzenia, ale wyciągnąwszy szpilką pierwszego ślimaka i spróbował, od razu poczuł się wyzwolony: znikła obsesja, odczarował się smutek, nie było wątpliwości, że odżyje również żołądek.

W biurze utonął w objęciach. Tortorella nawet uronił łzę.

– Dobrze wiem, co to znaczy: wrócić po tym, jak człowiek oberwał kulę!

– Gdzie jest Augello?

– W pańskim gabinecie – powiedział Catarella.

Bez pukania otworzył drzwi, a Mimi poderwał się z krzesła za biurkiem, jak gdyby przyłapano go na kradzieży. Poczzerwieniał.

– Niczego nie ruszałem. Tylko że stąd telefony...

– Bardzo dobrze zrobiłeś, Mimi – uciął Montalbano, tłumiąc ochotę, żeby skopać tyłek facetowi, który ośmielił się usiąść na jego krześle.

– Jeszcze dziś miałem odwiedzić cię w domu – powiedział Augello.

– Po co?

– Żeby ustalić ochronę.

– Czyją?

– Jak to czyją? Twoją. Wcale nie jest powiedziane, że tamci nie spróbują

ponownie. Mogą nie dać za wygraną.

– Mylisz się, już nic więcej mi się nie przydarzy. Ponieważ, Mimi, to przez ciebie do mnie strzelano.

Augello oblał się takim rumieńcem, jak gdyby wsadzono mu w tyłek wtyczkę przewodu wysokiego napięcia. Zaczął drżeć. W końcu chyba cała krew gdzieś mu odpłynęła, bo pobladł jak nieboszczyk.

– Co też ci przychodzi do głowy? – wybełkotał.

Montalbano uznał, że wystarczająco się zemścił za przywłaszczenie biurka.

– Spokojnie, Mimi. Niezręcznie się wyraziłem. Chciałem powiedzieć, że to ty uruchomiłeś mechanizm, który sprawił, że do mnie strzelano.

– Mów jaśniej – poprosił Augello, osunął się na krzesło i otarł sobie chusteczką usta i czoło.

– Mój drogi, bez konsultacji ze mną, bez pytania, czy zgadzam się na to, czy nie, kazałeś śledzić Ingrassię. I co, myślałeś, że on jest taki głupi, żeby się nie zorientować? Wystarczyło najwyżej pół dnia, by zauważył, że mu depczesz po piętach. Miał jednak uzasadnione podejrzenia, że to ja wydałem polecenie. Zdawał sobie sprawę z tego, że popełnił mnóstwo błędów, za które wystawiłem go na cel, i wówczas, żeby się zrehabilitować w oczach Brancata, który zamierzał go zlikwidować – sam mi opowiedziałeś treść ich rozmowy telefonicznej – opłacił dwóch sukinsynów, żeby mnie rozwalili. Tyle że plany diabli wzięli. Wtedy Brancato, albo ktoś w jego imieniu, miał już powyżej uszu Ingrassii i jego niebezpiecznych porywów geniuszu, z niepotrzebnym zabójstwem biednego Misuraki na czele, i zadbał o to, żeby szef supermarketu zniknął z powierzchni ziemi. Gdybyś nie zaniepokoił Ingrassii, Gege wciąż jeszcze byłby wśród żywych, a mnie nie bolałoby biodro. To wszystko.

- Cóż, jeżeli sprawy tak się mają... – powiedział skruszony Mimi.
- Mają się tak, jak mówię. Możesz śmiało założyć się o własną dupę.

Samolot wyhamował bardzo blisko budynku, pasażerowie nie musieli wsiadać do autokaru. Montalbano widział, jak Livia schodzi po trapie i z pochyloną głową kieruje się do wejścia. Skrył się w tłumie, popatrzył na Livię, która po długim oczekiwaniu podniosła bagaż z taśmy, położyła go na wózkach i ruszyła w stronę postoju taksówek. Poprzedniego wieczoru umówili się telefonicznie, że z Palermo uda się pociągiem do Montelusy, a on tylko przyjedzie po nią na dworzec. Tymczasem postanowił sprawić jej niespodziankę, pojawiając się już na lotnisku Punta Raisi.

- Czy jest pani sama? Mogę podwieźć?

Livia, która szła do pierwszej taksówki w szeregu, zatrzymała się raptownie i krzyknęła:

- Salvo!

Szczęśliwi, padli sobie w ramiona.

- Wyglądasz bosko!

– Ty również – powiedział Montalbano. – Obserwuję cię już od pół godziny, odkąd wysiadłaś z samolotu.

- To dlaczego od razu się nie pokazałaś?

- Lubię patrzeć, jak egzystujesz beze mnie.

W samochodzie Montalbano natychmiast ją przytulił, pocałował, położył dłoń na jej piersi, pochylił głowę, otarł się policzkiem o kolana i brzuch.

– Jedźmy stąd – powiedziała Livia, ciężko oddychając. – W przeciwnym razie aresztują nas za obrazę moralności.

W drodze do Palermo komisarz złożył jej propozycję, która dopiero co zrodziła mu się w głowie.

– Zatrzymajmy się w mieście. Chciałbym pokazać ci targ w Vuccirii.

– Już widziałam. Guttuso.

– Ten obraz to kit, uwierz mi. Wynajmiemy pokój w hotelu, pochodzimy po mieście, pójdziemy na Vuccirię, prześpiemy się i jutro rano pojedziemy do Vigaty. I tak nie mam nic do roboty, mogę uważać się za turystę.

Kiedy przyjechali do hotelu, zrezygnowali z planu, zgodnie z którym mieli się tylko odświeżyć i wyjść. Nie wyszli, kochali się i zasnęli. Obudzili się po kilku godzinach i znów się kochali. Kiedy wyszli z hotelu, był już wieczór. Ruszyli w kierunku Vuccirii. Livię ogłuszyły odgłosy targu, czuła się zagubiona; nie rozumiała słów zachęty, okrzyków przekupek, języka. Zdumiewały ją sprzeczności, nagłe kłótnie, kolory tak jaskrawe, że wydawały się sztuczne, jak spod pędzla malarza. Woń świeżej ryby mieszała się z zapachem mandarynek, z oparami smażeniny i meusy, czyli jagnięcych flaków, gotowanych i posypanych wędzonym serem, a całość tworzyła niepowtarzalny, niemal magiczny miszmasz. Montalbano zatrzymał się przed sklepikiem z używaną odzieżą.

– Podczas studiów przychodziłem tutaj, żeby jeść chleb z meusą, który dzisiaj zwyczajnie rozwaliłby mi wątrobę. A ten sklep stanowił unikat na skalę światową. Teraz sprzedają w nim używane ubrania, lecz wtedy wszystkie szuflady były puste; właściciel, don Cesarino, siedział sobie za gołą ladą i przyjmował klientów.

– Jakich klientów? Przecież szuflady były puste!

– Nie były zupełnie puste, były... jak by to powiedzieć... pełne intencji, zachcianek. Ten człowiek sprzedawał rzeczy kradzione na zamówienie. Szłaś do don Cesarina i mówiłaś: potrzebuję takiego to a takiego zegarka, albo: potrzebuję obrazu, jakiegokolwiek, na przykład dziewiętnastowiecznego pejzażu morskiego, albo: muszę mieć taki to a taki pierścionek. On

przyjmował zamówienie, zapisywał je na papierze, takim żółtym i chropowatym, jakiego wówczas używano w cukierniach, uzgadniał cenę i mówił, kiedy masz się stawić po odbiór. O umówionej godzinie, bez najmniejszego poślizgu, wyciągał spod lady i wręczał ci zamówiony towar. Reklamacji nie uwzględniał.

– Nie rozumiem. Po co mu był ten sklep? Przecież taki zawód mógł wykonywać gdziekolwiek, w kawiarni, na rogu ulicy...

– Czy wiesz, jak go nazywali przyjaciele z Vuccirii? Don Cesarino kupiec. Ponieważ don Cesarino nie uważał się ani za złodzieja, ani za pasera – był handlowcem, takim jak wielu innych, a świadczył o tym sklep, który utrzymywał, opłacając czynsz i elektryczność. To nie była fasada, przykrywka.

– Wszyscy jesteście nienormalni.

– Jak syna! Proszę pozwolić, że obejmę pana jak syna! – wykrzyknęła żona dyrektora, przytulając go do piersi.

– Nie ma pan pojęcia, jak bardzo się o pana martwiliśmy! – dodał dyrektor.

Zadzwoił rano i zaprosił komisarza na kolację. Montalbano odmówił, proponując spotkanie po południu. Wprowadzili go do salonu.

– Przejdźmy od razu do rzeczy, nie zabierzemy panu wiele czasu – zaczął Burgio.

– Mam bardzo dużo czasu, jestem chwilowo bezrobotny.

– Kiedy był pan u nas na kolacji, moja żona powiedziała, że nazywam ją fantastyczną żoną. I kiedy tylko pan wyszedł, nagle zaczęła fantazjować. Chcieliśmy zadzwonić do pana wcześniej, ale zdarzyło się to całe nieszczęście.

– A może sam pan komisarz oceni, czy to tylko fantazja – powiedziała

niecو dotknęta pani domu i podjęła polemikę: – Więc które z nas w końcu ma mówić?

– To ty się znasz na fantazjach.

– Nie wiem, czy pan jeszcze pamięta, lecz kiedy pytał pan mojego męża, gdzie jest teraz Lilio Rizzitano, on odpowiedział, że nie ma o nim żadnych wiadomości od lipca czterdziestego trzeciego roku. Wtedy coś przyszło mi do głowy. Że w tym samym czasie zniknęła również moja przyjaciółka, a raczej że dała o sobie znać później, i to w dziwny sposób, który...

Montalbano poczuł, że po plecach przechodzi mu dreszcz. Ci dwoje z groty zostali zamordowani, kiedy byli bardzo młodzi.

– Ile lat miała ta pani przyjaciółka?

– Siedemnaście. Ale była znacznie dojrzałsza ode mnie, ja przy niej wyglądałam na dziecko. Chodziłyśmy razem do szkoły.

Wzięła kopertę, która leżała na stoliku, wyciągnęła z niej fotografię i pokazała Montalbanowi.

– To zdjęcie zrobiliśmy sobie w ostami dzień szkoły, na zakończenie trzeciej klasy liceum. Stoimy w ostatnim rzędzie – ona to ta pierwsza z lewej, a ja to ta obok.

Wszystkie dziewczęta pozowały do zdjęcia z uśmiechami na twarzach, w faszystowskich mundurkach organizacji Młode Włoszki. Profesor wyciągał rękę w geście rzymskiego pozdrowienia.

– W związku z przerażającą sytuacją, jaka panowała na wyspie wskutek bombardowań, szkoły zostały zamknięte ostatniego dnia kwietnia, a nam zaoszczędzono potwornego egzaminu maturalnego. Czy ktoś zdał, czy nie, o tym decydowały oceny. Lisetta – tak miała na imię moja przyjaciółka, nosiła nazwisko Moscato – przeniosła się z rodziną do miasteczka w głębi wyspy. Pisywała nieregularnie, mam wszystkie jej listy, o ile wszystkie do

mnie doszły. Wie pan, w tamtych latach poczta... Także i ja przeprowadziłam się z rodziną, pojechaliśmy aż na półwysep, do mojego stryja. Kiedy wojna się skończyła, napisałam do przyjaciółki i wysłałam list pod dwoma adresami, zarówno w tamtej miejscowości, jak i w Vigacie. Nigdy nie otrzymałam odpowiedzi, co mnie zmartwiło. Wreszcie, pod koniec czterdziestego szóstego roku, wróciliśmy do Vigaty. Poszłam odwiedzić rodziców Lisetty. Jej matka zmarła, ojciec najpierw unikał spotkania ze mną, potem źle mnie przyjął; powiedział, że Lisetta zakochała się w amerykańskim żołnierzu i odeszła z nim wbrew woli rodziny. Dodał, że dla niego córka jak gdyby nie żyła.

– Prawdę mówiąc, ta historia wydaje mi się mało prawdopodobna – powiedział Montalbano.

– A nie mówiłem? – wtrącił dyrektor, korzystając z okazji do odwetu.

– Zaraz, komisarzu, sprawa i tak wydawała się dziwna, nawet jeżeli nie brać pod uwagę tego, co wydarzyło się później. Dziwna choćby dlatego, że Lisetta, gdyby nawet zakochała się w amerykańskim żołnierzu, to w jakiś sposób by mnie o tym zawiadomiła. A na dodatek w listach wysyłanych z Serradifalco, jak nazywała się miejscowość, do której wyjechała z rodziną, wciąż powracała do tego samego tematu: do udręki, jaką cierpiała z dala od swej niszczącej, tajemniczej miłości. Od chłopca, którego imienia nigdy nie chciała mi wyjawić.

– Jesteś pewna, że ta tajemnicza miłość naprawdę istniała? Czy to nie mogło się zrodzić w jej młodszej wyobraźni?

– Lisetta nie należała do ludzi, którzy oddają się fantazji.

– Wie pani – powiedział Montalbano – jeśli ktoś ma siedemnaście lat, a nawet więcej, nie sposób ręczyć głową za stałość uczuć.

– A widzisz? A ty ciągle swoje – nie ustępował dyrektor.

Kobieta bez słowa wyciągnęła z koperty następną fotografię. Widać było na niej dziewczynę w ślubnym stroju i ubranego w amerykański mundur ładnego chłopca, który trzymał ją za rękę.

– To zdjęcie zostało wysłane z Nowego Jorku na początku czterdziestego siódmego roku. Tak było na stemplu.

– I to rozprasza resztki wątpliwości, przynajmniej tak mi się wydaje – podsumował dyrektor.

– Ach, nie, raczej budzi wątpliwości.

– W jakim sensie, proszę pani?

– Ponieważ w kopercie była tylko ta fotografia, tylko to zdjęcie Lisetty z żołnierzem, natomiast żadnego listu, niczego. I nawet na odwrocie fotografii nie ma ani słowa komentarza, może pan sprawdzić. A więc czy może mi pan wytłumaczyć, dlaczego prawdziwa przyjaciółka, bliska osoba, przesłała mi samo zdjęcie, bez słowa?

– Czy rozpoznała pani charakter pisma przyjaciółki na kopercie?

– Adres był napisany na maszynie.

– Ach – mruknął Montalbano.

– I chcę panu powiedzieć jeszcze jedno: Elisa Moscato była kuzynką Lilia Rizzitano. A Lilio bardzo ją kochał, jak młodszą siostrę.

Montalbano spojrzał na dyrektora.

– Uwielbiał ją – potwierdził Burgio.

19

Im bardziej się nad tym zastanawiał, im bardziej wokół tego krążył, im bardziej się o to ocierał, tym bardziej był przekonany, że jest na właściwej drodze. Nawet nie potrzebował tradycyjnego spaceru medytacyjnego na koniec mola. Kiedy więc wyszedł z domu państwa Burgio ze zdjęciem ślubnym w kieszeni, od razu skierował się do Montelusy.

– Czy jest doktor?

– Tak, ale pracuje, zawiadomię go, że pan przyszedł – powiedział strażnik.

Pasquano i dwaj asystenci stali przy marmurowym podeście, na którym leżał nagi nieboszczyk z wytrzeszczonymi oczami. I nie bez racji wybałuszał je ze zdziwienia, skoro tamci trzej pili z plastikowych kubków szampana. Lekarz trzymał butelkę.

– Proszę się przyłączyć, właśnie świętujemy.

Montalbano podziękował asystentowi, który podał mu kubek, a Pasquano nalał mu nieco szampana.

– Za czyje zdrowie? – spytał komisarz.

– Za moje. To moja tysięczna autopsja.

Montalbano wypił, oddalił się z lekarzem i pokazał mu zdjęcie.

– Czy dziewczyna z groty mogła wyglądać jak ta na fotografii?

– Niech pan nie zawraca dupy – odparł łagodnie Pasquano.

– Przepraszam – powiedział komisarz.

Obrócił się na pięcie i wyszedł. Ale z niego kutas! Z niego samego, nie z lekarza. Dał się ponieść entuzjazmowi i pojechał do Pasquana, żeby zadać

najgłępsze pytanie pod słońcem. W laboratorium nie poszło mu lepiej.

- Czy jest Jacomuzzi?
- Nie, ma spotkanie z panem kwestorem.
- Kto jest w laboratorium fotograficznym?
- De Francesco, w suterenie.

De Francesco patrzył na zdjęcie, jak gdyby dotychczas nie miał pojęcia, że istnieje możliwość zatrzymywania obrazów na światłoczułej kliszy.

- Czego pan chce?
- Dowiedzieć się, czy to nie fotomontaż.
- Ach, to nie moja działka. Ja znam się tylko na robieniu i wywoływaniu zdjęć. Bardziej skomplikowane rzeczy posyłamy do Palermo.

Potem jednak koło ruszyło we właściwym kierunku i zaczęła się szczęśliwa seria. Zadzwonił do fotografa z czasopisma, które zamieściło recenzję książki Maraventana. Zapamiętał wtedy jego nazwisko.

- Proszę wybaczyć, jeśli przeszkadzam, czy rozmawiam z panem Contino?
- Tak, to ja, kto mówi?
- Komisarz Montalbano. Chciałbym się z panem zobaczyć.
- Miło mi będzie pana poznać. Może pan przyjść nawet teraz.

Fotograf mieszkał w starej części Montelusy, w jednym z domów ocalałych po osunięciu ziemi, kiedy to znikła cała dzielnica o arabskiej nazwie.

– Prawdę mówiąc, nie zajmuję się zawodowo fotografowaniem, robię tylko dla przyjemności; na co dzień uczę w liceum. Jestem do pańskiej dyspozycji.

- Czy potrafiłby pan powiedzieć, czy to zdjęcie to fotomontaż?

– Mogę spróbować – powiedział Contino, przyglądając się fotografii. – Czy pan wie, kiedy zostało wykonane?

– Podobno około czterdziestego szóstego roku.

– Proszę przyjść pojutrze.

Montalbano bez słowa pochylił głowę.

– To pilne? Zatem zrobmy inaczej. Mniej więcej za dwie godziny mogę panu udzielić wstępnej odpowiedzi, lecz potem muszę to potwierdzić.

– Zgoda.

Te dwie godziny spędził w galerii, gdzie otwarto właśnie wystawę prac siedemdziesięcioletniego malarza, który był przywiązany do stylu retorycznego, ale potrafił również zaintrygować żywym, intensywnym kolorem. Montalbano patrzył na płótna z roztargnieniem, ponieważ z rosnącym niepokojem czekał na odpowiedź Contina i co pięć minut spoglądał nerwowo na zegarek.

– A więc?

– Właśnie skończyłem. Według mnie to jednak fotomontaż. Zresztą świetny.

– Po czym pan tak sądzi?

– Po cieniach w tle. Głowa dziewczyny została wklejona na miejsce głowy prawdziwej panny młodej.

Montalbano niczego mu przecież nie mówił. Nie uprzedzał go ani nie naprowadzał na to rozwiązanie.

– Powiem więcej: twarz dziewczyny była retuszowana.

– W jakim znaczeniu?

– A w tym, że została jakby trochę postarzona.

– Czy mogę dostać zdjęcie z powrotem?

– Oczywiście, mnie już nie jest potrzebne. Myślałem, że to będzie trudniejsze. Na szczęście można zrezygnować z potwierdzenia.

– Naprawdę bardzo mi pan pomógł.

– Tylko, panie komisarzu, moja opinia jest całkowicie prywatna, ma się rozumieć. Nie ma żadnej wartości prawnej.

Kwestor przyjął go od razu, i to z otwartymi ramionami.

– Co za miła niespodzianka! Ma pan trochę czasu? Czy może pan pojechać ze mną do domu? Spodziewam się telefonu od syna. Moja żona będzie naprawdę szczęśliwa, widząc pana.

Syn kwestora, Massimo, był lekarzem i należał do organizacji wolontariuszy. Jej członkowie określali się jako „lekarze bez granic” i jeździli do krajów, w których szalała wojna; wykonywali swoją pracę najlepiej, jak tylko umieli.

– Mój syn jest pediatrą, pan wie? Aktualnie przebywa w Rwandzie. Szczerze się o niego martwię.

– Tam wciąż jeszcze trwają walki?

– Nie chodzi o walki. Za każdym razem, kiedy udaje mu się zadzwonić, słyszę, że jest coraz bardziej przerażony, coraz bardziej to przeżywa.

Kwestor zamilkł. I tylko po to, żeby odwrócić jego uwagę od zmartwień, Montalbano poinformował go o swoim odkryciu.

– Jestem pewien na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że znam imię i nazwisko dziewczyny znalezionej w grocie.

Kwestor nie powiedział ani słowa, tylko otworzył usta ze zdziwienia.

– Nazywała się Elisa Moscato, miała siedemnaście lat.

– Jak pan do tego doszedł?

Montalbano wszystko mu opowiedział.

Żona kwestora ujęła go za rękę jak dziecko i poprosiła, żeby usiadł na kanapie. Rozmawiali przez chwilę, po czym komisarz wstał, oznajmiając, że jest umówiony i musi już iść. To nie była prawda, po prostu chciał wyjść, zanim zadzwoni telefon. Kwestor i jego żona powinni cieszyć się sami dalekim głosem syna, nawet jeśli słowa miały być naznaczone udręką, cierpieniem. Usłyszał dzwonek telefonu, kiedy był już za drzwiami.

– Jak pani widzi, dotrzymałem słowa. Odnoszę zdjęcie.

– Proszę, niech pan wejdzie.

Pani Burgio odsunęła się, żeby go wpuścić.

– Kto to? – z jadalni doszedł podniesiony głos dyrektora.

– To komisarz.

– Ależ wpuść go do środka! – ryknął, jak gdyby żona odmówiła gościowi wstępu.

Właśnie jedli kolację.

– Czy mogę nakryć dla pana? – spytała zachęcająco gospodyni. I nie czekając na odpowiedź, postawiła talerz.

Montalbano usiadł, a pani Burgio nalała mu zupy rybnej, o intensywnym smaku, jak Pan Bóg przykazał, urozmaiconym natką.

– I doszedł pan do czegoś? – zapytała, nie zważając na złowrogie spojrzenie męża, który uznał jej ciekawość za niestosowną.

– Niestety, tak. Obawiam się, że to fotomontaż.

– Mój Boże! A więc ktoś, kto mi przysłał to zdjęcie, chciał mnie zmylić!

– Tak, myślę, że miał właśnie taki zamiar: postawić kres pani pytaniom o Lisette.

– I widzisz, że miałam rację?! – prawie wykrzyknęła do męża i wybuchnęła płaczem.

– I dlaczego płaczesz? – spytał dyrektor.

– Ponieważ Lisetta umarła, a chcieli, bym myślała, że żyje, że jest szczęśliwa i ma męża!

– Wiesz, to może sama Lisetta...

– Nie opowiadaj głupstw! – ucięła kobieta, rzucając serwetkę na stół.

Zapadła kłopotliwa cisza. Po chwili żona dyrektora znów się odezwała.

– Umarła, prawda, panie komisarzu?

– Obawiam się, że tak.

Kobieta wstała i wyszła z jadalni, zakrywając twarz rękami, a kiedy tylko znalazła się za drzwiami, wydała z siebie żalony lament.

– Przykro mi – powiedział komisarz.

– Sama jest sobie winna – odrzekł niewzruszony dyrektor, podtrzymując swoje stanowisko w małżeńskiej dyskusji.

– Proszę pozwolić, że spytam. Czy jest pan pewny, że Lilia i Lisette łączył tylko ten rodzaj uczucia, o którym mi państwo wspomnieli?

– Nie rozumiem.

Montalbano postanowił zapytać wprost.

– Czy wyklucza pan, że Lilio i Lisetta byli kochankami?

Dyrektor wybuchnął śmiechem i odpędził sugestię komisarza ruchem ręki.

– Proszę posłuchać. Lilio był zakochany po uszy w pewnej dziewczynie z Montelusy, która nie otrzymała od niego żadnej wiadomości od lipca czterdziestego trzeciego roku. I nie może być nieboszczykiem z groty, a to z tego prostego powodu, że rolnik, który widział, jak ranny został załadowany na ciężarówkę i wywieziony przez żołnierzy nie wiadomo dokąd, był uczciwym i poważnym człowiekiem.

– A więc – podsumował Montalbano – wszystko to oznacza tylko jedno: to

nieprawda, że Lisetta uciekła z amerykańskim żołnierzem. Czyli ojciec Lisetty opowiedział pańskiej żonie bzdurę. Skłamał. Kim był ojciec Lisetty?

– O ile pamiętam, miał na imię Stefano.

– Żyje?

– Nie. Umarł w późnym wieku jakieś pięć lat temu.

– Co robił?

– Chyba handlował drewnem. Ale w naszym domu nie rozmawiało się o Stefanie Moscato.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie był przyzwoitą osobą. Popadł w konflikt ze swoimi krewnymi Rizzitano, czy to jasne? Miał problemy z prawem, nie wiem, jakiego rodzaju. W tamtych czasach w porządnych, uczciwych rodzinach nie rozmawiało się o takich ludziach. To byłoby tak, jakby mówić, za przeproszeniem, o gównie.

Wróciła pani Burgio. Miała zaczerwienione oczy i trzymała poórkłą kartkę.

– To ostatni list, jaki otrzymałam od Lisetty, kiedy byłam z rodziną w Acquapendente.

Serradifalco, 10 czerwca 1943

Droga moja Angelino, jak się miewasz? A jak tam Twoja rodzina? Nie masz pojęcia, jak bardzo Ci zazdroszczę: Twojego życia na Północy nie można w żaden sposób porównać z więzieniem, w którym ja ciągle przebywam. Nie myśl, że przesadzam. Oprócz nieznośnej kontroli taty jest jeszcze monotonne i głupie życie wioski, na którą składa się kilka domów. Ubiegłej niedzieli, kiedy wychodziłam z kościoła, pomachał mi jakiś

miejscowy chłopak. Tata to zauważył, odwołał go na bok i uderzył w twarz. Można zwariować! Jedyna moja rozrywka to książki. Jedyнным moim przyjacielem jest Andreuccio, dziesięcioletni syn krewnych. Bystry malec. Czy pomyślałaś kiedyś, że dzieci mogą być bardziej dowcipne od nas?

Od kilku dni, moja Angelino, żyję w rozpacz. Otrzymałam, w tak skomplikowany sposób, że za długo musiałabym Ci o tym opowiadać, króciutki liścik od Niego, od Niego, od Niego. Píše, że jest zrozpaczony, że już nie może beze mnie wytrzymać, że po dłuższym pobycie w Vigacie otrzymali rozkaz opuszczenia miasta w ciągu kilku dni. Nie umiem żyć bez niego. Zanim zniknie, muszę, muszę, muszę spędzić z nim kilka godzin, nawet za cenę jakiegoś szaleństwa. O wszystkim Cię powiadomię, a tymczasem bardzo mocno Cię ściskam. Twoja

Lisetta

– A więc nigdy się pani nie dowiedziała, kim on był? – spytał komisarz.

– Nie. Nie chciała mi powiedzieć.

– I nie dostała pani już następnych listów?

– Pan żartuje? To w ogóle cud, że otrzymałam ten jeden. W tamtych dniach Cieśnina Mesyńska była zamknięta, bombardowali ją bez przerwy. Następnie, dziewiątego lipca, wylądowali Amerykanie i połączenia zostały definitywnie zerwane.

– Przepraszam, ale czy pani pamięta adres, pod jakim przyjaciółka mieszkała w Serradifalco?

– Oczywiście. U rodziny Sorrentino, via Crispi osiemnaście.

Miał już włożyć klucz do zamka, lecz zatrzymał się zaniepokojony. Z wnętrza domu dobiegały głosy i hałasy. Pomyślał, że powinien wrócić do samochodu i wziąć pistolet, ale tego nie zrobił. Ostrożnie otworzył drzwi, bez

najmniejszego szmeru.

I nagle zorientował się, że całkowicie zapomniał o Livii, która nie wiadomo od jak dawna na niego czekała.

Godzili się pół nocy.

O siódmej rano wstał wypoczęty, wykręcił numer telefonu i powiedział cicho:

– Fazio? Musisz wyświadczyć mi przysługę. Musisz powiedzieć, że jesteś chory.

– Nie ma problemu.

– Do wieczora chcę wiedzieć wszystko o życiu, śmierci i cudach niejakiego Stefana Moscato, zmarłego tutaj, w Vigacie, jakieś pięć lat temu. Popytaj w mieście, sprawdź w kartotece i gdzie ci się tylko podoba. To ważne.

– Załatwione.

Odłożył słuchawkę, wziął kartkę i długopis i zaczął pisać.

Kochana, muszę jechać, ponieważ mam pilną sprawę, a nie chcę Cię budzić. Wrócę do domu na pewno zaraz po południu. Radzę Ci, wezwij taksówkę i jedź zobaczyć świątynie. Wciąż są wspaniałe. Całuję.

Wymknął się jak złodziej – gdyby Livia otworzyła oczy, doszłoby do nie lada awantury.

Droga do Serradifalco zajęła mu półtorej godziny, dzień był pogodny, komisarz nawet pogwizdywał sobie po drodze, zadowolony. Przypomnił sobie psa Kajfasza, który należał do jego ojca – błąkał się po całym domu zniechęcony i melancholijny, lecz ożywiał się, kiedy tylko widział, że jego

pan przygotowuje naboje, a następnie zamieniał się w kłębek czystej energii, gdy wychodzili na polowanie. Komisarz natychmiast odnalazł via Crispi, gdzie numerowi osiemnastemu odpowiadał dwupiętrowy dom z dziewiętnastego wieku. Był tam dzwonek z napisem „Sorrentino”. Sympatyczna, mniej więcej dwudziestoletnia dziewczyna spytała, o co chodzi.

– Chciałbym się spotkać z panem Andrea Sorrentino.

– To mój ojciec, nie ma go w domu, może go pan zastać w ratuszu.

– Pracuje tam?

– I tak, i nie. Jest burmistrzem.

– Oczywiście, że pamiętam Lisette – powiedział Andrea Sorrentino. Nie wyglądał na sześćdziesiąt lat, miał tylko nieliczne siwe włosy i przyspieszony oddech. – A dlaczego pan mnie o nią pyta?

– To bardzo dyskretne dochodzenie. Przykro mi, nie mogę niczego panu powiedzieć. Proszę jednak uwierzyć, że każda informacja będzie dla mnie niezwykle cenna.

– No dobrze, komisarzu. Otóż mam piękne wspomnienia związane z Lisette, chodziliśmy na długie spacery wśród pól, a ja przy niej czułem się dumny i dorosły. Traktowała mnie jak swojego rówieśnika. Kiedy jej rodzina wyjechała z Serradifalco i wróciła do Vigaty, nie miałem już od niej bezpośrednio żadnych wiadomości.

– Dlaczego?

Burmistrz zawahał się na moment.

– No cóż, powiem panu, ponieważ to już dawno minione dzieje. Podejrzewam, że mój ojciec i ojciec Lisetty śmiertelnie się pokłócili, mieli jakąś awanturę. Pod koniec sierpnia czterdziestego trzeciego roku ojciec

wrócił do domu roztrzęsiony. Był w Vigacie, żeby spotkać się z wujkiem Stefano – jak go nazywałem – nie wiem, z jakiego powodu. Wrócił blady, miał gorączkę, pamiętam, że mama bardzo się przestraszyła, więc ja oczywiście też się bałem. Nie wiem, co się wydarzyło, ale następnego dnia, przy stole, ojciec powiedział stanowczo, że w naszym domu nie można już nawet wymieniać nazwiska Moscato. Posłuchałem, choć bardzo chciałem zapytać go o Lisettę. Wie pan, te potworne kłótnie, do jakich dochodzi pomiędzy krewnymi...

– Czy pan pamięta amerykańskiego żołnierza, którego Lisetta poznała tutaj?

– Tutaj? Amerykańskiego żołnierza?

– Tak. Przynajmniej tak zrozumiałem. W Serradifalco poznała amerykańskiego żołnierza, zakochali się, ona za nim pojechała i jakiś czas później pobrali się w Ameryce.

– O tej historii z małżeństwem słyszałem co nieco, ponieważ jedna z moich ciotek, siostra mojego ojca, otrzymała zdjęcie, na którym była Lisetta w sukni ślubnej i jakiś amerykański żołnierz.

– A więc dlaczego pan się teraz zdziwił?

– Zdziwiłem się, że pan mówi, że Lisetta poznała Amerykanina tutaj. Widzi pan, kiedy Amerykanie zajęli Serradifalco, Lisetty nie było w naszym domu już od co najmniej dziesięciu dni.

– Co też pan mówi?

– A i owszem. Któregoś dnia, około trzeciej lub czwartej po południu, zobaczyłem, jak Lisetta przygotowuje się do wyjścia. Spytałem, dokąd pójdziemy na spacer. Odpowiedziała, że bym się nie obrażał, lecz tego dnia woli iść na spacer sama. Obraziłem się, i to śmiertelnie. Wieczorem Lisetta nie wróciła na kolację. Wuj Stefano, mój ojciec i kilku chłopów wyszli, żeby

jej szukać, ale nie znaleźli. Przeżyliśmy straszne godziny, wszędzie kręcili się włoscy i niemieccy żołnierze, dorośli myśleli, że została zgwałcona... Następnego dnia po południu wujek Stefano pożegnał się z nami i powiedział, że nie wróci, dopóki nie odnajdzie córki. W naszym domu pozostała matka Lisetty, biedna, załamana kobieta. Potem wylądowali Amerykanie, a my zostaliśmy odcięci od frontu. Tego samego dnia, kiedy przeszedł front, Stefano Moscato wrócił po żonę, powiedział, że odnalazł Lisette w Vigacie, że ucieczka była dziecinadą. Tak więc sam pan widzi, że Lisetta nie mogła poznać swojego przyszłego męża tutaj, w Serradifalco, lecz raczej w Vigacie, w swoim mieście.

20

Wiem, że świątynie są wspaniałe. Odkąd Cię poznałam, byłam zmuszona obejrzeć je chyba pięćdziesiąt razy, więc możesz je sobie wsadzić, kolumna za kolumną, w odpowiednie miejsce. Idę swoją drogą. Nie wiem, kiedy wrócę.

Liścik od Livii był przesycony wściekłością. Montalbano jakoś to przełknął. W drodze powrotnej z Serradifalco poczuł wilczy głód, więc natychmiast otworzył lodówkę: nic. Otworzył piecyk: nic. Sadyzm Livii, która nie chciała widzieć pomocy domowej podczas swojego pobytu w Vigacie, posunął się wręcz do tego, że przeprowadziła gruntowne porządki, nie pozostawiając nawet przylepki chleba. Wrócił do samochodu i pojechał do gospody „San Calogero”, gdzie właśnie zasuwano żaluzje.

– Dla pana jest zawsze otwarte, komisarzu.

Z głodu i pragnienia zemsty zamówił sobie obiad, który mógł się dla niego skończyć interwencją lekarza.

– Jedno zdanie daje mi do myślenia – powiedział Montalbano.

– To, w którym pisze, że jest gotowa na szaleństwo?

Siedzieli w salonie i pili kawę, komisarz, dyrektor i pani Angelina.

Montalbano trzymał list małej Moscato, który przed chwilą ponownie przeczytał na głos.

– Nie, proszę pani, szaleństwa, jak wiemy, dopuściła się potem. Powiedział mi to pan Sorrentino, który nie miał powodu wprowadzać mnie w błąd. Na kilka dni przed lądowaniem aliantów Lisetta wpadła nagle na genialny

pomysł, żeby uciec z Serradifalco i przyjechać tutaj, do Vigaty, spotkać się z ukochanym.

– Ale jak to zrobiła? – spytała zmartwiona gospodyni.

– Pewnie udało jej się zatrzymać jakiś wojskowy samochód. W tych dniach Włosi i Niemcy musieli jeździć bez przerwy w jedną i w drugą stronę. Była bardzo ładna, więc chyba nie czekała długo – wtrącił dyrektor, który tym samym postanowił iść na współpracę, niechętnie ustępując przed faktem, że co jakiś czas fantazje żony nabierały realnej miary.

– A bomby? A strzelaniny? Boże, jakiej to musiało wymagać odwagi! – powiedziała jego żona.

– A więc o które zdanie panu chodzi? – spytał niecierpliwie dyrektor.

– Kiedy Lisetta pisze do pani, że on ją powiadomił, iż po długim postoju w Vigacie otrzymali rozkaz opuszczenia miasta.

– Nie rozumiem.

– Widzi pani, to zdanie po pierwsze oznacza, że przebywał w Vigacie od dawna, a tym samym, że nie pochodził stąd. Po drugie: powiadamia Lisettę, że zaraz będzie zmuszony, zobowiązany, opuścić miasto. Po trzecie: używa liczby mnogiej, a więc opuścić Yigatę miał nie sam, lecz z grupą innych osób. Z tego wszystkiego można wysnuć wniosek, że był pewnie żołnierzem. Może się myłę, ale wydaje mi się, że to najbardziej logiczna wskazówka.

– Logiczna – potwierdził dyrektor.

– Czy pani pamięta, kiedy Lisetta po raz pierwszy powiedziała, że się zakochała?

– Tak, ponieważ ostatnio nic innego nie robię, tylko wysilam umysł, żeby przypomnieć sobie każdy najmniejszy szczegół moich spotkań z Lisettą. Było to na pewno około maja lub czerwca czterdziestego drugiego roku. Odświeżyłam sobie pamięć dzięki staremu pamiętnikowi, który odnalazłam.

– Cały dom przewróciła do góry nogami – burknął mąż.

– Należałoby się dowiedzieć, jakie jednostki wojskowe stacjonowały tu od początku czterdziestego drugiego roku, może nawet wcześniej, do lipca czterdziestego trzeciego.

– A myśli pan, że to takie łatwe? – powiedział dyrektor. – Ja sam pamiętam ich mnóstwo. Były na przykład baterie przeciwlotnicze, morskie, był pociąg uzbrojony w działo, ukryty w jednym z tuneli, byli wojskowi z obrony miasta, z bunkrów... Co do marynarzy, to nie, ci przyplływali i zaraz odpływali. Praktycznie to daremne poszukiwania.

Ogarnęło ich zniechęcenie. Po chwili dyrektor wstał.

– Zadzwoń... do Burruana. On cały czas był w Vigacie, przed wojną, w jej trakcie i po wojnie. A ja na jakiś czas wyjechałem.

Jego żona znów zabrała głos:

– To było, być może, zauroczenie, w tym wieku trudno rozróżnić, ale z pewnością chodziło o coś na tyle poważnego, żeby uciec z domu, na tyle, żeby przeciwstawić się ojcu, który był jak żandarm, przynajmniej tak mi mówiła.

Montalbanowi przyszło na język pytanie, którego nie chciał zadać, jednakże instynkt łowcy przeważył szalę.

– Przepraszam, że przerwę. Czy mogłaby pani sprecy... krótko mówiąc, czy mogłaby mi pani powiedzieć, w jakim znaczeniu Lisetta używała słowa „żandarm”? Czy chodziło o sycylijską zazdrość o córkę? Obsesyjną?

Kobieta patrzyła na niego przez chwilę, nim spuściła oczy.

– Jak już panu mówiłam, Lisetta była o wiele bardziej dojrzała ode mnie, ja wciąż byłam dzieckiem. Ojciec zakazał mi chodzić do ich domu, dlatego widywałyśmy się w szkole albo w kościele. Tam przez kilka godzin mogłyśmy porozmawiać w spokoju. A teraz odtwarzam sobie wte i wewte

wszystko, co mi mówiła. Myślę, że wtedy nie rozumiałam jeszcze wielu rzeczy...

– Jakich?

– Na przykład Lisetta mówiła o ojcu „mój ojciec” tylko przez jakiś czas, a w pewnej chwili zaczęła mówić o nim już tylko „ten człowiek”. Ale to może nic nie znaczy. Innym razem powiedziała: „Ten człowiek kiedyś zrobił mi krzywdę, wielką krzywdę”. Ja wówczas pomyślałam, że ją karze, bije, rozumie pan? Teraz nabieram potwornych podejrzeń co do prawdziwego znaczenia tego zdania.

Zamilkła, wypła łyk kawy i znów zaczęła mówić.

– Była odważna, i to jeszcze jak! W schronie, kiedy padały bomby, a my trzęśliśmy się i płakaliśmy z przerażenia, dodawała nam otuchy, pocieszała nas. Ale musiała mieć dwa razy więcej odwagi, żeby zrobić to, co zrobiła: przeciwstawić się ojcu i odjechać pod ostrzałem, przybyć tutaj i kochać się z kimś, kto nie był nawet jej oficjalnym narzeczonym. Nie byliśmy takie jak dzisiejsze siedemnastolatki.

Monolog kobiety przerwało wtargnięcie rozemocjonowanego dyrektora.

– Burruana nie zastałem, nie było go w domu. Jedźmy, panie komisarzu.

– Szukać Burruana?

– Nie, nie, przyszło mi coś do głowy. Jeśli mamy szczęście, jeśli odgadłem, to ofiaruję świętemu Calogero pięćdziesiąt tysięcy lirów w dniu jego imienin.

Święty Calogero był czarnoskórym świętym, uwielbianym przez wszystkich mieszkańców.

– Jeśli pan zgadł, następne pięćdziesiąt tysięcy dostanie on ode mnie – powiedział Montalbano, który uległ entuzjazmowi dyrektora.

– Ale czy można wiedzieć, dokąd jedziecie?

– Potem ci powiem – rzucił dyrektor.

– I zostawiacie mnie w niepewności? – nalegała jego żona.

Dyrektor był już za drzwiami, cały rozdygotany.

Montalbano ukłonił się.

– Podejmuję się informować panią o wszystkim na bieżąco.

– Jak, do diabła, mogłem zapomnieć o „Pacinottim”? – wymamrotał dyrektor, kiedy tylko znaleźli się na ulicy.

– Kim jest ten dżentelmen? – spytał Montalbano. Wyobraził go sobie jako śpiewaka operowego.

Dyrektor nie odpowiedział.

Montalbano zadał kolejne pytanie.

– Jedziemy samochodem? To daleko?

– Jakie tam daleko! Dwa kroki.

– Ale kim jest ten Pacinotti?

– Jaki ten?! To był statek ratowniczy, naprawiał szkody, które powstawały na okrętach wojennych. Zawinął do portu pod koniec czterdziestego roku i już się stąd nie ruszył. Jego załogę stanowili marynarze, którzy byli mechanikami, cieślami, elektrykami, hydraulikami... Młode chłopaki. Zważywszy na to, że przebywali tu od dawna, wielu z nich stało się domownikami, byli jak gdyby stąd. Mieli tu przyjaciół, a niektórzy nawet się zaręczali. Dwaj ożenili się z miejscowymi dziewczynami. Jeden zmarł, nazywał się Tripovich, a drugi to Marin, właściciel warsztatu na piazza Garibaldi. Zna go pan?

– To mój mechanik – powiedział komisarz i pomyślał z goryczą, że znów podejmuje podróż po bezdrożach pamięci starych ludzi.

Pięćdziesięcioletni mężczyzna w nieziemsko wysmarowanym

kombinezonie, gruby i zręśliwy, nie przywitał się nawet z komisarzem, tylko natychmiast napadł na dyrektora.

– I po co pan traci czas? Jeszcze nie jest gotowy, mówiłem panu, że to długa robota.

– Nie przyszedłem z powodu samochodu. Czy jest pański ojciec?

– Pewnie, że jest! A gdzie miałby być? Siedzi tu i zawraca tyłek, głądzi, że nie umiem pracować, że mechaniczny geniusz naszej rodziny wcielił się w niego i we wnuka.

Dwudziestolatek w roboczym ubraniu, który zaglądał pod maskę, wyprostował się i uśmiechnął do przybyszów. Montalbano i dyrektor przeszli przez warsztat, który kiedyś był chyba magazynem, i dotarli do przepierzenia z desek.

We wnętrzu, za biurkiem, siedział Antonio Marin.

– Wszystko słyszałem i gdyby nie te pieprzone stawy, już ja bym nauczył tego próżniaka!

– Przyszliśmy prosić o informację.

– Słucham, komisarzu.

– Lepiej, żeby mówił dyrektor Burgio.

– Czy pamięta pan, ilu członków załogi „Pacinottiego” zostało zabitych lub rannych, albo uznanych za zaginionych na wojnie?

– Mieliśmy szczęście – powiedział starzec, ożywiając się. W widoczny sposób rozmowa o tych heroicznym czasach sprawiała mu przyjemność, a w domu zapewne uciszano go, kiedy tylko poruszał ten wątek. – Jeden zginął od odłamka bomby, nazywał się Arturo Rebellato, jeden został ranny, też od odłamka, Silvio Destefano, a jeden zaginął, Mario Cunich. Wie pan, byliśmy bardzo ze sobą zżyci, w większości pochodziliśmy z Wenecji, z Triestu...

– Zaginął na morzu? – spytał komisarz.

– Na morzu? Na jakim morzu?! Przez cały czas staliśmy w porcie. Praktycznie byliśmy przedłużeniem trapu.

– A więc dlaczego został uznany za zaginionego?

– Ponieważ wieczorem siódmego lipca czterdziestego trzeciego roku nie wrócił na pokład. Po południu zaczęło się potężne bombardowanie, a on był na przepustce. Cunich pochodził z Monfalcone i miał przyjaciela z tego samego miasta, który nazywał się Stefano Premuda i z którym ja też się przyjaźniłem. Tak więc nazajutrz rano Premuda zmusił naszą załogę do poszukiwań. Przez cały dzień pytaliśmy o Cunicha, chodziliśmy od domu do domu, i nic. Poszliśmy do szpitala wojskowego, do cywilnego, poszliśmy tam, gdzie gromadzono zwłoki znalezione w zgliszczach... Nic. Nawet oficerowie się do nas przyłączyli, ponieważ nieco wcześniej otrzymali wiadomość, rozkaz o gotowości, mówili nam, że w najbliższych dniach wypływamy... Nie wypłynęliśmy, bo wcześniej przybyli Amerykanie.

– A nie mógł zwyczajnie zdezerterować?

– Cunich? A skąd! On wierzył w wojnę. Był faszystą. Dobry chłopak, ale faszysta. A potem wpadł jak śliwka w kompot.

– Czyli?

– Czyli że wpadł, zakochał się. W miejscowej dziewczynie. Ja zresztą też. Mówił, że zaraz po wojnie się z nią ożeni.

– I nie mieliście już żadnych wiadomości?

– Wie pan, kiedy wylądowali Amerykanie, pomyśleli, że taki okręt ratunkowy jak nasz, który był niczym klejnocik, będzie dla nich wygodny. Zatrzymali nas na służbie, w mundurach włoskich, i dali nam opaski, które nosiliśmy na ramieniu, żeby uniknąć nieporozumień. Cunich miał mnóstwo czasu, żeby wrócić z przepustki, a jednak nie wrócił. Ulotnił się.

Korespondowałem później z Premudą, nieraz go pytałem, czy Cunich dał jakiś znak życia, czy były od niego jakieś wiadomości... Jak kamień w wodę.

– Mówi pan, że Cunich miał tu dziewczynę. Czy pan ją poznał?

– Nigdy.

Montalbano powinien spytać jeszcze o jedną rzecz, lecz powstrzymał się i skinieniem głowy dał dyrektorowi przywilej pierwszeństwa.

– Czy wymienił przynajmniej jej imię? – zapytał Burgio, przyjmując wielkoduszną propozycję Montalbana.

– Wie pan, Cunich był bardzo dyskretny. Tylko raz powiedział, że ma na imię Lisetta.

Co się stało? Czy sfrunął anioł i zatrzymał czas? Montalbano i Burgio znieruchomieli. Następnie komisarz złapał się za biodro, poczuł gwałtowne rwanie, dyrektor zaś położył dłoń na sercu i żeby nie upaść, oparł się o jeden z samochodów.

Marin się przestraszył.

– Co ja takiego powiedziałem? Mój Boże, co takiego powiedziałem?

Kiedy tylko wyszli z warsztatu, Burgio zaczął pokrzykiwać z radości.

– Zgadliśmy!

I puścił się w tan. Dwie osoby, które go znały i uważały za człowieka surowego i refleksyjnego, zatrzymały się osłupiałe. Po tym wybuchu dyrektor powrócił do dawnej powagi.

– Proszę pamiętać, że jesteśmy winni po pięćdziesiąt tysięcy świętemu Calogero. Niech pan nie zapomina.

– Nie zapomnę.

– Czy zna pan świętego Calogero?

– Odkąd mieszkam w Vigacie, co roku oglądam święto.

– To nie znaczy, że pan go zna. Święty Calogero... jak by to powiedzieć... jest kimś, kto nie odpuści. Mówię to w pańskim interesie.

– Żartuje pan?

– Ani trochę. To mściwy święty, łatwo go urazić. Nie daruje, jeśli ktoś nie dotrzyma słowa. Kiedy na przykład wyjdzie pan cało z jakiegoś wypadku samochodowego i obieca coś świętemu, a potem nie spełni obietnicy, dam sobie rękę uciąć, że będzie pan miał kolejny wypadek i co najmniej amputują panu nogi. Czy to jasne?

– Jeszcze jak!

– Wróćmy do nas do domu, to opowie pan o wszystkim mojej żonie.

– Ja?

– Tak, bo nie chcę jej dać satysfakcji, że miała rację.

– W skrócie – powiedział Montalbano – sprawy mogły potoczyć się właśnie tak.

Podobało mu się to dochodzenie w pantoflach, w niedzisiejszym domu, nad filiżanką kawy.

– Marynarz Mario Cunich, który w Vigacie zadomowił się na dobre, zakochał się z wzajemnością w Lisetcie Moscato. Jak się poznali i zaczęli rozmowę, wie tylko Bóg na niebie.

– Długo o tym myślałam – powiedziała kobieta. – Był taki okres, chyba pomiędzy końcem czterdziestego drugiego a marcem albo kwietniem czterdziestego trzeciego roku, kiedy Lisetta miała więcej swobody, ponieważ jej ojciec musiał wyjechać w sprawach służbowych, i to daleko od Vigaty. Do potajemnych spotkań doszło zapewne właśnie w tym czasie.

– Zakochali się w sobie, to fakt – podchwycił Montalbano. – Następnie powrót ojca uniemożliwił im spotkania. W dodatku ten wyjazd do

Serradifalco... I wtedy nadeszła wiadomość, że okręt rychło odpływa... Lisetta ucieka, przyjeżdża tutaj, spotyka się, nie wiadomo gdzie, z Cunicchem. Marynarz, żeby możliwie jak najdłużej być z Lisettą, nie wraca na pokład. W pewnej chwili, podczas snu, zostają zamordowani. I do tego miejsca wszystko toczy się jak należy.

– Jak to jak należy? – zdziwiła się gospodyni.

– Przepraszam, chciałem powiedzieć, że do tego miejsca w rekonstrukcji wydarzeń wszystko pasuje jak ulał. Morderstwa mógł dokonać ktoś, kto nieszczęśliwie zakochał się w dziewczynie, albo sam jej ojciec, który nakrył kochanków i poczuł się zhańbiony. Pewnie się nie dowiemy.

– Jak to się nie dowiemy? – spytała pani Burgio. – Nie ciekawi pana, kto zabił tych dwoje biedaków?

Nie miał odwagi powiedzieć, że tożsamością mordercy nie bardzo się interesował; intrygowało go przede wszystkim pytanie: dlaczego ktoś, być może sam morderca, zadał sobie tyle trudu, żeby umieścić zwłoki w grocie i urządzić przedstawienie z miską, ze stągwią i psem z terakoty?

Zanim wrócił do domu, wstąpił do sklepu spożywczego, kupił dwadzieścia deka sera z pieprzem i bochenek ciemnego chleba. Zrobił zapasy, ponieważ był pewny, że Livii nie zostanie w domu. Rzeczywiście, wszystko pozostało tam tak samo jak w chwili, gdy wychodził do Burgiów.

Nie zdążył nawet położyć siatki na stole, kiedy rozległ się dzwonek. Telefonował kwestor.

– Montalbano, chciałem powiedzieć, że dzwonił dziś podsekretarz Licalzi. Chciał wiedzieć, dlaczego nie wystąpiłem jeszcze z wnioskiem o awans dla pana.

– Czego, do diabła, on ode mnie chce?

– Pozwoliłem sobie wymyślić jakąś historię miłosną, tajemniczą,

powiedziałem i nie powiedziałem, dałem do zrozumienia... Natychmiast to chwycił, wygląda na to, że uwielbia romanse. No i z miejsca rozstrzygnął sprawę. Zażądał, żebym skierował do niego wniosek o premię dla pana, i to znaczną. Wniosek napisałem i wysłałem. Czy chce go pan wysłuchać?

– Proszę mi tego oszczędzić.

– Szkoda, bo chyba wyszło mi małe arcydzieło.

Nakrył do stołu, ukroił grubą pajdę chleba, gdy znów zadzwonił telefon. To nie była Livia, którą miał już nadzieję usłyszeć, lecz Fazio.

– Panie komisarzu, pracowałem dla pana przez cały boży dzień. Ten Stefano Moscato to nie był człowiek, z którym chciałoby się jadać przy wspólnym stole.

– Mafia?

– Mafia to raczej nie. Ale łobuz – na pewno. Wiele wyroków za bójki, akty przemocy, napaści. Szanujący się mafioso nie pozwoliliby się skazać za byle gównno.

– Kiedy wydano ostatni wyrok?

– Proszę sobie wyobrazić, że w osiemdziesiątym pierwszym roku. Już jedną nogą stał w grobie, a tak walnął kogoś w łeb, że aż mu go rozwalił.

– Dowiedziałeś się, czy był w więzieniu pomiędzy czterdziestym drugim a czterdziestym trzecim rokiem?

– Pewnie. Bójka i zranienie. Od marca czterdziestego drugiego do dwudziestego pierwszego kwietnia czterdziestego trzeciego siedział w Palermo, w więzieniu Ucciardone.

Wiadomości, które przekazał Fazio, dodały smaku serowi z pieprzem, który i tak już był całkiem smaczny.

21

Szwagier Galluzza otworzył swoje wydanie dziennika telewizyjnego wiadomością o typowo mafijnym, poważnym zamachu, do którego doszło na peryferiach Katanii. Znany i szanowany handlowiec, niejaki Corrado Brancato, właściciel dużej hurtowni zaopatrującej supermarkety, postanowił spędzić popołudnie w swojej dacy za miastem. Kiedy przekręcił klucz, otworzył faktycznie drzwi do niebytu: pomysłowy mechanizm, łączący zamek z ładunkiem wybuchowym, spowodował potworną eksplozję, która dosłownie zmiotła z powierzchni ziemi daczę, handlowca i jego żonę, panią Giuseppe Tagliafico. Dochodzenie – dodał dziennikarz – zapowiadało się skomplikowane, ponieważ Brancato nie był notowany i nie wydawał się w jakikolwiek sposób powiązany z interesami mafii.

Montalbano wyłączył telewizor i zaczął pogwizdywać *VIII Niedokończoną symfonię* Schuberta. Dobrze mu poszło, nie sfalszował ani jednego pasażu.

Wybrał numer Mimi Augella. Zastępca zapewne wiedział coś więcej o sprawie. Nikt nie odebrał.

Kiedy Montalbano skończył jeść, sprzątnął wszelkie ślady posiłku, umył dokładnie nawet szklanę, z której pił wino. Rozebrał się i już był gotowy położyć się do łóżka, kiedy usłyszał pisk hamulców, jakieś głosy, trzask drzwiczek i szum odjeżdżającego samochodu. Szybko wsunął się pod kołdrę, zgasił światło i udał, że jest pogrążony w głębokim śnie. Rozległ się odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, a następnie kroków, które nagle ucichły. Montalbano czuł, że Livia zatrzymała się na progu sypialni i właśnie patrzy na niego.

– Nie błaznuj.

Poddał się, włączył światło.

– Skąd wiedziałaś, że udaję?

– Po oddechu. Czy ty wiesz, jak oddychasz, kiedy śpisz? Nie. A ja wiem.

– Gdzie byłaś?

– W Eraclea Minoa i w Selinunte.

– Sama?

– Panie komisarzu, powiem wszystko, wyśpiewam jak na spowiedzi, ale niech pan, na litość boską, skończy to przesłuchanie! Zawiózł mnie Mimi Augello.

Montalbano pobladł i wystawił groźnie palec.

– Uprzedzam cię, Livio: Augello zabrał już moje biurko, nie chciałbym, żeby mi zabrał również coś innego.

Livia drgnęła.

– Udam, że nie rozumiem, tak będzie lepiej dla nas obojga. W każdym razie nie jestem twoją własnością, pieprzony Sycylijczyku.

– No dobrze, przepraszam.

Nie przerywali dyskusji, nawet kiedy Livia rozebrała się i położyła do łóżka. Lecz Montalbano postanowił, że Mimi i tak mu za to zapłaci. Wstał.

– Dokąd idziesz?

– Zadzwoń do Mimi.

– Zostaw go w spokoju, nawet nie przyszło mu do głowy, żeby cię w jakiś sposób obrazić.

– Halo, Mimi? Mówi Montalbano. Ach, właśnie wróciłeś? Dobrze. Nie, nie przejmuj się, Livia czuje się świetnie. Dziękuje ci za piękny dzień, jaki byłeś uprzejmy jej ofiarować. Ja też jestem ci wdzięczny. Ach, Mimi, wiesz już, że w Katanii wysadzili w powietrze Corrada Brancato? Nie, nie żartuję,

mówili o tym w telewizji. Nic nie wiesz? Jak to nic nie wiesz? No tak, rozumiem, przez cały dzień byłeś poza domem. A być może nasi koledzy z Katanii szukali cię na morzu i w powietrzu. Pewnie i kwesor zadawał sobie pytanie, gdzie się podziałeś. Ale co począć? Spróbuj wymyślić jakieś alibi. Śpij dobrze, Mimi.

– Nazwać cię skurwysynem to mało – skomentowała Livia.

– Dobrze – powiedział Montalbano o drugiej w nocy. – Przyznaję, że to wszystko moja wina, że jeśli tu zostaniemy, to będę się zachowywał tak, jak gdybyś nie istniała, będę pogrążony w myślach. Za bardzo się przyzwyczaiłem do samotności. Jedźmy stąd.

– A głowę zabierzesz ze sobą? – spytała Livia.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że swoją głowę, ze wszystkim, co ona mieści, nosisz zawsze ze sobą. A więc i tak wciąż myślisz o swoich sprawach, nawet kiedy jesteśmy o tysiąc kilometrów stąd.

– Przysięgam, że uwolnię sobie głowę przed wyjazdem.

– A dokąd pojedziemy?

Zważywszy na to, że Livia złapała już bakcyła turystyczno-archeologicznego, postanowił ją zadowolić.

– Nigdy nie byłeś na wyspie Mozia, prawda? Zrobimy w ten sposób: jeszcze dziś rano około jedenastej wyjedziemy do Mazara del Vallo. Mam tam przyjaciela, wicekwesora Valente, którego nie widziałem od dawna. Następnie pojedziemy w kierunku Marsali i zwiedzimy Mozię. Kiedy wrócimy do Vigaty, od razu pomyślimy o kolejnej wyprawie.

Pogodzili się.

Giulia, żona wicekwestora Valente, nie tylko była w tym samym wieku co Livia, lecz na dodatek urodziła się w Sestri. Polubiły się natychmiast. Nieco mniej polubił panią Giulie Montalbano, ponieważ niezdolnie rozgotowała makaron, udusiła wołowinę w jakimś okropnym sosie i podała kawę, jakiej nie ośmieliliby się serwować nawet na pokładzie samolotu. Na zakończenie tak zwanego obiadu Giulia zaproponowała Livii, żeby została z nią w domu: miały wyjść później. Natomiast Montalbano poszedł ze swoim przyjacielem do biura. Na wicekwestora czekał czterdziestoletni mężczyzna z długimi baczkami, o sycylijskiej, spieczonej słońcem twarzy.

– Co dzień to coś nowego! Proszę wybaczyć, panie kwestorze, ale muszę z panem porozmawiać. To ważne.

– Pozwól, że ci przedstawię profesora Farida Rahmana, mojego przyjaciela z Tunisu – powiedział Valente, a następnie zwrócił się do profesora: – Ile to nam zajmie?

– Najwyżej kwadrans.

– Pójdę zwiedzić dzielnicę arabską – powiedział Montalbano.

– Jeśli pan poczeka – zaproponował Farid Rahman – byłbym naprawdę szczęśliwy, mogąc być pańskim przewodnikiem.

– Słuchaj – rzekł Valente. – Ja wiem, że moja żona nie umie robić kawy. O trzysta metrów stąd jest plac Mokarta, wejdź tam do baru i napij się jakiejś porządnej kawy. Profesor przyjdzie po ciebie.

Nie zamówił kawy natychmiast, najpierw oddał się krzepiącej i pachnącej porcji lasagni, która wyrwała go z melancholii, w jakiej pogrążył się, obcując ze sztuką kulinarną pani Giulii. Kiedy przyszedł Rahman, znikły już ostatnie ślady po daniu i Montalbano siedział tylko nad niepozorną filiżaneczką po kawie. Ruszyli w kierunku dzielnicy arabskiej.

– Ilu was jest w Mazarze?

– Ponad jedna trzecia miejscowej ludności.

– Czy często dochodzi do konfliktów z mazarańczykami?

– Nie, bardzo rzadko, wręcz wcale w porównaniu z innymi miastami. Wie pan, myślę, że my dla ludzi stąd jesteśmy czymś w rodzaju historycznej pamięci, faktem niemal genetycznym. To miejsce, z którego się wywodzimy. Al-Imam al-Mazari, twórca wielkiej szkoły prawniczej Maghrebu, urodził się w Mazarze, podobnie jak filolog Ibn al-Birr, który został wygnany z miasta w tysiąc sześćdziesiątym ósmym roku, ponieważ za bardzo lubił wino. Jednak istota tkwi w tym, że mazarańczycy są ludźmi morza. Ludzie morza zaś mają dużo rozsądku, wiedzą, co znaczy chodzić po ziemi. A propos morza: słyszał pan o tym, że tutejsze kutry mają załogi mieszane, sycylijsko-tunezyjskie?

– Czy pełni pan jakąś oficjalną funkcję?

– Nie, niech Pan Bóg broni od oficjalności. Tutaj wszystko idzie jak najlepiej, ponieważ odbywa się nieformalnie. Ja uczę w szkole podstawowej i jestem również pośrednikiem pomiędzy moimi ludźmi a miejscowymi władzami. Oto kolejny przykład roztropności: dyrektor przyznał nam sale, a my, nauczyciele, przybyliśmy z Tunisu i założyliśmy własną szkołę. Lecz kuratorium oficjalnie nic nie wie o tej sytuacji.

Dzielnica wyglądała jak kawałek Tunisu, przewieziony w nienaruszonym stanie na Sycylię. Sklepy były zamknięte, ponieważ piątek stanowił tu dzień wypoczynku, ale na wąskich uliczkach życie i tak toczyło się barwnie i wesołe. Na początek Rahman zaprowadził go do wielkiej łaźni publicznej, która od niepamiętnych czasów była dla Arabów miejscem spotkań towarzyskich, następnie poszli do palarni, na kawę i nargile. Przeszli przed czymś w rodzaju pustego magazynu, w którym starszy człowiek o poważnym

wyrazie twarzy siedział na ziemi po turecku i czytał oraz komentował jakąś księgę. Przed nim, również ze skrzyżowanymi nogami, siedziała dwudziestka chłopców, którzy przysłuchiwali się z uwagą.

– To nasz kapłan, objaśnia Koran – powiedział Rahman.

Już chciał ruszyć w dalszą drogę, lecz Montalbano go zatrzymał, kładąc mu dłoń na ramieniu. Był pod wrażeniem tego nabożnego skupienia na twarzach tak młodych ludzi, którzy kiedy opuszczą magazyn, pewnie natychmiast zaczną się poszturchiwać i wrzeszczeć na całe gardło.

– Co on im czyta?

– Osiemnastą surę, tę o jaskini.

Montalbano, nie wiedzieć czemu, poczuł na grzbiecie lekki dreszcz.

– O jaskini?

– Tak, o jaskini, *al-kahf*. Ta sura mówi, że Bóg, spełniając pragnienie kilkorga młodych ludzi, którzy chcieli uniknąć deprawacji i pozostać wierni prawdziwej religii, pogrążył ich w głębokim śnie we wnętrzu jaskini. Żeby zaś w grocie zawsze panowała całkowita ciemność, odwrócił bieg słońca. Spali przez trzysta dziewięć lat. Razem z nimi, przy wejściu, spał pies, siedząc z wyprostowanymi przednimi łapami, jak gdyby czuwał nad nimi...

Zawiesił głos. Zorientował się bowiem, że Montalbano, zbladłszy jak ściana, otwiera i zamyka usta, jak gdyby zabrakło mu nagle powietrza.

– Proszę pana, co się panu stało? Źle się pan czuje? Mam zawołać lekarza? Proszę pana!

Montalbano sam przestraszył się własnej reakcji, owładnęła nim słabość, kręciło mu się w głowie, nogi miał jak z waty, ewidentnie odczuwał jeszcze skutki rany i operacji. Tymczasem wokół Rahmana i komisarza zaczęli się gromadzić ludzie. Profesor wydał jakieś polecenia, jeden z Arabów pobiegł po szklanekę wody, inny przyniósł wiklinowe krzesło, na którym posadził

Montalbana. Komisarz czuł się śmieszny. Woda go orzeźwiła.

– Jak to się mówi w waszym języku „Bóg jest wielki i miłosierny”?

Rahman powiedział. Kiedy Montalbano usiłował powtórzyć te słowa, zgromadzeni zawtórowali mu chórem, pokładając się ze śmiechu.

Tunezyjczyk dzielił mieszkanie ze starszym od siebie kolegą, El Madanim, którego akurat zastali w domu. Rahman zaparzył miętę, podczas gdy Montalbano tłumaczył im powody zaśląbnięcia. O odnalezieniu dwojga młodych ludzi w grocie Rahman nic nie wiedział, lecz El Madani coś o tym słyszał.

– Chciałbym wiedzieć, jeśli panowie są tacy uprzejmi – powiedział komisarz – do jakiego stopnia rzeczy ułożone w grocie odpowiadają zapisowi sury. Pies nie budzi żadnych wątpliwości.

– Pies nosi imię Kitmir – dodał El Madani – ale nazywają go również Quotmour. Wie pan, że u Persów ten pies, pies z jaskini, stał się strażnikiem korespondencji?

– Czy w surze jest miska wypełniona monetami?

– Nie, nie ma miski, z tego prostego powodu, że śpiący mieli pieniądze w kieszeniach. Kiedy się obudzili, dali je jednemu spośród nich, żeby kupił możliwie najlepsze jedzenie. Byli głodni. Lecz wysłannika zdradził fakt, że te monety nie tylko już wyszły z obiegu, lecz po latach warte były prawdziwą fortunę. I ludzie podążyli za nim aż do jaskini w poszukiwaniu tego skarbu. W ten właśnie sposób śpiący zostali odkryci.

– Jednak w sprawie, którą się zajmuję, miska ma swoje uzasadnienie – powiedział Montalbano do Rahmana – ponieważ chłopca i dziewczynę umieszczono w grocie nagich, a więc pieniądze musiały się gdzieś znajdować.

– Zgoda – odparł El Madani – lecz Koran nie mówi, że śpiący byli spragnieni. A więc naczynie z wodą jest zupełnie obcym elementem w stosunku do zapisu sury.

– Znam wiele legend o śpiących – potwierdził Rahman – ale w żadnej z nich nie ma mowy o wodzie.

– Ile osób spało w grocie?

– Sura nie określa tego dokładnie, być może liczba nie jest ważna: troje, czworo, pięcioro, sześcioro, nie licząc psa. Ale powszechnie przyjęło się, że śpiących było siedmioro, a z psem ośmioro.

– Jeżeli może to być dla pana pożyteczne, to sura podejmuje legendę chrześcijańską, tę o śpiących w Efezie – powiedział El Madani.

– Jest również współczesny dramat egipski, *Ahl al-kahf*, czyli *Ludzie z groty*, Taufika al-Hakima. Tam młodzi chrześcijanie, prześladowani przez cesarza Decjusza, zapadają w głęboki sen i budzą się w czasach Teodozjusza Drugiego. Jest ich troje, i jest z nimi pies.

– A więc – podsumował Montalbano – ten, kto umieścił ciała w grocie, na pewno znał Koran, a być może czytał również dramat tego Egipcjanina.

– Pan dyrektor? Mówi Montalbano. Dzwonię do pana z Mazary del Vallo, właśnie wyjeżdżam do Marsali. Proszę mi wybaczyć pośpiech, lecz muszę pana spytać o coś bardzo ważnego. Czy Lillo Rizzitano znał język arabski?

– Lillo? A skąd?

– Nie mógł się uczyć na uniwersytecie?

– Wykluczone.

– Jaką zdobył specjalność?

– Literatura włoska, u profesora Aurelia Cotroneo. Być może mówił mi nawet, jaki temat miała jego praca dyplomowa, ale zapomniałem.

– A może przyjaźnił się z jakimś Arabem?

– O ile wiem, to nie.

– Czy w Vigacie na przełomie czterdziestego drugiego i czterdziestego trzeciego roku byli jacyś Arabowie?

– Panie komisarzu, Arabowie żyli tu w okresie swej dominacji i powrócili obecnie, biedacy, lecz na pewno nie sprawują już władzy. Natomiast podczas wojny ich tu nie było. Ale co też ma pan do Arabów?

Kiedy ruszyli w kierunku Marsali, zapadł już mrok. Livia była zadowolona i ożywiona; spotkanie z żoną Valentego dobrze jej zrobiło. Na pierwszym skrzyżowaniu, zamiast skręcić w prawo, Montalbano pojechał w lewo. Livia natychmiast się zorientowała, a komisarz został zmuszony do wykonania trudnego manewru. Na drugim skrzyżowaniu, pewnie żeby zrekompensować poprzednią pomyłkę, zrobił dokładnie na odwrót: zamiast skręcić w lewo, skierował się w prawo, ale Livia, rozgorączkowana własnymi wywodami, już tego nie zauważyła. W pewnej chwili ku swojemu wielkiemu zdziwieniu stwierdzili, że wracają do Mazary. Livia wybuchnęła.

– Wymagasz ogromnej cierpliwości!

– Przynajmniej mogłaś zauważyć, że źle pojechałem! – powiedział w dialekcie.

– Nie mów do mnie po sycylijsku! Jesteś nieuczciwy, obiecałeś mi, że przed wyjazdem z Vigaty uwolnisz sobie głowę od spraw służbowych, tymczasem w dalszym ciągu błędzisz gdzieś myślami.

– Przepraszam, przepraszam.

Bardzo uważał przez pierwsze pół godziny, zanim zdradziecko powróciła myśl: pies pasuje, miska z pieniędzmi pasuje, stągiew nie. Dlaczego?

Nie zdążył wysunąć żadnej hipotezy, kiedy oślepiły go reflektory jakiejś

ciężarówki. Zrozumiał, że za bardzo zjechał ze swojego pasa i że ewentualne zderzenie byłoby tragiczne w skutkach. Skręcił desperacko, zelektryzowany wrzaskiem Livii i wściekłym klaksonem ciężarówki. Zatańczyli na świeżo zaoranego pola, po czym samochód ugrzązł na dobre. Milczeli, nie mieli sobie nic do powiedzenia, Livia ciężko oddychała.

Montalbano wolał nie myśleć, co się stanie, kiedy tylko kobieta nieco ochłonie. Tchórzliwie uprzedził jej reakcję, prowokując współczucie.

– Wiesz, nie chciałem ci mówić, żeby cię nie przestraszyć, ale dziś po obiedzie źle się poczułem...

Reszta wydarzeń rozegrała się w poetyce między tragedią a filmem z Flipem i Flapem. Samochód nie ruszył z miejsca pomimo wielkich wysiłków Montalbana, który w końcu, obawiając się przegrzania silnika, zrezygnował z prób wyjechania z rowu i wyjął bagaże. Livia, wciąż zachowując pogardliwe milczenie, szła poboczem kilka kroków za nim, dopóki jakiś kierowca nie zlitował się nad dwojgiem włóczęgów i nie zabrał ich do Marsali. Montalbano zostawił Livię w hotelu, poszedł do komisariatu, powiedział, kim jest, i jeden z funkcjonariuszy obudził jakiegoś człowieka z pomocy drogowej. Po wszystkim, o czwartej nad ranem, położył się obok Livii pogrążonej w niespokojnym śnie.

22

Żeby zasłużyć na przebaczenie, Montalbano postanowił być czuły, cierpliwy, uśmiechnięty i posłuszny. Udało mu się do tego stopnia, że Livia odzyskała dobry nastrój. Mozia wydała jej się olśniewająca. W zdumienie wprawiała ją droga, która łączyła wyspę z wybrzeżem, biegnąc nieco poniżej poziomu morza. Także mozaika na podłodze jednego z pałaców, ułożona z białych i czarnych kamieni rzecznych, wzbudziła zachwyty Livii.

– To jest *tophet* – powiedział przewodnik – święty obszar Fenicjan. Nie było budynków, rytuały odbywały się na zewnątrz.

– Ofiary składane bogom? – spytała Livia.

– Bogu – poprawił przewodnik. – Bogu Baalowi Hammonowi. Fenicjanie poświęcali mu pierworodnych synów, zabijali ich, spalali, prochy wkładali do wazy, którą wsadzali w ziemię, a obok kładli kamienną płytę. Znalezione tu ponad siedemset takich płyt.

– Mój Boże! – wykrzyknęła Livia.

– Droga pani, w tym miejscu dzieciom nie działa się dobrze. Kiedy admirał Leptines, wysłany przez Dionizjusza z Syrakuz, podbił wyspę, Mocjanie, zanim się poddali, wymordowali swoje dzieci. Czy wojna, czy pokój, taki już był los dzieci na Mozii, że śmierć bez przerwy zaglądała im w oczy.

– Chodźmy stąd, i to natychmiast – powiedziała Livia. – Nie chcę więcej słyszeć o tych ludziach.

Postanowili jechać na Pantellerię i pozostali na niej sześć dni, wreszcie bez

sprzeczek i kłótni. Urzeczona nastrojem miejsca, którejś nocy Livia spytała:

– Dlaczego nie mielibyśmy się pobrać?

– No właśnie, dlaczego?

Roztropnie postanowili zastanowić się nad tym w spokoju. Wyższą cenę zapłaciłaby Livia, która musiałaby porzucić swój dom w Boccadasse i przywyknąć do nowego stylu życia.

Kiedy tylko samolot z Livią na pokładzie oderwał się od ziemi, Montalbano czym prędzej zadzwonił do Montelusy do swojego przyjaciela Zito, zapytał o kogoś i w odpowiedzi otrzymał numer telefonu w Palermo, który natychmiast wybrał.

– Profesor Riccardo Lovecchio?

– Tak, to ja.

– Pański telefon dał mi nasz wspólny przyjaciel, Nicoló Zito.

– Jak się czuje nasz rudzielec? Już dawno go nie widziałem.

Głos z megafonu, który zapraszał pasażerów do wyjścia, podsunął mu myśl, żeby poprosić o bezzwłoczne spotkanie.

– Nicoló ma się dobrze i pozdrawia pana. Panie profesorze, jestem na lotnisku Punta Raisi i mam do odlotu mniej więcej cztery godziny. Chciałbym z panem porozmawiać.

Głos z megafonu ponownie skierował zaproszenie do pasażerów lecących do Rzymu, jak gdyby był w zмовie z komisarzem, który potrzebował natychmiastowych odpowiedzi.

– Czy pan jest komisarzem Montalbano z Vigaty, tym, który znalazł dwoje zabitych w grocie? Tak? Co za zbieg okoliczności! Czy pan wie, że w najbliższym czasie sam bym do pana zadzwonił? Niech pan do mnie przyjedzie, czekam, oto mój adres...

– Ja na przykład spałem cztery dni i cztery noce ciurkiem, bez jedzenia i picia. Przyczyniło się do tego ze dwadzieścia skrętów, pięć stosunków i policyjna pała. Był rok sześćdziesiąty ósmy. Moja matka martwiła się, chciała wołać lekarza, myślała, że jestem w głębokiej komie.

Profesor Lovecchio przypominał urzędnika bankowego, nie wyglądał na swoje czterdzieści pięć lat, w oczach migotała mu iskierka szaleństwa. Pracował na czystej whisky od jedenastej rano.

– W moim śnie nie było niczego cudownego – kontynuował. – Żeby dostąpić cudu, trzeba spać co najmniej dwadzieścia lat. W samym Koranie, chyba w drugiej surze, jest napisane, że pewien człowiek, w którym komentatorzy dopatrują się Ezry, spał sto lat. Prorok Salih natomiast spał dwadzieścia lat, również w jaskini, która nie jest przecież wygodnym miejscem. Żydzi nie są gorsi; w Talmudzie chlubią się niejakim Hamaagelem, który spał siedem lat, również w grocie. A Grecy? Epimenides, znów w jaskini, obudził się po pięćdziesięciu latach. Krótko mówiąc, w tych czasach wystarczyła grotka i śmiertelnie zmęczony człowiek, żeby spełnił się cud. A jak długo spali pańscy podopieczni?

– Od roku czterdziestego trzeciego do dziewięćdziesiątego czwartego, ponad pięćdziesiąt lat.

– Najwyższy czas na pobudkę. Czy bardzo zmąciłoby panu dedukcję, gdybym powiedział, że w języku arabskim, aby powiedzieć „spać” i „umierać”, używa się tego samego czasownika? I że tego samego wyrazu używa się na określenie przebudzenia i zmartwychwstania?

– Panie profesorze, mógłbym słuchać tak bez końca, ale muszę zdążyć na samolot, mam bardzo mało czasu. Dlaczego zamierzał pan się ze mną skontaktować?

– Chciałem panu powiedzieć, żeby nie dał się pan wyprowadzić w pole

z powodu tego psa. Że pies pozornie przeczy stągwi i na odwrót. Czy to jasne?

– Ani trochę.

– Widzi pan, ta opowieść o śpiących ma korzenie nie wschodnie, lecz chrześcijańskie. W Europie upowszechnił ją Grzegorz z Tours. Pisał o siedmiu młodzieńcach z Efezu, którzy uciekając przed antychrześcijańskimi prześladowaniami Decjusza, ukryli się w grocie, gdzie Pan zesłał im sen. Grota w Efezie istnieje, może pan ją zobaczyć nawet w encyklopedii. Wzniesiono na niej sanktuarium, które potem zostało zburzone. Legenda chrześcijańska opowiada, że w grocie jest źródło. Kiedy więc młodzieńcy się obudzili, najpierw ugasili pragnienie, a potem wysłali jednego ze współtowarzyszy po żywność. Jednak w żadnym punkcie legendy chrześcijańskiej, w żadnym z jej niezliczonych wariantów europejskich, nie ma mowy o psie. Pies imieniem Kitmir jest po prostu czystym wymysłem poetyckim Mahometa, który kochał zwierzęta do tego stopnia, że aż kazał sobie obciąć rękaw, by nie budzić kota, który na nim spał.

– Zaczynam się gubić – wyznał Montalbano.

– Nie ma powodu, komisarzu! Chciałem po prostu powiedzieć, że stągiew została umieszczona jako symbol źródła, które biło w jaskini w Efezie. Podsumowując: stągiew, która należy do legendy chrześcijańskiej, może łączyć się z psem, który należy do inwencji poetyckiej Koranu, tylko jeśli ogarnie się umysłem wszystkie warianty wniesione przez różne kultury. Moim zdaniem autorem przedstawienia nie mógł być nikt inny, tylko ten, kto z powodu nauki...

Jak w komiksie, Montalbano zobaczył światełko, które rozbłysło mu w mózgu.

Zahamował przed siedzibą oddziałów antymafijnych tak gwałtownie, że aż

strażnik zaniepokoił się i podniósł karabin.

– Jestem policjantem, nazywani się Montalbano! – krzyknął komisarz, pokazując prawo jazdy, które pierwsze nawinęło mu się pod rękę.

Dyszając, podbiegł do innego funkcjonariusza, który pełnił funkcję portiera.

– Proszę zawiadomić doktora De Dominicis, że idzie do niego komisarz Montalbano, szybko!

W windzie, korzystając z faktu, że jest sam, poczochnął sobie włosy, rozluźnił węzeł krawata, rozpiął górny guzik koszuli. Chciał również wyciągnąć róg koszuli ze spodni, ale wydało mu się, że to już przesada.

– De Dominicis, mam! – powiedział, lekko dysząc, i zamknął za sobą drzwi.

– Co? – spytał De Dominicis i zaniepokojony wyglądem komisarza, wstał z połączanego fotela w swoim połączanym gabinecie.

– Jeżeli jest pan skłonny udzielić mi pomocy, włączę pana do śledztwa, które...

Montalbano zamilkł. Przytknął dłoń do ust, jak gdyby chciał położyć tamę własnym słowom.

– O co chodzi? Choćby rąbek tajemnicy!

– Nie mogę, proszę mi uwierzyć, nie mogę.

– Co miałbym zrobić?

– Najpóźniej dziś wieczorem muszę wiedzieć, jaki był temat pracy dyplomowej, którą na italianistyce obronił Calogero Rizzitano. Jego promotor nazywał się chyba Cotroneo. Obrona była pod koniec czterdziestego drugiego roku. Przedmiot tej pracy jest kluczem do sprawy, możemy zadać śmiertelny cios całej...

Znów zamilkł, wytrzeszczył oczy, powiedział z przestrawieniem:

– Ja nic nie mówiłem.

Rozgorączkowanie Montalbana udzieliło się De Dominicisowi.

– Ale jak to zrobić? W tym czasie studentów musiały być tysiące! A czy w ogóle jeszcze istnieją jakieś dokumenty?!

– Co też pan mówi? Nie tysiące, ale dziesiątki. W tamtych czasach większość młodych ludzi była na wojnie. To prosta sprawa.

– A więc dlaczego sam pan sobie tego nie załatwi?

– Na pewno straciłbym mnóstwo czasu na te wszystkie formalności, a przed wami każde drzwi stoją otworem.

– Gdzie będę mógł pana znaleźć?

– Pędem wracam do Vigaty, nie mogę tracić z oczu rozwoju wypadków. Kiedy tylko zdobędzie pan jakąś wiadomość, proszę dzwonić. Do domu, proszę. Nie do biura, może być podsłuch.

Aż do wieczora czekał na telefon od De Dominicisa, lecz bezskutecznie. Jednak to go nie martwiło, ponieważ był pewny, że De Dominicis połknął haczyk. Widocznie nawet on napotkał kłopoty.

Rano miał przyjemność zobaczyć Adelinę, gospodynię.

– Dlaczego nie przychodziłaś ostatnio?

– Jak to dlaczego? Przecież pani nie chce, żebym przychodziła, kiedy ona jest tutaj.

– A skąd wiedziałaś, że Livia już wyjechała?

– Od ludzi.

W Vigacie wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich.

– Co mi ugotujesz?

– Spaghetti z sardynkami, a na drugie ośmiorniczki.

Wyśmienite, ale zabójcze. Montalbano ją przytulił.

W południe zadzwonił telefon. Odebrała Adelina, która dokładnie sprzątała mieszkanie, z pewnością po to, żeby usunąć ślady obecności Livii.

– Komisarzu, Didumminici do pana!

Montalbano, który siedział na werandzie i po raz piąty czytał *Punkt zwrotny* Faulknera, rzucił się do telefonu. Zanim złapał do ręki słuchawkę, obmyślił szybko plan działania, żeby uwolnić się od De Dominicisa, kiedy tylko uzyska od niego informację.

– Tak, halo? Kto mówi? – zapytał znudzonym i rozczarowanym głosem.

– Miał pan rację, to było łatwe. Calogero Rizzitano uzyskał dyplom z wyróżnieniem trzynastego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Niech pan weźmie długopis, tytuł jest długi.

– Proszę zaczekać, wezmę coś do pisania. I tak już trochę za późno...

W głosie rozmówcy De Dominicis dosłyszał pretensję.

– Co ci jest?

Czując się współnikiem, Dominicis przeszedł z „pan” na ty.

– Jak to co mi jest? Jeszcze mnie pytasz?! Przecież mówiłem ci, że ta wiadomość była mi potrzebna wczoraj wieczorem! Teraz już mnie nie obchodzi! Przez twoją opieszałość wszystko diabli wzięli!

– Wcześniej to nie było możliwe, uwierz.

– Dobrze już, dyktuj.

– *Makaronizmy w szesnastowiecznej sacra rappresentazione o Siedmiu Śpiących anonimowego autorstwa*. Czy możesz mi wytłumaczyć, co to ma wspólnego z mafią?

– A ma, i to jeszcze jak! Tyle że teraz, przez ciebie, nie jest mi to już potrzebne i na moją wdzięczność nie masz co liczyć.

Odłożył słuchawkę i wybuchnął donośnym śmiechem. Natychmiast w kuchni rozległ się szcęk tłuczonego szkła: ze strachu Adelina musiała wypuścić coś z ręki. Pobiegł w przeciwnym kierunku, skoczył z werandy na piasek, fiknął koziółka, potem zatańczył, zrobił drugiego fikołka i znowu zatańczył. Trzeci fikołek mu nie wyszedł i komisarz upadł bez tchu na piasek.

Adelina rzuciła się ku niemu z werandy, pokrzykując:

– Panno Przenajświętsza! Co za wariat! Kark sobie skręcił!

W trosce o siebie samego Montalbano wszedł do samochodu i pojechał do biblioteki miejskiej w Montelusie.

– Szukam pewnej *sacra rappresentazione* – powiedział do kierowniczkii.

Kobieta, która znała go jako komisarza, lekko się zdziwiła, lecz oszczędziła mu komentarza.

– Wszystko, co mamy – powiedziała – to dwa tomy pod redakcją D’Ancony i dwa pod redakcją De Bartholomaeisa. Nie mogę ich jednak wypożyczyć, musi pan z nich skorzystać na miejscu.

Sacra rappresentazione o Siedmiu Śpiących mieściła się w drugim tomie antologii D’Ancony. Był to krótki, bardzo naiwny tekst. Praca Lilia musiała dotyczyć dialogu dwóch lekarzy heretyków, którzy rozmawiali, używając zabawnych makaronizmów. Lecz najbardziej interesujący okazał się wstęp D’Ancony. Było w nim wszystko – cytaty z odpowiedniej sury Koranu, droga, jaką przebyła legenda w krajach europejskich i afrykańskich, z uwzględnieniem mutacji i wariantów. Profesor Lovecchio miał rację: osiemnasta sura Koranu, sama w sobie, prezentowałaby prawdziwą łamigłówkę. Trzeba ją było uzupełnić o elementy z innych kultur.

– Chcę założyć pewną hipotezę i uzyskać potwierdzenie – powiedział Montalbano, kiedy poinformował państwa Burgio o ostatnich odkryciach. –

Oboje, i to z wielkim przekonaniem, mówiliście mi, że Lilio traktował Lisette jak swoją młodszą siostrę i że za nią przepadał. Prawda?

– Tak – odpowiedzieli chórem.

– Dobrze, zadam więc wam pytanie. Czy myślicie, że Lilio był zdolny zabić Lisette i jej kochanka?

– Nie – odparli oboje bez zastanowienia.

– Ja również jestem tego samego zdania – oznajmił Montalbano. – Właśnie dlatego, że to Lilio ułożył oboje zmarłych... jak by to powiedzieć... w pozycji możliwego zmartwychwstania. Ten, kto zabija, nie chce, żeby jego ofiary zmartwychwstały.

– A więc? – spytał dyrektor.

– Jak według was zachowałby się Lilio, gdyby w sytuacji przymusowej Lisetta poprosiła go, żeby udzielił jej samej oraz jej narzeczonemu schronienia w willi rodziny Rizzitano?

Pani Burgio nie zastanawiała się nawet przez chwilę.

– Zrobiłby wszystko, o co poprosiłaby go Lisetta.

– A więc spróbujmy sobie wyobrazić to, co wydarzyło się w tamte lipcowe dni. Lisetta ucieka z Serradifalco, przybywa szczęśliwie do Vigaty, spotyka się z Mariem Cunichem, narzeczoną, który dezertuje, a raczej oddala się od swojego okrętu. Młodzi nie wiedzą, gdzie się podział. Dom Lisetty jest jak jaskinia lwa, to pierwsze miejsce, w którym będzie jej szukał ojciec. Dziewczyna prosi zatem o pomoc Lilla Rizzitano, wie, że jej nie odmówi. Ten gości ich w willi u stóp Baraniej Góry, w której mieszka sam, ponieważ cała jego rodzina uciekła. Kto i dlaczego zabija tych dwoje, tego nie wiemy i nie dowiemy się może nigdy. Ale że Lillo jest autorem pochówku w grocie, co do tego nie może być wątpliwości, ponieważ podąża krok w krok zarówno za wersją chrześcijańską, jak i za wersją koraniczną. W obu przypadkach

zmarli się obudzą. Co to ma znaczyć, co chce nam powiedzieć przez to przedstawienie? Czy chce nam oznajmić, że ci dwoje śpią i pewnego dnia się obudzą albo zostaną zbudzeni? A może ma nadzieję, że ktoś w przyszłości ich odkryje i zbudzi? Przez przypadek to ja ich odkryłem i obudziłem. Ale, proszę mi wierzyć, żałuję, że zauważyłem tę grootę.

Mówił szczerze i rozmówcy go zrozumieli.

– Mogę zatrzymać się w tym punkcie. Moją osobistą ciekawość udało mi się zaspokoić. Brakuje kilku odpowiedzi, to prawda, ale te, które mam, mogą wystarczyć. Mógłbym się zatrzymać, jak powiedziałem.

– Panu mogą wystarczyć – zaproponowała pani Angelina – ale ja chciałabym spojrzeć w oczy zabójcy Lisetty.

– Jeśli go zobaczysz, to na zdjęciu – skomentował ironicznie dyrektor – ponieważ po tylu latach, na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, morderca sam już umarł i został pochowany. Tak bywa, gdy się osiągnie odpowiedni wiek.

– Odwołuję się do was – powiedział Montalbano. – Co mam robić? Szukać dalej? Zatrzymać się? Podejmijcie decyzję, te zabójstwa nie obchodzą już nikogo. Być może jesteście ostatnią więzią, jaką ci zmarli utrzymują z tym światem.

– Ja panu mówię, żeby pan szukał dalej – odparła pani Burgio ze smutnym wyrazem twarzy.

– Ja również – zgodził się dyrektor po chwili zastanowienia.

Kiedy był już na wysokości Marinelli, zamiast zaparkować i pójść do domu, pozwolił, żeby samochód prawie samoistnie podążał wzdłuż wybrzeża. Panował niewielki ruch, w ciągu kilku minut dojechał do stóp Baraniej Góry. Wysiadł i ruszył ścieżką prowadzącą do skały. Na wprost wejścia do grotty, w której była kiedyś broń, usiadł na trawie i zapalił

papierosa. Siedząc, obejrzał zachód słońca i wciąż mocno pracował głową: niejasno czuł, że Lillo nadal jeszcze żyje, ale jak go wytropić, wyciągnąć z nory? Zaczął zapadać mrok, więc zawrócił w kierunku samochodu. Wówczas jego wzrok zatrzymał się na wielkiej dziurze, która wwiercała się we wzniesienie, na wlocie do nieużywanego tunelu, od niepamiętnych czasów zagrodzonym deskami i płytami. Tuż przy podejździe znajdował się blaszany magazyn, a obok stały dwa słupy podtrzymujące tablicę informacyjną. Nogi same poderwały mu się do biegu, jeszcze zanim otrzymały polecenie od mózgu. Dotarł na miejsce, ledwo dysząc, od wysiłku bolał go bok. Na tablicy było napisane: FIRMA BUDOWLANA GAETANO NICOLOSI & SYN – PALERMO – VIA LAMARMORA 33 – PRACE PRZY BUDOWIE TUNELU KOMUNIKACYJNEGO – KIEROWNIK ROBÓT INŻ. COSIMO ZIRRETTA – ASYSTENT SALVATORE PERRICONE. Były tam jeszcze inne informacje, które jednak nie interesowały już Montalbana.

Popędził w stronę samochodu i ostro ruszył w kierunku Vigaty.

23

W firmie budowlanej Gaetano Nicolosi & syn w Palermo, której numer uzyskał, dzwoniąc do informacji, nikt nie odpowiadał. Za późno, w pomieszczeniach firmy nie było już pewnie żywego ducha. Montalbano próbował raz za razem, powoli tracąc nadzieję. Żeby się wyładować, puścił wiązkę przekleństw, po czym poprosił o numer telefonu inżyniera Cosima Zirretty, zakładając, że mieszka w Palermo. Zgadł.

– Mówi komisarz Montalbano z Vigaty. Jak przeprowadziliście przewłaszczenie?

– Jakie przewłaszczenie?

– Terenów pod szosę i tunel, które zbudowaliście w naszych stronach.

– To nie leży w mojej gestii. Ja zajmuję się wyłącznie robotami. A raczej zajmowałem się do czasu, kiedy przyszedł nakaz przerwania prac.

– A więc z kim powinienem rozmawiać?

– Z kimś z firmy.

– Dzwoniłem, nikt nie odpowiada.

– A więc z panem Gaetano albo z jego synem Arturem. Kiedy wyjdą z więzienia w Ucciardone.

– Ach, tak?

– Tak. Przekupstwo i łapówki.

– Nie mam więc żadnej nadziei?

– Jedyna nadzieja w sędziach, którzy w przypiływie dobroci mogą ich wypuścić najwcześniej za trzy lata. Żartuję. Proszę posłuchać, a może pan

spróbuje porozmawiać z radcą prawnym firmy, mecenasem Di Bartolomeo?

– Panie komisarzu, zajmowanie się przewłaszczeniami nie jest zadaniem przedsiębiorstwa, lecz gminy, na której obszarze znajduje się plac budowy.

– Więc czym się pan zajmuje?

– To nie pańska sprawa.

I mecenas odłożył słuchawkę, nieco poirytowany: być może miał za zadanie chronić tyłek ojcu & synowi Nicolosim przed konsekwencjami ich oszustw, ale tym razem mu się nie udało.

Biuro było otwarte dopiero od pięciu minut, kiedy geometra Tumminello ujrzał przed sobą komisarza Montalbano, i to wcale w nie najlepszym nastroju. Rzeczywiście, komisarz spędził niespokojną noc, nie udało mu się zasnąć i do rana czytał Faulknera. Geometra miał niesfornego syna, który wciąż wdawał się w coraz to nowe bójki, napady i kradzieże, a ostatniej nocy w ogóle nie wrócił do domu. Ujrzawszy więc komisarza, strapiony ojciec poczerwieniał, dłonie zaczęły mu drżeć. Montalbano zauważył tę reakcję i przyszła mu do głowy przykra myśl: pomimo całonocnej lektury wyglądał na glinę.

„Chce coś przede mną ukryć” – dodał w duchu.

– Co się stało? – spytał Tumminello, gotowy na wiadomość, że jego syn został aresztowany. Co byłoby zresztą dobrą wiadomością albo mniejszym złem: mógł przecież zostać zamordowany przez kumpli.

– Potrzebuję pewnej informacji. O pewnym przewłaszczeniu.

Napięcie Tumminella wyraźnie osłabło.

– Opuścił pana strach? – Montalbano nie mógł się powstrzymać od tego pytania.

– Tak – przyznał geometra. – Martwię się o syna. Nie wrócił na noc.

– Często tak robi?

– Widzi pan, on się spotyka...

– Proszę więc się nie martwić – uciął Montalbano, który nie miał czasu na problemy młodocianych przestępców. – Muszę zobaczyć dokumenty sprzedaży lub przewłaszczenia terenów przeznaczonych pod budowę tunelu pod Baranią Górą. To wasza budowa, prawda?

– Tak jest, nasza. Ale nie ma po co brać dokumentów, ja to wszystko znam. Proszę mi tylko powiedzieć, co dokładnie chciałby pan wiedzieć.

– Chcę się dowiedzieć o własność rodziny Rizzitano.

– Tak myślałem – powiedział geometra. – Kiedy dowiedziałem się najpierw o znalezieniu broni, a potem o dwojgu zamordowanych, zadałem sobie pytanie: czy to nie należało do Rizzitana? I sprawdziłem w papierach.

– I co mówią papiery?

– Muszę o czymś uprzedzić. Właściciele terenów, że tak powiem, zniszczonych przez roboty, było czterdziestu pięciu.

– Jezus Maria!

– Widzi pan, niektóre działki wielkości dwóch tysięcy metrów mają po pięciu właścicieli. Nie można wysłać oficjalnego zawiadomienia do wszystkich spadkobierców naraz, trzeba je przesłać do każdego oddzielnie. Kiedy otrzymaliśmy pozwolenie, zaoferowaliśmy właścicielom niską cenę, bo w większości chodziło o obszary rolne. Co do Calogera Rizzitano, domniemanego właściciela – mówię domniemanego, ponieważ nie ma dokumentu, który by to wykazywał, czyli nie ma aktu przekazania, jego ojciec zaś zmarł, mając tytuł własności – musieliśmy powołać się na artykuł sto czterdziesty trzeci kodeksu postępowania cywilnego, ten odnoszący się do sytuacji, w której nie można odnaleźć spadkobiercy. Jak pan zapewne wie, artykuł sto czterdziesty trzeci przewiduje...

- Nie obchodzi mnie to. Jak dawno temu wysłaliście pismo?
- Dziesięć lat temu.
- A więc dziesięć lat temu nie można było znaleźć Calogera Rizzitano?
- Potem również! Ponieważ z czterdziestu pięciu właścicieli czterdziestu czterech odwołało się od zaproponowanej przez nas sumy. I wszyscy wygrali.
- Ten czterdziesty piąty, który się nie odwołał, to Calogero Rizzitano?
- Oczywiście. Odłożyliśmy należne mu pieniądze. Ponieważ, ze wszystkimi konsekwencjami tego faktu, dla nas on wciąż żyje. Nikt nie okazał nam aktu zgonu. Kiedy się pojawi, dostanie swoje pieniądze.

„Kiedy się pojawi” – powiedział geometra, lecz wszystko wskazywało na to, że Lillo Rizzitano nie ma najmniejszej ochoty się pojawić. Lub – co bardziej prawdopodobne – nie jest już w stanie się pojawić. Dyrektor Burgio i sam komisarz uznawali za oczywiste, że Lillo, ranny i wywieziony wojskową ciężarówką nie wiadomo dokąd w nocy dziewiątego lipca, wyzionął już ducha. Przecież nie wiedzieli nawet, jak poważne odniósł rany! Mógł umrzeć podczas transportu albo w szpitalu, jeżeli w ogóle zawieźli go do szpitala. Po co się upierać i wywoływać ducha? Możliwe, że nieboszczycy z jaskini byli w lepszym stanie niż ten, w jakim od dawna znajdował się Lillo Rizzitano. Przez ponad pięćdziesiąt lat ani jednej wiadomości! Nic. Nawet kiedy rekwirowali mu wieś, burzyli pozostałości willi, wywozili rzeczy, które do niego należały. Błądząc po meandrach labiryntu, do którego postanowił wejść, stanął teraz przed wysoką ścianą. I być może było to dobrodziejstwo ze strony labiryntu, który zakazał mu iść dalej, powstrzymując go przed najbardziej logicznym, najbardziej oczywistym rozwiązaniem.

Kolacja była lekka, lecz przygotowana z tym darem, którego Pan Bóg

udziela niezwykle rzadko, i to tylko wybrańcom. Montalbano nie podziękował żonie kwestora; zamiast tego spojrzął na nią oczami bezpańskiego psa, którego ktoś drapie za uchem. Następnie mężczyźni poszli porozmawiać do gabinetu. Zaproszenie kwestora wydało się komisarzowi kołem ratunkowym rzuconym komuś, kto tonie nie tyle we wzburzonym morzu, ile w płaskiej ciszy znużenia, nudy.

Najpierw rozmawiali o Katanii i zgodzili się, że zawiadomienie tamtejszej kwestury o dochodzeniu wobec Brancata przyniosło w efekcie śmierć samego podejrzanego.

– Jesteśmy jak durszlak – stwierdził gorzko kwestor. – Nie możemy zatrzymać żadnej informacji, by nie wyłapali jej nasi wrogowie. Brancato kazał zamordować Ingrassię, który za bardzo się szarpał, lecz kiedy ci, co pociągają za sznurki, dowiedzieli się, że mamy Brancata na muszce, wyeliminowali go i w ten sposób nitka, po której w pocie czoła zmierzaliśmy do kłębka, została skutecznie zerwana.

Był nerwowy, ten wszechobecny podsłuch ranił go, przepełniał goryczą bardziej niż zdrada kogoś z rodziny.

Następnie, po długiej przerwie, podczas której Montalbano nie odezwał się ani słowem, kwestor spytał:

– Jak idzie pańskie dochodzenie w sprawie nieboszczyków w grocie?

Z głosu przełożonego komisarz wywnioskował, że kwestor uważał całe to śledztwo za rozrywkę, kaprys, na który udzielał mu pozwolenia, dopóki nie wróci do pracy nad poważnymi sprawami.

– Udało mi się nawet dowiedzieć, jak on się nazywał – powiedział Montalbano, żeby odegrać się na rozmówcy, który drgnął, zdumiony i zaciekawiony.

– Jest pan niesamowity! Niech pan mówi!

Komisarz opowiedział wszystko, nie zataił nawet komedii, którą odegrał wobec De Dominicisa, a która rozbawiła kwestora. Zakończył czymś w rodzaju deklaracji bankruta: śledztwo nie ma już sensu – powiedział – również dlatego, że nie można nawet stwierdzić, czy Lillo Rizzitano wciąż żyje.

– A jednak – odezwał się kwestor po dłuższym namyśle – jeśli ktoś chce zniknąć, to może to zrobić skutecznie. Mało to osób pozornie rozpląnęło się w nicości, a potem, nagle, oto i oni! Nie chcę już powoływać się na Pirandella, ale weźmy na przykład Sciascię. Czy zna pan jego książeczkę o zniknięciu fizyka Majorany?

– Oczywiście.

– Jestem przekonany, zresztą podobnie jak w głębi duszy Sciascia, że Majorana chciał zniknąć i w pełni mu się to udało. To nie było samobójstwo, za bardzo wierzył w Boga.

– Zgadzam się.

– A poza tym przecież całkiem niedawno ten profesor uniwersytetu w Rzymie wyszedł rano z domu i już nie wrócił. Szukali wszyscy: policja, karabinierzy, nawet studenci, którzy bardzo go lubili. Zaplanował swoje zniknięcie i mu się powiodło.

– To prawda – przytaknął Montalbano.

Następnie zastanowił się nad treścią rozmowy i spojrzał na przełożonego.

– Mam wrażenie, że zachęca mnie pan, żebym w dalszym ciągu prowadził śledztwo, a przecież kiedyś zarzucił mi pan, że za bardzo zajmuję się tą sprawą.

– I co z tego? Teraz pan jest na zwolnieniu, a wtedy był pan na służbie. To chyba spora różnica – odparł kwestor.

Wrócił do domu, chodził z pokoju do pokoju. Po spotkaniu z geometrą niemal już postanowił machnąć na wszystko ręką, ponieważ nabrał przeświadczenia, że Rizzitano od dawna leży w grobie. Ale kwesor jak gdyby go wskrzesił. Czy pierwsi chrześcijanie nie używali słowa „zaśnięcie” na określenie śmierci? Było przecież bardzo prawdopodobne, że Rizzitano przeszedł w stan spoczynku w takim samym znaczeniu, w jakim w stan spoczynku przechodzą wojskowi. Lecz jeśli sprawy tak się miały, to trzeba znaleźć sposób, żeby go wydobyć z głębokiej studni, w której się pogrzyżył. Przydałoby się coś dużego, co wywołałoby wielki hałas, o czym mówiłyby wszystkie gazety, o czym bębniłaby telewizja w całych Włoszech. Musi uderzyć w stół. Ale jak? Machnąć ręką na logikę, wykazać trochę fantazji.

Była jedenasta, za wcześnie na sen. Położył się w ubraniu i zaczął czytać *Punkt zwrotny*.

*Wczoraj o północy ostatecznie zaniechano poszukiwań dala Rogera Shumanna, pilota wyścigowego, który wpadł w jezioro w sobotę po południu. Poszukujący go dwupłatowiec o mocy około osiemdziesięciu koni mechanicznych zdołał wylecieć nad tę wodę i wrócić, nie rozpadając się, jak również upuścić wieniec z kwiatów mniej więcej o trzy czwarte mili od miejsca, gdzie przypuszczalnie znajduje się ciało Shumanna...** [William Faulkner, *Punkt zwrotny*; przeł. Zofia Kierszys.]

Do zakończenia powieści brakowało kilku linijek, lecz komisarz usiadł na łóżku, z szeroko otwartymi oczami.

„To szaleństwo – pomyślał – ale popelnię je”.

– Czy zastałem panią Ingrid? Wiem, że jest późno, ale muszę z nią porozmawiać.

– Nie dom pani. Ty mówić, ja pisać.

Rodzina Cardamone miała prawdziwy dar do wyszukiwania sobie pomocy domowej w miejscach, gdzie nawet Tristan da Cunha bałby się postawić stopę.

– *Manau tupapau* – powiedział komisarz.

– Nic rozumieć.

Przytoczył tytuł jednego z obrazów Gauguina; było wykluczone, żeby pokojówka pochodziła z Polinezji albo okolic.

– Ty być gotowa pisać? Pani Ingrid telefonować pan Montalbano, kiedy ona wrócić do dom.

Kiedy Ingrid dotarła do Marinelli, minęła już druga. Była w stroju wieczorowym, z wycięciem po same pośladki. Bez zmrużenia oka przyjęła prośbę komisarza o natychmiastowe spotkanie.

– Przepraszam, ale nie miałam czasu się przebrać. Byłam na potwornie nudnym przyjęciu.

– Co ci jest? Coś mi się nie podobasz. Czy tylko dlatego, że nie bawiłaś się najlepiej?

– Nie tylko, masz rację. Mój teść znów się do mnie dobiera. Wczoraj rano wpadł do mojego pokoju, kiedy leżałam jeszcze w łóżku. Chciał mnie natychmiast. Przekonałam go, żeby wyszedł, grożąc, że zacznę wrzeszczyć.

– A więc trzeba będzie się nim zająć – powiedział komisarz z uśmiechem.

– Jak?

– Zaaplikujemy mu kolejną porcję wstrząsu.

Pod pytającym spojrzeniem Ingrid przekręcił klucz, z szuflady biurka wyjął kopertę, podał przyjaciółce. Zobaczywszy zdjęcia, na których było wyraźnie widać, jak teść ją rżnie, Ingrid najpierw pobladła, potem oblała się

rumieńcem.

– To ty zrobiłeś?

Montalbano zastanowił się. Gdyby powiedział, że zdjęcia zrobiła kobieta, Ingrid mogłaby ją zamordować.

– Tak, ja.

Od gwałtownego ciosu Szwedki podskoczyła mu głowa, ale spodziewał się tego.

– Wysłałem już trzy do twojego teścia, a on się przestraszył i przez jakiś czas miałś spokój. Teraz prześlę mu kolejne trzy.

Ingrid poderwała się, jej ciało przylgnęło do ciała Montalbana, jej wargi wpiły się w jego wargi, jej język splótł się z jego językiem. Montalbano poczuł, że miękną mu nogi, na szczęście Ingrid się odsunęła.

– Spokojnie – powiedziała. – Już po wszystkim. To było tylko podziękowanie.

Na odwrocie fotografii, które Ingrid wybrała osobiście, napisał: DAJ SOBIE SPOKÓJ ALBO ZOBACZYSZ SIĘ W TELEWIZJI.

– Pozostałe będę trzymał tutaj – oznajmił komisarz. – Powiedz, kiedy ci będą potrzebne.

– Mam nadzieję, że jak najpóźniej.

– Wyślę je jutro rano, a w dodatku postraszę go anonimowym telefonem, aż dostanie zawału. Teraz posłuchaj, muszę opowiedzieć ci długą historię. A potem zapytam, czy możesz mi pomóc.

Wstał bladym świtem, ponieważ po wyjściu Ingrid nie mógł zmrużyć oka. Przejrzał się w lustrze: twarz miał wymiętą, wyglądał pewnie jeszcze gorzej, niż kiedy leżał ranny. Musiał pójść do szpitala na wizytę kontrolną. Stwierdzili, że jest w doskonałym stanie, i z pięciu lekarstw zostawili mu

tylko jedno. Następnie poszedł do banku w Montelusie, gdzie trzymał tę niewielką sumkę, którą w jakiś sposób udało mu się odłożyć, i poprosił o prywatną rozmowę z dyrektorem.

– Potrzebuję dziesięciu milionów.

– Czy ma je pan na koncie, czy chodzi o pożyczkę?

– Mam.

– A więc, przepraszam, jaki jest problem?

– Taki, że chodzi o operację policyjną, którą chcę przeprowadzić na własny koszt, nie narażając pieniędzy państwowych. Jeśli pójde teraz do kasy i poproszę o dziesięć milionów w banknotach po sto tysięcy lirów, będzie to żądanie dziwne, dlatego musi mi pan pomóc.

Ze zrozumieniem i dumą, że bierze udział w operacji policyjnej, dyrektor dwoił się i troił.

Ingrid postawiła swój samochód obok samochodu komisarza, tuż za granicą Montelusy, pod drogowskim wskazującym kierunek Palermo. Montalbano wręczył przyjaciółce kopertę wypełnioną dziesięcioma milionami, którą włożyła do torebki w kształcie worka.

– Zadzwoń do mnie do domu, kiedy tylko załatwisz. I nie pozwól się okraść, proszę.

Uśmiechnęła się, koniuszkami palców posłała mu całusa i ruszyła przed siebie.

W Vigacie zaopatrzył się w papierosy. Kiedy wychodził ze sklepu, zobaczył wielki zielony plakat z czarnymi literami, jeszcze wilgotny od kleju. Zachęcał on obywateli do kibicowania uczestnikom wielkich zawodów motokrosowych, które miały się odbyć w niedzielę o piętnastej w miejscu

nazywanym „równiną Baraniej Góry”.

Na taki zbieg okoliczności nie liczył. Czy to możliwe, żeby ściana labiryntu litośnie się poruszyła i otwierała przed nim jeszcze inną drogę?

24

„Równina Baraniej Góry”, która zaczynała się u stóp skały, nawet nie marzyła o tym, żeby nazywać się równiną: doły, występy i grzędzawiska sprawiały, że była idealnym miejscem na motocyklowy przejazd. Dzień zdecydowanie zapowiadał już lato i ludzie nie czekali do trzeciej po południu, żeby się stawić na miejsce wyścigu. Ściągali tam już od rana, z babkami, dziadkami, wnuczkami i siostrzeńcami, z wielkim apetytem nie tyle na udział w zawodach, ile na zwykły piknik za miastem.

Montalbano zadzwonił rano do Nicoló Zito.

– Idziesz na zawody motokrosowe dziś po południu?

– Ja? A po co? Wysłaliśmy dziennikarza sportowego i operatora.

– Nie, pytałem, czy pojedziemy razem, ty i ja, dla zabawy.

Na równinę dotarli około wpół do trzeciej. Do rozpoczęcia zawodów zostało jeszcze sporo czasu, panował już jednak ogłuszający ryk, który wydobywał się przede wszystkim z pięćdziesiątki motocyklowych silników, ciągle sprawdzanych i rozgrzewanych, a także z głośników, które na cały regulator nadawały hałaśliwą muzykę.

– A od kiedy to interesujesz się sportem? – spytał zdziwiony Zito.

– Czasami mnie nachodzi.

Choć byli na dworze, to żeby nawzajem się słyszeć, musieli podnosić głos. Otaczał ich taki zgiełk, że kiedy nad skałą pojawił się mały samolot turystyczny i rozwinął transparent, niewielu go zauważyło, a warkot, który zazwyczaj sprawia, że wszyscy instynktownie podnoszą oczy ku niebu, nie

docierał do uszu zgromadzonych. Być może pilot zrozumiał, że w ten sposób nigdy nie ściągnie na siebie uwagi, ponieważ po kilku małych okrążeniach skierował się ku równinie, prosto na tłum, zaczął wytwornie pikować, a następnie przeleciał nisko ponad głowami gapiów. Praktycznie zmusił obecnych do przeczytania transparentu, a potem do śledzenia wzrokiem samolotu, który lekko wzbił się w powietrze, jeszcze trzykrotnie przeleciał nad szczytem, zniżył lot, niemal muskając ziemię przed szeroko otwartym wejściem do jaskini, i sypnął deszczem różanych płatków. Tłum zamilkł, wszyscy pomyśleli o dwojgu zmarłych z groty, a tymczasem samolot zakręcił, zawrócił i znów przeleciał tuż nad ziemią, wypuszczając tym razem miriady karteczek, po czym skierował się ku horyzontowi i zniknął. Jeżeli napis na transparencie wzbudził wielkie zainteresowanie, ponieważ nie reklamował ani napoju, ani fabryki mebli, a tylko zawierał dwa imiona, Lisetta i Mario, jeżeli deszcz płatków przyprawił publiczność o coś w rodzaju zbiorowego dreszczu, to lektura ulotek, które wszystkie były tej samej treści, wywołała ożywiony łańcuch przypuszczeń i hipotez, histeryczną serię zgadywanek. Co to miało znaczyć: LISETTA I MARIO ZAPOWIADAJĄ SWOJE PRZEBUDZENIE? Nie było to zaproszenie na ślub ani na chrzciny. A więc? W gąszczu pytań ludzie byli przekonani o jednym: że samolot, płatki, bileciki i transparent miały coś wspólnego ze zmarłymi z jaskini.

Następnie rozpoczęły się zawody i ludzie, już nieco rozprężeni, poświęcili uwagę motokrosowi. Kiedy samolot zrzucił płatki, Nicoló Zito powiedział do Montalbana, żeby nie ruszał się z miejsca, i zniknął w tłumie.

Wrócił po upływie kwadransa w towarzystwie operatora Retelibery.

– Udzielisz mi wywiadu?

– Chętnie.

Właśnie ta nieoczekiwana gotowość komisarza utwierdziła dziennikarza w przekonaniu, że w całej tej historii z samolotem Montalbano tkwi aż po

uszy.

– W trakcie przygotowań do zawodów motokrosowych w Vigacie wydarzyła się przed chwilą rzecz niezwykła. Mała awionetka reklamowa...

I tu dał opis tego, co się wydarzyło.

– Jako że szczęśliwym zbiegiem okoliczności jest tu komisarz Salvo Montalbano, chcemy zadać mu kilka pytań. Kim według pana są Lisetta i Mario?

– Mógłbym udzielić wykrętej odpowiedzi – zaczął mówić bez ociągania komisarz – na przykład takiej, że nic o tym nie wiem, że być może jakaś para nowożeńców pragnie uczcić swój ślub w oryginalny sposób. Ale moim słowom przeczyłaby wówczas treść bileciku, który nie mówi o ślubie, lecz o przebudzeniu. A więc odpowiem uczciwie na pańskie pytanie: Lisetta i Mario to imiona ofiar morderstwa, znalezionych w grocie skały, przed którą właśnie się znajdujemy.

– Ale co to wszystko znaczy?

– Tego nie umiem powiedzieć. Trzeba by zapytać osoby, która zorganizowała cały ten pokaz.

– Jak się panu udało dokonać identyfikacji?

– Przypadkiem.

– Czy może pan podać nazwiska?

– Nie. Znam je, ale ich nie ujawnię. Mogę tylko powiedzieć, że dziewczyna pochodziła stąd, a on był marynarzem z Północy. Dodam, że osoba, która chciała w tak widowiskowy sposób upamiętnić odnalezienie ich ciał, określone jako przebudzenie, zapomniała o psie, który również, biedaczek, miał swoje imię: nazywał się Kitmir i był psem arabskim.

– Ale w jakim celu morderca zorganizował to całe przedstawienie?

– Chwileczkę... Kto panu powiedział, że morderca i organizator tego

przedstawienia to ta sama osoba? Ja na przykład tak nie uważam.

– Pędzę zmontować reportaż – oznajmił Nicoló Zito, rzucając mu dziwne spojrzenie.

Po chwili nadbiegli ludzie z Telegaty, z regionalnej redakcji telewizji państwowej, z telewizji prywatnych. Na wszystkie pytania Montalbano odpowiadał uprzejmie i z nienaturalną w jego przypadku swobodą.

Poczuł potężny głód. W gospodzie „San Calogero” zafundował sobie prawdziwą ucztę, zamawiając mnóstwo rybnych przekąsek. Następnie pobiegł do domu, włączył telewizor i nastawił na Retelibere. Podając wiadomość o tajemniczym locie, Nicoló Zito odpowiednio ją wyeksponował, rozdymając na wszystkie możliwe sposoby. Najbardziej jednak zainteresował komisarza nie tyle wywiad z nim samym, ile rozmowa, jaką nieoczekiwanie dla niego Zito przeprowadził z dyrektorem agencji Publiduemila z Palermo. Prawdę mówiąc, łatwo go było namierzyć, ponieważ agencja ta, jako jedyna w zachodniej części Sycylii, dysponowała samolotem reklamowym.

Dyrektor, wyraźnie rozemocjonowany, powiedział, że młoda i piękna kobieta, Jezuu, co za kobieta!, jak malowana, coś jakby modelka, taka sama jak te, które ogląda się w kolorowych pismach, Jezuu, jaka piękna!, cudzoziemka, ponieważ mówiła źle po włosku („Powiedziałem, że źle? Pomyliłem się, z jej warg nasz język spływał jak miód!”), nie, nie mógł być pewny co do narodowości, Niemka albo Angielka, cztery dni temu przyszła do agencji („Boże! Zjawisko!”) i spytała o samolot. Wyjaśniła dokładnie, co miało być napisane na transparencie i na ulotkach. Tak, to ona chciała tych płatków róży. Ach, co do miejsca, to była dokładna, że nie wiem! Precyzyjna. Pilot ze swej strony, powiedział dyrektor, sam podjął inicjatywę: zamiast rozrzucić ulotki na chybił trafił nad plażą, wybrał tłum ludzi, którzy oglądali wyścig. Kobieta („Matko Przenajświętsza, lepiej, żebym przestał o niej

mówić, bo mnie żona zabije!”) zapłaciła już przy zamówieniu, i to gotówką, kazała sobie wystawić fakturę na nazwisko Rosemarie Antwerpen, na jakiś brukselski adres. I o nic już nie pytał nieznajomej („Boże!”), a poza tym dlaczego miałby pytać? Nie prosiła przecież, żeby zrzucił bombę! Była taka piękna! I delikatna! I uprzejma! A jak się uśmiechała! Jak ze snu.

Montalbano słuchał tego z przyjemnością. Kiedy prosił Ingrid o przysługę, powiedział:

– Musisz wyglądać jak najładniej. Tak, żeby ten, kto z tobą będzie rozmawiał, zupełnie zgłupiał.

Na tajemniczą piękność rzuciła się Televigata, nazywając ją „zmartwychwstałą Nefretete” i wymyślając fantastyczną historię, łączącą piramidy z grotami, ale od razu było widać, że podczepiła się pod informacje podane przez Nicoló Zito w konkurencyjnej stacji. Nawet regionalne wydanie telewizji publicznej poświęciło sprawie wiele miejsca.

Montalbano chciał wywołać hałas, szum, rozgłos i właśnie osiągnął swój cel. Pomysł, który mu przyszedł do głowy, okazał się skuteczny.

– Montalbano? Mówi kwestor. Teraz rozumiem całą tę historię z samolotem. Gratuluję, genialny pomysł.

– To pańska zasługa, to pan kazał mi w dalszym ciągu prowadzić śledztwo, pamięta pan? Próbuję zwabić naszego człowieka. Jeśli nie da o sobie znać w rozsądnym czasie, to będzie znaczyło, że nie ma go już pośród żywych.

– Powodzenia. Proszę mnie informować. Aha, oczywiście to pan zapłacił za samolot?

– Oczywiście. Mam nadzieję na obiecaną nagrodę.

– Komisarz? Mówi Burgio. Jesteśmy z żoną zachwyceni pańskim

pomysłem.

- Oby przyniósł skutek.
- Komisarzu, gdyby przypadkiem Lillo się pojawił, prosimy dać nam znać.

W północnym wydaniu wiadomości Nicoló Zito poświęcił wydarzeniu więcej miejsca, demonstrując zdjęcia zmarłych z groty, nie szczędząc zbliżeń i szczegółów.

„To ten bezczelny Jacomuzzi mu je udostępnił” – pomyślał Montalbano.

Zito pokazał ciało chłopca, którego nazywał imieniem Mario, następnie ciało dziewczyny, którą nazywał Lisetta; pokazał też samolot, który zrzucał płatki róży, a następnie, na dużym zbliżeniu, napis na ulotkach. Od tego miejsca zaczął odtwarzać historię równie tajemniczą co łzawą, raczej w stylu Telegigaty niż Retelibery. Dlaczego kochankowie zostali zamordowani? Jaki to smutny los zgotował im taki koniec? Kto ułożył ich miłosiernie w jaskini? Być może piękna kobieta, która zjawiała się w agencji reklamowej, przybyła z przeszłości, żeby w imieniu zamordowanych zażądać zemsty. A jakie więzi łączyły tę piękność z dwojgiem młodych ludzi sprzed pięćdziesięciu lat? Jakie znaczenie miało słowo „przebudzenie”? Dlaczego komisarz Montalbano znał nawet imię psa z terakoty? Co naprawdę wiedział o tej tajemnicy?

– Salvo? Mówi Ingrid. Mam nadzieję, że nie pomyślałeś, że związałam z twoimi pieniędzmi.

– Pewnie, że nie. A zostało ci trochę?

– Tak, kosztowało mniej niż połowę tego, co mi dałeś. Mam całą resztę i oddam ci zaraz po powrocie do Montelusy.

– Skąd dzwonicz?

– Z Taorminy. Spotkałam takiego jednego. Wrócę za cztery, pięć dni. Dobrze się spisałam? Czy wszystko poszło po twojej myśli?

– Spisałaś się znakomicie. Baw się dobrze.

– Montalbano? Mówi Nicoló. Podobał ci się mój materiał? Podziękuj mi.

– Za co?

– Zrobiłem dokładnie to, co chciałeś.

– O nic cię nie prosiłem.

– To prawda, o nic wprost. Tyle że nie jestem taki głupi, od razu zrozumiałem, że chcesz, żeby cała ta historia zyskała możliwie duży rozgłos, żebym przedstawił ją w jakimś sensacyjnym ujęciu. Powiedziałem rzeczy, których będę się wstydził aż po kres moich dni.

– Dziękuję, choć powtarzam, że nie wiem, dlaczego żądasz ode mnie podziękowań.

– Masz pojęcie? Nasza centrala telefoniczna dosłownie się zablokowała. Reportaż został zamówiony przez telewizję publiczną, przez Fininvest, przez Anse, przez wszystkie włoskie gazety. Wypuściłeś piękny fajerwerk. Czy mogę zadać ci jedno pytanie?

– Oczywiście.

– Ile zapłaciłeś za wynajęcie samolotu?

Spał wyśmienicie, jak bogowie zadowoleni ze swojego dzieła. Zrobił wszystko, co możliwe i co niemożliwe, teraz trzeba było już tylko czekać na odpowiedź; komunikat został nadany w taki sposób, żeby – mówiąc językiem Alcide Maraventano – ktoś mógł odszyfrować kod.

Pierwszy telefon otrzymał o siódmej rano. Dzwonił Luciano Acquasanta z „Mezzogiorno”, który zinterpretował wydarzenia na swój sposób i był

ciekaw opinii komisarza. Czy to niemożliwe, żeby tych dwoje padło ofiarą jakiegoś satanistycznego rytuału?

– Dlaczego nie? – odparł uprzejmie i przyjaźnie Montalbano.

Drugi telefon otrzymał kwadrans później. Zdaniem Stefanii Quattrini z pisma „Essere donna” Mario podczas stosunku z Lisettą został zaatakowany przez zazdrosną kobietę – wiadomo, jacy są marynarze, prawda? – która zabiła oboje kochanków, a potem uciekła za granicę. Jednakże na łożu śmierci zwierzyła się córce, która z kolei wyjawiała swojej córce ów straszny sekret. Żeby w jakiś sposób naprawić zło, dziewczyna przyjechała do Palermo – mówiła z cudzoziemskim akcentem, prawda? – i zorganizowała to całe przedstawienie z samolotem.

– Dlaczego nie? – odparł uprzejmie i przyjaźnie Montalbano.

Hipotezę Cosima Zappala z tygodnika „Vivere!” poznał o siódmej dwadzieścia pięć. Lisetta i Mario, upojeni miłością i młodością, mieli w zwyczaju chodzić po łąkach nago, jak Adam i Ewa, trzymając się za ręce. Pewnego tragicznego dnia zostali napadnięci przez oddział wycofujących się Niemców, którzy, powodowani strachem i wściekłością, zgwałcili ich i zamordowali. Na łożu śmierci jeden z Niemców... I tu historia wymyślona przez Cosima Zappala zagadkowo nakładała się na historię Stefanii Quattrini.

– Dlaczego nie? – odparł uprzejmie i przyjaźnie Montalbano.

O ósmej załomotał Fazio, który – jak zostało mu przykazane poprzedniego wieczoru – przywiózł wszystkie gazety, jakie tylko docierały do Vigaty, Komisarz wertował je, odpowiadając na coraz to nowe telefony. Wszystkie redakcje, mniej lub bardziej dobitnie, eksponowały wydarzenie, do którego doszło przed grotą. Najbardziej rozbawił go tytuł w „Corriere”: *Komisarz zidentyfikował psa z terakoty, który zdechł pięćdziesiąt lat temu*. Wszystko mu przyjało, nawet zabawa jego kosztem.

Adelina zdziwiła się, że komisarz nie jest jak zwykle poza domem.

– Adelino, posiedzę kilka dni w domu, czekam na ważny telefon, więc spróbuj mi zapewnić komfortowy pobyt.

– Nie zrozumiałam ani słowa z tego, co pan powiedział.

Montalbano wytłumaczył jej więc, że ma za zadanie urozmaicić mu dobrowolne odosobnienie wyteżoną wyobraźnią kulinarną.

Około dziesiątej zadzwoniła Livia.

– Co się dzieje? Telefon jest ciągle zajęty!

– Przepraszam cię, ale otrzymuję mnóstwo telefonów w związku z...

– Wiem, w związku z czym. Widziałam cię w telewizji. Byłeś rozluźniony, błyskotliwy, jak nie ty. Od razu widać, że beze mnie czujesz się lepiej.

Zadzwonił do Fazio z prośbą, żeby przyniósł mu pocztę i kupił przedłużacz do telefonu. Poczta – dodał – musi być dostarczana do jego domu codziennie, jak tylko zostanie doręczona. I żeby powiedział wszystkim, że jeśli ktoś będzie o niego pytał, mają podawać jego prywatny numer bez żadnych ceregieli.

Nie minęła godzina, a Fazio przyniósł mu jakieś dwie nieważne kartki pocztowe i przedłużacz.

– Co słyhać w biurze?

– A co ma być słyhać? To pan ściąga na siebie grubsze rzeczy, a komisarz Augello zajmuje się duperelami, kieszonkowcami, kradzieżami, małymi bójkami.

– Co to znaczy, że ściągam na siebie grubsze rzeczy?

– Znaczy to, co znaczy. Na przykład moja żona boi się myszy. I, proszę mi wierzyć, ściąga je na siebie. Tam, gdzie jest ona, są też i myszy.

Od czterdziestu ośmiu godzin był uwiązany jak pies do łańcucha. Jego pole manewru wyznaczała długość przedłużacza, więc nie mógł iść nad brzeg morza ani pobiegać. Telefon bez przerwy nosił przy sobie, nawet gdy szedł do ubikacji, i co jakiś czas – tej manii nabawił się już po upływie pierwszej doby – podnosił słuchawkę i przykładał do ucha, żeby sprawdzić, czy działa. Trzeciego dnia rano przyszła mu do głowy myśl: „Po co się myjesz, skoro nie możesz wyjść?” I zaraz po niej następna: „A więc po co się golić?” Czwartego dnia rano, brudny, nieogolony, w kapciach i wciąż w tej samej koszuli, przestraszył Adelinę.

- Matko Przenajświętsza, komisarzu, co się stało? Jest pan chory?
- Tak.
- To dlaczego nie wezwie pan lekarza?
- Na moją chorobę lekarz nic nie poradzi.

Był wielkim tenorem, podziwianym na całym świecie. Tego wieczoru miał śpiewać na scenie operowej w Kairze, w tym starym teatrze, który jeszcze nie spłonął, ale on dobrze wiedział, że za jakiś czas budynek pochłonie pożar. Poprosił portiera, żeby go poinformował, kiedy tylko pan Gege zajmie swoje miejsce na widowni, piąty fotel w drugim rzędzie, po prawej stronie. Był w kostiumie, skończyli poprawiać mu makijaż. Usłyszał wezwanie. Nie ruszył się. Nadbiegł zdyszany portier, aby powiedzieć, że pan Gege – który nie umarł, to było oczywiste, bo przecież uciekł do Kairu – jeszcze się nie pojawił. Wszedł szybko na scenę, spojrzął na salę przez szczelinę w kurtynie: teatr pękał w szwach, wolny pozostawał jedynie piąty fotel po prawej stronie, w drugim rzędzie. Wtedy podjął natychmiastową decyzję; wrócił do garderoby, zdjął kostium i włożył własne ubranie, nie zmywając charakterystyki ani nie zdejmując długiej siwej brody i gęstych białych brwi. Nikt go nie rozpozna, nie będzie już śpiewał. Doskonale rozumiał, że jego

kariera jest skończona, że będzie musiał jakoś się urządzić, żeby mieć środki do życia, ale nic nie mógł na to poradzić: nie umiał śpiewać bez Gege.

Obudził się zlany potem. Na swój sposób starał się odczytać klasyczny freudowski sen o pustej scenie. Co on miał oznaczać? Że daremne oczekiwanie na Lilla Rizzitano zrujnuje mu życie?

– Pan komisarz? Mówi Burgio. Dawno się nie słyszeliśmy. Czy są jakieś wiadomości o naszym wspólnym znajomym?

– Nie.

Narazając się na opinię gburą, postanowił jednosylabowymi, lakonicznymi odpowiedziami zniechęcać dzwoniących do długich albo niepotrzebnych rozmów. Gdyby Rizzitano zdecydował się na telefon, po pierwszej nieudanej próbie mógłby zrezygnować.

– Myślę, że pozostaje nam tylko jeden sposób, żeby porozmawiać z Lillem, i proszę mi wybaczyć ten dowcip. Ostatni ratunek to okrągły stolik na trzech nogach.

Miał wielką awanturę z Adelina. Kiedy tylko weszła do kuchni, od razu zaczęła krzyczeć. Zaraz potem wkroczyła do jego sypialni.

– Wczoraj nie jadł pan ani obiadu, ani kolacji!

– Nie byłem głodny, Adelino.

– To ja urabiam sobie ręce po łokcie, żeby pan jadł jak się należy, a pan ma to w nosie!

– Niczego nie mam w nosie. Przecież mówiłem, że zawodzi mnie apetyt.

– A poza tym ten dom wygląda jak chlew! Nie chce pan, żebym posprzątała podłogę, nie chce pan, żebym wyprała ubrania! Od pięciu dni chodzi pan w tej samej koszuli i w tych samych majtkach! Śmierdzi pan!

– Przepraszam, Adelino. Zobaczysz, to minie.

– A więc kiedy panu już minie, to niech pan wtedy zadzwoni, a ja przyjdę. Przedtem moja noga tu nie postanie. Kiedy pan się lepiej poczuje, niech pan zadzwoni.

Wyszedł na werandę, usiadł na ławce, postawił obok telefon i zaczął się wpatrywać w morze. Nic innego nie był w stanie robić, ani czytać, ani pisać, ani nawet myśleć, nic. Tylko patrzeć na morze. Zaczynał się gubić, sam to rozumiał, w bezdennej studni obsesji. Przypomniawszy sobie film, nakręcony chyba na podstawie opowiadania Durrenmatta: pewien komisarz uparł się, żeby czekać na mordercę, który miał się pojawić w konkretnym miejscu w górach, lecz nigdy już się tam nie pojawił; tyle że komisarz tego nie przewidział, więc czekał, wciąż czekał, mijały dni, miesiące i lata...

Około jedenastej rano zadzwonił telefon. Po raz pierwszy od porannej rozmowy z dyrektorem szkoły. Montalbano nie podniósł słuchawki, siedział jak sparaliżowany. Miał niezachwianą pewność – i nie pojmował dlaczego – że wie, kto się odezwie po drugiej stronie.

Zdobył się na odwagę, podniósł słuchawkę.

– Halo, czy to komisarz Montalbano?

Odezwał się piękny, głęboki głos starego mężczyzny.

– Tak, to ja – powiedział komisarz. I nie mógł się powstrzymać, by nie dodać: – Nareszcie!

– Nareszcie – powtórzył rozmówca.

Przez chwilę milczeli, słuchając tylko swoich oddechów.

– Właśnie przyleciałem na Punta Raisi. Będę mógł być u pana najpóźniej o trzynastej trzydzieści. Jeśli to panu odpowiada, proszę mi dokładnie wytłumaczyć, gdzie możemy się spotkać. Długo mnie tu nie było. Pięćdziesiąt lat.

25

Odkurzył, zamiótł, wytarł podłogę, a wszystko to z szybkością niemego kina. Następnie poszedł do łazienki i wymył się tak dokładnie, jak przedtem tylko raz w życiu, kiedy miał szesnaście lat i wybierał się na pierwszą randkę. Bez końca stał pod prysznicem, myjąc pachy i skórę ramion, na koniec wylał na siebie pół butelki wody kolońskiej. Wiedział, że zachowuje się śmiesznie, lecz wybrał najlepsze ubranie, najbardziej elegancki krawat, wyczyścił buty, aż wyglądały, jakby miały wmontowany neon. Potem przyszło mu do głowy, że powinien nakryć stół; co prawda dopadł go właśnie wściekły głód, ale był pewny, że nie przełknie ani kęsa.

Czekał, czas potwornie mu się dłużył. Minęła pierwsza trzydzieści, poczuł się źle, niemal zasłabł. Nalał sporą dawkę czystej whisky i wlał sobie do gardła. I wreszcie nadeszło wyzwolenie: usłyszał szum samochodu na alejce dojazdowej. Pobiegł otworzyć furtkę. Z taksówki, która przyjechała z Palermo, wysiadł bardzo dobrze ubrany starszy mężczyzna, z laską w jednej ręce i z neseserem w drugiej. Zapłacił i kiedy taksówka zaczęła wykręcać, rozejrzał się dokoła. Wyprostowany, z podniesionym czołem, budził szacunek. Montalbanowi natychmiast się wydało, że już go gdzieś kiedyś widział. Wyszedł mu naprzeciw.

– Tu wszędzie są domy? – spytał starzec.

– Tak.

– Kiedyś nie było tu nic, tylko zarośla, piasek i morze.

Nie przywitali się, nie przedstawili sobie. Przecież się znali.

– Jestem prawie całkiem ślepy, naprawdę niewiele widzę – powiedział

starzec, siadając na ławce na werandzie – ale wydaje mi się, że jest tu pięknie, spokojnie.

Dopiero w tej chwili komisarz przypomniał sobie, gdzie widział tego mężczyznę, a raczej nie jego, lecz jego sobowtóra – na okładce książki Jorge Luisa Borgesa.

– Czy coś pan zje?

– Jest pan bardzo uprzejmy, chętnie – powiedział starzec po chwili wahania – ale coś naprawdę niewielkiego, jakąś sałatkę, kawałek chudego sera, do tego może szklanek wina.

– Proszę wejść, właśnie nakryłem do stołu.

– Zje pan ze mną?

Montalbano miał ściśnięty żołądek, poza tym był dziwnie wzruszony. Skłamał.

– Już jadłem.

– Jeśli to panu nie robi różnicy, czy możemy zostać tutaj?

Rizzitano powiedział to po sycylijsku jak cudzoziemiec, który usiłuje używać języka tubylców.

– Zdałem sobie sprawę, że odgadł pan prawie wszystko – powiedział, jedząc powoli – kiedy czytałem artykuł w „Corriere”. Wie pan, już nie oglądam telewizji, widzę tylko smugi, od których bolą mnie oczy.

– Mnie również, choć nie mam kłopotów ze wzrokiem – wtrącił Montalbano.

– Mimo to wiedziałem już wcześniej, że odnalazł pan Lisettę i Maria. Mam dwóch synów, jeden jest inżynierem, drugi profesorem, tak jak ja. Obaj mają już swoje rodziny. Jedna z moich synowych to żarliwa zwolenniczka Ligi Północnej, nieznośna kretynka, kocha mnie, ale uważa za wyjątek, ponieważ

myśli, że wszyscy z Południa to zbrodniarze, a w najlepszym wypadku nieroby. Dlatego nigdy mi nie oszczędzi informacji takich jak ta: wiesz, tato, w twoich okolicach – moje okolice rozciągają się dla niej od Sycylii do Rzymu – zabili tego, porwali tamtego, aresztowali jeszcze innego, podłożyli bombę, znaleźli w jaskini, i to w twoim miasteczku, takich dwoje, których zamordowano pięćdziesiąt lat temu...

– Jak to? – wtrącił Montalbano. – To pańska rodzina wie, że pan jest z Vigaty?

– Pewnie, że wie, ale nikomu, nawet kochanej żonie, nie powiedziałem, że mam jeszcze ziemię w Vigacie. Wiedzą tylko, że moi rodzice i znaczna część krewnych zginęli podczas bombardowań. W żaden sposób nie mogli mnie powiązać z ofiarami z jaskini, nie mieli pojęcia, że ten kawałek ziemi był moją współwłasnością. Ale ja, kiedy się o tym dowiedziałem, rozchorowałem się i dostałem wysokiej gorączki. Przeszłość gwałtownie przypominała o sobie. Mówiłem panu o artykule w „Corriere”. Było tam napisane, że pewien komisarz z Vigaty, ten sam, który znalazł zwłoki, nie tylko zdołał zidentyfikować obydwie ofiary, lecz również doszedł do tego, że pies z terakoty nazywał się Kitmir. Nabrałem zatem pewności, że dotarł pan do mojej pracy dyplomowej. A więc przesyłał mi pan jakiś komunikat. Musiałem stracić dużo czasu, żeby przekonać synów, że chcę jechać sam. Powiedziałem, że przed śmiercią pragnę zobaczyć miejsca, w których się urodziłem i gdzie mieszkałem w młodości.

Montalbano to nie przekonywało, więc przerwał starcowi.

– Chce pan powiedzieć, że wszyscy w pańskiej rodzinie wiedzieli, że pan pochodzi z Vigaty?

– Dlaczego miałbym to ukrywać? I nigdy nie zmieniłem nazwiska, nigdy nie sfalszowałem dokumentów.

– To znaczy, że udało się panu zniknąć, choć wcale się pan o to nie starał?

– Właśnie tak. Człowieka znajduje się dopiero wtedy, kiedy ktoś inny naprawdę potrzebuje lub chce go odnaleźć... W każdym razie musi mi pan uwierzyć, że zawsze żyłem pod własnym imieniem i nazwiskiem, przystępowałem do konkursów, wygrywałem je, nauczałem, ożeniłem się, miałem synów, wnuki noszą moje nazwisko. Emeryturę pobieram jako Calogero Rizzitano, urodzony w Vigacie.

– Ale przecież musiał pan pisać... no nie wiem... do urzędu miasta, na uniwersytet, żeby uzyskać niezbędne dokumenty!

– Oczywiście, pisałem i dostawałem je. Komisarzu, proszę nie przyjmować błędnej perspektywy historycznej. W tym czasie nikt mnie nie poszukiwał.

– Nawet nie odebrał pan pieniędzy, które miasto było panu winne za przewłaszczenie ziemi.

– W tym sęk. Od trzydziestu lat nie utrzymywałem kontaktów z Vigatą. Zresztą kiedy człowiek się starzeje, dokumenty z miejsca urodzenia są mu coraz mniej potrzebne. A starania o te akty, które stanowiłyby podstawę do wypłaty pieniędzy za przewłaszczenie, wydawały się zbyt ryzykowne. Mogło się zdarzyć, że ktoś by sobie o mnie przypomniał. A ja już dawno temu zakończyłem znajomość z Sycylią. Nie chciałem – i nie chcę – mieć z nią nic wspólnego. Gdyby jakimś specjalnym aparatem wypłukano krew, która krąży mi w żyłach, byłbym szczęśliwy.

– Czy ma pan ochotę na spacer brzegiem morza? – spytał Montalbano, kiedy mężczyzna skończył jeść.

Spacerowali od pięciu minut. Starzec w jednej ręce trzymał laskę, a drugą wspierał się na ramieniu komisarza. Wreszcie Rizzitano zapytał:

– Czy powie mi pan, jak zidentyfikował Lisettę i Maria? I jak pan do tego

doszedł, że miałem z tym coś wspólnego? Proszę wybaczyć, ale trudno mi jest równocześnie chodzić i mówić.

Kiedy Montalbano opowiadał mu historię dochodzenia, starzec co jakiś czas wykrzywił wargi, jak gdyby na znak, że sprawy miały się zupełnie inaczej.

W pewnej chwili komisarz poczuł, że ręka Rizzitana stała się cięższa. Pochłonięty rozmową, nie zauważył, że starzec jest już zmęczony spacerem.

– Może wrócimy do domu?

Usiedli na werandzie.

– Zatem – powiedział Montalbano – czy zechce mi pan powiedzieć, jak naprawdę potoczyła się ta historia?

– Oczywiście, po to przyjechałem. Ale to bardzo trudne.

– Spróbuję panu pomóc. Zrobmy w ten sposób. Będę mówił, jak ja to sobie wyobrażam, a pan mnie będzie poprawiał, jeśli się pomylę.

– Zgoda.

– A więc na początku lipca czterdziestego trzeciego roku Lisetta i Mario odwiedzili pana w domu u stóp Baraniej Góry, gdzie chwilowo mieszkał pan sam. Lisetta uciekła z Serradifalco, żeby spotkać się z narzeczoną, Mariem Cunichem, marynarzem ze statku „Pacinotti”, który miał niebawem odpłynąć...

Starzec uniósł rękę i komisarz urwał.

– Proszę wybaczyć, ale było inaczej. A pamiętam wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Tak to już jest ze starymi ludźmi, że im dłużej żyją, tym ostrzejszą mają pamięć. Bezlitośnie ostrą. Szóstego lipca wieczorem, około dziewiątej, usłyszałem gwałtowne łomotanie do drzwi. Otworzyłem i zobaczyłem Lisettę, która właśnie uciekła z domu. Została zgwałcona.

– Podczas podróży z Serradifalco do Vigaty?

– Nie. Zgwałcił ją ojciec. Poprzedniego dnia.

Montalbano nie mógł znaleźć słów, żeby cokolwiek powiedzieć.

– To dopiero początek, najgorsze jeszcze przed nami. Lisetta wyznała mi, że jej ojciec, wuj Stefano, jak go nazywałem, co jakiś czas pozwalał sobie wobec niej na nieskromne zachowanie. Pewnego dnia Stefano Moscato, który wyszedł z więzienia i uciekł z rodziną do Serradifalco, znalazł listy pisane do Lisetty przez Maria. Powiedział, że chce z nią o czymś ważnym porozmawiać, zaprowadził córkę na pole, rzucił jej listy w twarz, pobił ją i zgwałcił. Lisetta była... nigdy jeszcze nie była z żadnym mężczyzną. Nie powiedziała nikomu, miała nerwy ze stali. Nazajutrz uciekła, tak po prostu, i przyjechała do mnie, bo byłem dla niej kimś więcej niż bratem. Następnego dnia rano udałem się do miasta, żeby zawiadomić Maria o przybyciu Lisetty. Mario zjawił się wczesnym popołudniem, zostawiłem ich samych i poszedłem na spacer, na łąki. Wróciłem do domu około siódmej wieczorem, Lisetta była sama, Mario musiał już pędzić na statek. Zjedliśmy kolację, potem stanęliśmy przy oknie i obserwowaliśmy nalot na Vigatę, który wyglądał jak pokaz sztucznych ogni. Lisetta poszła spać do mojego pokoju na piętrze. Ja zostałem jeszcze na dole i czytałem książkę przy lampie naftowej. I wtedy...

Rizzitano był zmęczony. Przerwał i głęboko zaczerpnął powietrza.

– ...i wtedy usłyszałem krzyki. Choć najpierw myślałem, że to wyje jakieś zwierzę, że to może psi skowyt. Ale to był wuj Stefano, szukał córki. Ten głos przyprawił mnie o gęsią skórkę. Pełen udręki i przerażający, brzmiał niczym lament porzuconego bezlitośnie kochanka, który cierpiał i wykrzykiwał swój ból, a nie jak wołanie ojca, który chciał odnaleźć córkę. Byłem poruszony. Otworzyłem drzwi, panowała gęsta ciemność. Krzyknąłem, że jestem sam, i spytałem, dlaczego szuka córki właśnie u mnie.

Nagle stanął przede mną, jak gdyby wystrzelił z procy. Wtargnął do domu, drżał jak szalony, wyzywał mnie i Lisettę. Próbowałem go uspokoić, podszedłem do niego. Dostałem pięścią w twarz, ogłuszony upadłem na plecy. Zobaczyłem, że trzyma rewolwer. Groził, że mnie zabije. Popęniłem błąd, powiedziałem, że pewnie szuka córki, by ją zgwałcić jeszcze raz. Wypalił do mnie, ale chybił, był roztrzęsiony. Wymierzył raz jeszcze, lecz w tej samej chwili padł inny strzał. W swoim pokoju, koło łóżka, trzymałem naładowaną broń myśliwską. Lisetta wzięła strzelbę i stojąc na schodach, strzeliła do ojca. Trafiła wuja Stefano w ramię. Upadł i upuścił broń. Lisetta powiedziała zimno, żeby sobie poszedł, bo w przeciwnym razie go wykończy. Byłem pewny, że się nie zawaha. Wuj Stefano długo patrzył córce w oczy, potem zaczął coś mrużyć z zamkniętymi ustami – cierpiał chyba nie tylko wskutek rany – odwrócił się i wyszedł. Zaryglowałem drzwi i okna. Byłem przerażony, ale Lisetta dodała mi odwagi. Siedzieliśmy tak zabarykadowani jeszcze nazajutrz rano. Około trzeciej przyszedł Mario i kiedy opowiedzieliśmy mu o wizycie wuja Stefano, postanowił zostać z nami na noc, był pewny, że ojciec Lisetty powróci. Około północy rozpoczęło się potworne bombardowanie Vigaty, lecz Lisetta była spokojna, mając Maria u swego boku. Dziewiątego lipca rano poszedłem do miasta, żeby sprawdzić, czy nasz dom jeszcze stoi. Przykazałem Mariowi, żeby nikomu nie otwierał i trzymał broń w zasięgu ręki.

Przerwał.

– Zaszło mi w gardle.

Montalbano pobiegł do kuchni, wrócił ze szklanką i z karafką zimnej wody. Starzec wziął szklankę oburącz, wstrząsnął nim dreszcz. Komisarzowi zrobiło się bardzo przykro.

– Może odpocznie pan jakiś czas.

Starzec pokręcił przecząco głową.

– Jeśli przerwę tę opowieść, już nigdy jej nie skończę. Zostałem w Vigacie prawie do wieczora. Dom nie został zniszczony, ale panował w nim wielki bałagan, drzwi i okna były wyrwane z zawiasów, meble leżały na podłodze, potłukło się szkło. Uporządkowałem, jak mogłem, pracowałem całe popołudnie. Wychodząc, nie znalazłem roweru, ktoś mi go ukradł. Poszedłem pieszo w kierunku willi, trwało to godzinę. Musiałem iść samym poboczem, ponieważ w obu kierunkach ciągnęły sznury pojazdów wojskowych, włoskich i niemieckich. Kiedy dotarłem do drogi, która prowadziła do willi, nadleciały dwa amerykańskie myśliwce, zaczęły strzelać i zrzucać ciężkie pociski. Samoloty zeszły bardzo nisko, ich silniki wręcz huczały. Rzuciłem się do rowu. Prawie natychmiast uderzył mnie z wielką siłą jakiś przedmiot. Z początku myślałem, że to duży kamień odrzucony przez wybuch bomby. Okazało się jednak, że był to żołnierski but, ze stopą urwaną nieco powyżej kostki. Szybko się podźwignąłem, wbiegłem na ścieżkę, musiałem się zatrzymać, żeby zwymiotować. Płatały mi się nogi, upadłem dwa albo trzy razy, a za moimi plecami warkot samolotów przycichł, coraz wyraźniej było słychać wrzaski, zawodzenia, modlitwy, rozkazy wykrzykiwane pomiędzy płonącymi ciężarówkami. W chwili gdy stawiałem nogę na progu mojego domu, na piętrze rozległy się dwa strzały, jeden zaraz po drugim. Pomyślałem, że wuj Stefano zdołał wtargnąć do środka i właśnie dopełnił zemsty. Wziąłem duży żelazny pręt, którym zazwyczaj ryglowaliśmy drzwi, i wszedłem bezszelestnie na górę. Drzwi mojej sypialni były otwarte, tuż za progiem stał jakiś człowiek, odwrócony do mnie plecami. Trzymał jeszcze w ręku rewolwer.

Starzec, który dotychczas nie patrzył komisarzowi w twarz, teraz spojrzał mu prosto w oczy.

– Czy według pana wyglądam na mordercę?

– Nie – powiedział Montalbano. – I jeśli chodzi o tego człowieka, który

stał w pańskiej sypialni z bronią w ręku, może pan być spokojny: działał pan w szczególnej sytuacji, w obronie własnej.

– Ktoś, kto zabija człowieka, jest zawsze kimś, kto zabija człowieka, a pan przytacza mi formuły prawne, które mają drugorzędne znaczenie. Tym, co się liczy, jest wola tej właśnie konkretnej chwili. A ja naprawdę chciałem zabić tego człowieka, bez względu na to, co zrobił Lisetcie i Mariowi. Uniosłem pręt i wałnąłem go w kark z całych sił, z nadzieją, że rozwalę mu łeb. Upadając, mężczyzna odsłonił łóżko. Leżeli na nim Mario i Lisetta, nadzy, spleceni, w jeziorze krwi. Kiedy się kochali, musiało ich zaskoczyć bombardowanie tak blisko domu, więc wtulili się w siebie ze strachu. Dla nich już nic nie można było zrobić. Pewnie mogłem jeszcze pomóc mężczyźnie, który leżał na ziemi, za moimi plecami, i rzeził. Kopniakiem odwróciłem go twarzą do góry, był to przydupas wuja Stefano, bandzior. Metodycznie, prętem, rozwaliłem mu głowę. Odszedłem od zmysłów. Chodziłem z jednego pokoju do drugiego, śpiewałem. Czy zabił pan kiedyś kogoś?

– Niestety, tak.

– Mówi pan „niestety”, więc nie odczuwał pan przy tym satysfakcji. A ja czułem więcej niż satysfakcję, radość. Byłem szczęśliwy, daję słowo, śpiewałem ze szczęścia. Następnie opadłem na krzesło, ogarnięty przerażeniem, przerażeniem samym sobą. Nienawidziłem siebie. Udało im się zrobić ze mnie mordercę, a ja nie potrafiłem się oprzeć, wręcz byłem z tego zadowolony. Moja krew została zatruta i na próżno starałbym się ją oczyścić rozumem, dobrym wychowaniem, kulturą i wszystkim, co tylko może przyjść panu na myśl. Była to krew rodziny Rizzitano, mojego dziadka, mojego ojca, o których w okolicy porządni ludzie woleli nie rozmawiać. Zrozumiałem, że jestem taki jak oni, a nawet jeszcze gorszy. Następnie mój obłąd podpowiedział mi możliwe rozwiązanie. Gdyby Mario i Lisetta wciąż

spali, wówczas cała ta potworność w ogóle by się nie wydarzyła. Mara, zły sen. A więc...

Starzec doszedł do kresu możliwości. Montalbano przestraszył się, że coś mu się stanie.

– Będę mówił dalej. Przewiózł pan zwłoki, wniósł do jaskini i tam je ułożył.

– Tak, ale łatwo to powiedzieć. Musiałem wnosić ich pojedynczo. Byłem wyczerpany, dosłownie lepiłem się od krwi.

– Czy również druga grota, ta, w której umieścił pan zwłoki, była wykorzystywana jako magazyn nielegalnego towaru?

– Nie. Mój ojciec zamknął wejście ścianą z kamieni. Wydłubałem je, a potem umieściłem na dawnym miejscu. Żeby widzieć w ciemności, włączyłem latarkę, mieliśmy ich dużo na wsi. Kiedy wniosłem ciała, pozostało mi już tylko znaleźć symbole snu, te z legendy. Co do stągwi i miski z pieniędzmi, było to łatwe, ale pies? W Vigacie podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia...

– Wiem wszystko – powiedział Montalbano. – Na aukcji kupił go ktoś z pańskiej rodziny.

– Mój ojciec. Ale mamie się nie spodobał, więc został umieszczony w piwnicy. I przypomniałem sobie o nim. Kiedy skończyłem, zamknąłem dużą grootę płytą. Była głęboka noc, a ja poczułem się niemal spokojny. Lisetta i Mario spali teraz naprawdę, nic się nie wydarzyło. Dlatego też nieboszczyk, który leżał na piętrze, nie robił już na mnie wrażenia, nie istniał, był owocem mojej wyobraźni, pokiereszowanej przez wojnę. Potem nastąpił koniec świata. Dom drżał pod wybuchami, które rozlegały się w odległości kilku metrów, lecz nie było słychać warkotu samolotów. To okręty strzelały z morza. Wybiegłem, bałem się, że jeśli trafią w dom, zostanę zasypany.

Wydawało się, że na horyzoncie wstaje dzień. Co to było za światło? Za moimi plecami willa wybuchła, dosłownie, zostałem uderzony odłamkiem w głowę i zemdlałem. Kiedy otworzyłem oczy, światło na horyzoncie stało się jeszcze bardziej intensywne, słychać było jednostajny i daleki warkot. Udało mi się podczołgać do szosy, dawałem znaki, machałem, lecz żaden pojazd nie chciał się zatrzymać. Wszyscy uciekali. Rzuciłem się pod koła ciężarówki. Zahamowała, jakiś włoski żołnierz wciągnął mnie na skrzynię. Z tego, co mówili, zrozumiałem, że lądują Amerykanie. Błagałem, żeby zabrali mnie ze sobą, dokądkolwiek jada. Zgodzili się. To, co działo się ze mną potem, chyba już pana nie interesuje. Jestem wykończony.

– Czy chce się pan położyć?

Montalbano musiał go wnieść do środka, pomógł mu się rozebrać.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział – że zbudziłem śpiących, że kazałem panu powrócić do rzeczywistości.

– To musiało nastąpić.

– Pański przyjaciel Burgio, który bardzo mi pomógł, byłby szczęśliwy, gdyby udało się panom spotkać.

– Ja nie. I jeśli to panu nie przeszkadza, prosiłbym, by pan udawał, że nigdy się nie pojawiłem.

– Oczywiście, w niczym mi to nie przeszkadza.

– Czy ma pan w stosunku do mnie jeszcze jakieś oczekiwania?

– Żadnych. Chcę tylko powiedzieć, że jestem panu szczerze zobowiązany, iż odpowiedział pan na moje wezwanie.

Już nic nie mieli sobie do powiedzenia. Starzec dosłownie przytknął zegarek do oczu.

– Zróbmy w ten sposób. Prześpię się godzinę, potem mnie pan obudzi, wezwie taksówkę i pojedę na lotnisko Punta Raisi.

Montalbano przymknął okiennice i ruszył do drzwi.

– Jeszcze jedno, komisarzu.

Z portfela, który odłożył na szafkę nocną, starzec wyciągnął zdjęcie i podał je Montalbanowi.

– To moja najmłodsza wnuczka, ma siedemnaście lat, nazywa się Lisetta.

Montalbano podetknął fotografię pod strużkę światła. Gdyby nie dzinsy, które miała na sobie, i skuter, na którym siedziała, ta Lisetta byłaby dokładną, wierną kopią tamtej. Oddał zdjęcie Rizzitanowi.

– Czy może mi pan przynieść szklankę wody?

Siedząc na werandzie, Montalbano udzielał sobie odpowiedzi na pytania, które podsuwał mu umysł gliniarza. Nawet jeśli pod gruzami znaleziono ciało tamtego bandziora, na pewno nie udało się go rozpoznać. Rodzice Lilla myśleli, że były to szczątki syna, lub – zgodnie z wersją rolnika – łudzili się nadzieją, że umierający chłopak został zabrany przez żołnierzy. Skoro jednak nie dawał o sobie znać, doszli pewnie do wniosku, że gdzieś umarł. Z kolei Stefano Moscato prawdopodobnie przypuszczał, że zwłoki należały do płatnego mordercy, który po wykonaniu zlecenia, czyli po zamordowaniu Lisetty, Maria i Lilla, i po ukryciu ich ciał wrócił do willi, żeby coś ukraść, i stał się ofiarą bombardowania. Utrzymując w tajemnicy śmierć Lisetty, Stefano wymyślił historię o amerykańskim żołnierzu, lecz krewny z Serradifalco, który przyjechał do Vigaty, nie uwierzył w tę opowieść i zerwał z nim wszelkie kontakty. Myśląc o fotomontażu, komisarz przypomniał sobie fotografię, którą pokazał mu starzec. Uśmiechnął się. Powinowactwa z wyboru w nieodgadniony sposób nakładały się na więzy krwi i potrafiły nadać pamięci ciężar, kształt oraz oddech. Spojrzał na zegarek i otrząsnął się. Rizzitano spał już ponad godzinę. Komisarz wszedł do sypialni. Starzec wypoczywał spokojnie, oddychał lekko, odprężony

i pogodny. Po krainie snu podróżował już bez bagażu. Mógł spać długo, przecież na komodzie leżał portfel z pieniędzmi i stała szklanka wody. Montalbano przypomniał sobie o pluszowym psie, którego kupił Livii w Pentellerii. Znalazł go na komodzie, w pudełku, wyjął i postawił na podłodze obok łóżka, od strony stóp. Potem powolutku zamknął za sobą drzwi.

Od autora

Pomysł tej historii przyszedł mi do głowy podczas zajęć dydaktycznych, kiedy to w geście sympatii dla dwóch studentów reżyserii, pochodzących z Egiptu, omawialiśmy *Ludzi z grotty* Taufika al-Hakima.

Chciałbym zatem zadedykować ją wszystkim moim studentom z Państwowej Akademii Sztuki Dramatycznej Silvio d'Amico, gdzie od ponad dwudziestu trzech lat uczę reżyserii.

To nudne powtarzać przy okazji każdej publikowanej książki, że wydarzenia, postaci i sytuacje są wymyślone. Jednak wydaje się to konieczne. Skoro więc jestem przy głosie, chcę również zaznaczyć, że imiona moich postaci rodzą się z zabawnych skojarzeń, bez żadnej zamierzonej złośliwości.